WESOŁE KRONIKI.

Drukarnia Feliksa Westa w Brodach.

KLEWE.

WESOŁE KRONIKI

1906—1908.

W BRODACH. ○ NAKŁADEM KSIĘGARNI FELIKSA WESTA. ○ 1909.
WARSZAWA ○ E. WENDE I SP. (T. HIŻ, A. TURKUŁ)

Zygmunt Jeleń
Księgarnia i Drukarnia

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C095895959

Zamiast przedmowy.

Przedkładam swoim Czytelnikom kilkadziesiąt „kronik tygodniowych," które drukowane były w latach 1906 — 1908. częścią w „Wieku Nowym" częścią w „Słowie Polskiem".

Jeżeli popełniam błąd wydając zebrane pogadanki dziennikarskie, to nie zawiniła tu moja próżność, ale raczej moja łatwowierność, z jaką przyjmowałem oddawane mi ustne i pisemne bardzo liczne słowa pochwały— za dobrą monetę.

Ale zachęcali mię do ich wydania liczni bardzo Czytelnicy, którzy, jak mówili, chcą mieć pamiątkę, więc niech ją mają. Dla nich wydaję tę książeczkę a nakładcy życzę, ażeby tylko każdy z tych, którzy mię do zebrania kronik namawiali, zakupił jeden egzemplarz.

Nie wiem, czy „kroniki" zawierają istotnie to, co w nich chcą widzieć moi liczni przyjaciele, i czy z tego jeszcze coś zostało, skoro już minął dzień, dla którego były przeznaczone. Powstawały z chwili, w chwili, na chwilę, dla chwili, i tak tylko, a nie inaczej, brać je należy i rozumieć. Chodziło o to, aby w sposób jak najbardziej przystępny i prosty zwrócić uwagę na ten lub ów szczegół, na tę lub inną osobistość a zawsze bona fide.

Zaczepiało się nieraz ludzi bardzo zacnych i szacunku godnych nie szczędząc im wymówek za coś, co w danej chwili opinia za błąd uważała, ale też nie przestając ich ani na chwilę szanować i cenić dla ich wielkich, niezaprzeczonych zasług ogólnych.

I tak tylko należy rozumieć te wymówki, których nie podyktowała ani zła wola, ani złośliwość.

Innych wyjaśnień tym prostym pogadankom nie potrzeba. Ton ich miał i chciał być satyryczny lub przynajmniej wesoły. Czy jest nim istotnie, lub czy był nim w swoim czasie, tego ja ocenić nie mogę

Powtarzam tylko to, o czem wspomniałem na początku, że zbiorek ten przeznaczony jest przedewszystkiem dla moich dawnych Czytelników i przyjaciół.

OKŁADKA WEDŁUG RYSUNKU STANISŁAWA PICHORA.

I.

22 kwietnia 1906.

(Pierwszy głos polemiki. — Wycieczka do Włoch pod dwoma warunkami. — Rewanż na każdym kroku. — Co im pokażemy? — Podziw Włochów. — Włosi w teatrze. — Studya w magistracie. — Mamki w tragedyi i inne dzieła włoskie. — Stara sztuka i nowa sztuka. — Czy wrócą zdrowi z Galicyi?)

Korzystam pierwszy z zapowiedzianej polemiki w sprawie wycieczki 30 miast galicyjskich do Włoch i pozwalam sobie zabrać w tej sprawie głos może nie decydujący, ale — przepraszam, że się chwalę — bardzo trafny. Zgadzam się na urządzenie tej wycieczki pod warunkiem, że nasza Rada miasta i mnie wyszle wraz z delegatami lwowskimi, a nadto, jeśli Włosi przyrzekną, że tamtejszych 30 miast zwiedzi jeszcze w tym roku Galicyę, celem zapoznania się z naszemi zdobyczami na polu polityki, administracyi, hygieny, nauki, sztuki i wielu innych polach.

Po włosku wprawdzie umiem tyle, ile p. Michalski po francusku, ale pewny jestem, że gościnni Włosi przyjmą u mnie jak najwięcej pieniędzy, nawet na migi, a ja niejedno doświadczenie stamtąd wyniosę z korzyścią dla kraju. W ostatniej kronice ja pierwszy

wykazałem, jak bardzo przydałby się we Lwowie jakiś Wezuwiusz. Kto wie, czy po oglądnięciu i zbadaniu Wezuwiusza włoskiego, nie postarałbym się o urządzenie czegoś podobnego we Lwowie. A skoro był mój pomysł, niechże i wykonanie będzie moje. Nic innego stamtąd przynieść nie przyrzekam, ale też i inni delegaci wrócą tacy mądrzy, jakimi wyjadą, a nawet tego, co ja, t. j. Wezuwiusza nie pójdą oglądać z obawy, aby im nie parsknął w oczy. Ja zaś, jako człek żonaty, wulkanów się nie boję, jako mieszkaniec Lwowa przyzwyczajony jestem, by mi ogniste płyny i węgle na kapelusz sypano, a jako mąż, żywo zajmujący się polityką, nie narzekam już wcale, gdy mi popiołem i piaskiem oczy zasypują. Lwów reprezentować postaram się godnie. W tym celu wdzieję jakiś garnitur łyczakowski, do jednej ręki wezmę sękatą pałkę, do drugiej nóż obosieczny, a gębę nadzieję słownikiem złodziejskim, układu p. Kurki, w uzupełnionem wydaniu spacerowiczów z ulicy Karola Ludwika.

Drugim warunkiem moim jest, jak już mówiłem wyżej, by Włosi przyrzekli, że 30 miast włoskich zwiedzi czemprędzej Galicyę, a przynajmniej sam Lwów. Mam tu na celu rewanż na każdym kroku. Skoro my mamy wyszastać parę tysięcy na Włochy, niechże i oni raz spróbują zapłacić rachunek u p. Brzezickiego, a kiep jestem, jeśli on im tak nie zaimponuje, że zapamiętają Lwów na długo. Mamy my podziwiać — jak powiada p. Orłowski — włoskie śmiecie, niechże Włosi powąchają naszej Zarwanicy. A jeśli my się mamy narażać na wybuchy ich wulkanów, to niechaj bodaj Włosi przekonają się, jak się we Lwowie strzela na ulicach i rozrywa mieszkańcom uszy i ciało.

Można sobie wyobrazić podziw i zdumienie Wło-

chów, gdy oglądać będą nasze specyalności, tak bardzo odróżniające nas od reszty Europy. Dobrze byłoby postarać się na czas ich pobytu o jakiś deszcz, bo wtedy Lwów przypomina Wenecyę, pływające po błocie płyty trotuarowe łudząco naśladują gondole, a mieszkańcy, tańczący po tych płytach — to gondolierzy lwowscy. Do teatru zaprowadzimy ich na »Kopciuszka«, a gdyby chcieli jeszcze raz być w teatrze, zaprowadzimy ich jeszcze raz na »Kopciuszka«. To teraz u nas *clou* repertuaru kwietniowego, a Pawlikowskiemu tak się »Kopciuszek« podobał, że go nie spuszcza z afisza. W samym magistracie musieliby Włosi posiedzieć parę lat, gdyby chcieli poznać jego znakomite urządzenia i odgrzebać to wszystko, co już magistrat lwowski pogrzebał. Włosi to wszystko potem uwiecznią w książkach. O miejskim zakładzie pogrzebowym, o jatkach miejskich, o tanim opale i o jegermanówkach w parku stryjskim, powstanie cały tom bajek lwowsko-włoskich. O skrapianiu ulic, o składaniu kupek kurzu, o kasie mięsnej powstanie traktat ekonomiczny p. n.: »Oszczędny Lwów«.

O końskiem mięsie i braku poszanowania dla mamek, napisze który z Włochów tragedyę, w której sam Novelli grać będzie tytułową mamkę. Gdyby Włochom było u nas za zimno, zaprowadzimy ich do sali Rady miejskiej, obecnie odświeżonej, a gdyby im było zbyt gorąco, wykąpiemy ich w sadzawce w parku Kilińskiego. Nawet z naszej najnowszej poezyi będą mogli Włosi korzystać i poznać ją dokładnie, choć nie znają naszego języka. Nie zrozumieją tego, gdy przeczytają po polsku, to prawda, ale gdyby im to nawet najdosłowniej przetłumaczyć na język włoski, to także nie więcej zrozumieją.

Co się tyczy sztuki, to pokażemy im starą sztukę

i nową sztukę. Ze starej sztuki pokażemy im np. byłą fontannę w parku stryjskim z nieszczęśliwemi figurami, którym, jak wiadomo, amputowano większą część członków ciała. Te kaleki muszą Włochom wycisnąć kilka łez. Z nowej sztuki trzeba im pokazać Pasaż Mikolascha z zamkiem, czy pałacem kryształowym i obrazy z muzeum Naftuły Toepfera. Z naszych zdobyczy na polu administracyi pokażemy im konnych policyantów, a, ażeby lepiej zrozumieli ich doniosłe znaczenie w praktyce, puścimy na nich szarżę t. zw. »proszę się rozejść!«

Nasz handel niech obserwują i studyują na ulicy Krakowskiej, a przemysł na ulicy Smoczej, Zbożowej, Wesołej, Smutnej, Brudnej, Sympatycznej, Zamyślonej i Nerwowej. Tylko co do tych pereł trzeciej dzielnicy magistrat lwowski zabiera się już do ich regulacyi — więc jeśli ją Włosi chcą jeszcze widzieć, to musieliby się pospieszyć i przyjechać do Lwowa w najbliższych stu latach, bo potem ich może już nie zobaczą.

Niech więc nas Włosi poznają, a jeśli ich u nas nie zjedzą pluskwy, nie zatrują bakcyle, nie zadusi woń, nie pogrzebie w gruzach swoich Bourlardówka, nie przejedzie na śmierć automobil, nie potratuje konny policyant, jeśli nie połamią nóg swych na naszych brukach, nie utopią się w naszem błocie, jeśli ich nie ograbi i nie przebije jakieś lwowskie dziecko z przedmieścia, jeśli w powrocie do domu nie uduszą się, lub nie wypadną z wagonu kolejowego — czyli: jeśli z Galicyi jako tako zdrowi powrócą do Włoch, to niech sławę naszą rozniosą po świecie i ugruntują w swojej ojczyźnie, gdzie cytryna kwitnie i dojrzewa pomarańcza.

II.

20 maja 1906.

(Popieramy przemysł krajowy. — Krajowe sztuki teatralne. — Dobrodziej złodziei i jego sukces — Jeszcze o zakładzie pogrzebowym. — Koniec Boulardówki. — Za mało szynków).

Lubimy wszechstronnie popierać wyroby krajowe; na jarmark krajowy składamy już pieniądze; robimy długi wyłącznie w kraju; bierzemy żony z kraju i oszukujemy je tylko z krajowemi niewiastami, które nas naciągają na krajowe kolacyjki; szanujemy krajowych defraudantów, bo defraudują wyłącznie krajowe pieniądze; upijamy się krajowymi alkoholami, a po pijanemu walczymy o honor krajowy; połykamy krajowy kurz i powietrze, a potem idziemy do krajowych sanatoryów lub na krajowy cmentarz; posługujemy się krajową policyą, która zapełnia krajowe szpitale, nasi krajowi złodzieje pracują wyłącznie w kraju, poświęcając mu wszystkie swoje siły najlepsze; krajowemi zapałkami podpalamy domy krajowe i idziemy za to do krajowego kryminału i t. d. i t. d. Na każdym kroku objawia się ta nasza patryotyczna gorąca miłość do kraju, a tylko — tylko do sztuk teatralnych krajowego wyrobu nie mamy przekonania i co który nowy geniusz krajowy wzbije się ponad szary tłum, ażeby się wygramolić na krajowy Parnas i wyświęcić się na arcykapłana galicyjskiej Melpomeny, łapiemy go za poły surduta, ściągamy brutalnie do siebie, obrzucamy krajowem błotem, a potem wysyłamy go do krajowego szpitala waryatów. Przepędziliśmy Kaweckiego, który przeżywszy zajmujący »dramat kaliki«, miał krótkotrwałe »widziadła« sławy. Piewca rudowło-

sej »Lilith« musiał się wiele nacierpieć i nasłuchać, zanim kopnął Lwów, unosząc spuchnięte serce, czy coś tam. Teraz mamy dwie nowe ofiary, obu autorów »Dobrodzieja złodziei«. Aż dwóch ludzi musiało się złożyć na tę »wesołą tragedyę oryginalności«, która wbrew woli autorów przemieniła się w oryginalną tragedyę wesołości, bo kilkanaście osób na przedstawieniu pękło ze śmiechu, u innych popękały garnitury, kamizelki i sznurówki, a sufler ze śmiechu popełnił jakąś nieprzyzwoitość, za co podobno otrzymał od dyrekcyi dymisyę, a od autorów nowe ubranie. Jeden z gości nie mogąc strawić głębokich myśli tego dramatu, na przedstawieniu ciężko zachorował, a po drugim akcie zawiozła go stacya ratunkowa do szpitala, gdzie nieszczęśliwego dotychczas bezskutecznie masują. Aktorzy, biorący udział w tym sensacyjnym spektaklu, dopiero nazajutrz popołudniu wrócili do przytomności. Po przedstawieniu chciano autorom wyprządz konie, aby ich samych zaprządz do honorowej dorożki, lecz niestety, musiano zaniechać tej honorowej manifestacyi, bo obaj uciekli na bicyklu czy tandemie. Obu autorów, po przyjęciu od nich solennego przyrzeczenia na policyi, że nigdy więcej dramatów pisać nie będą i po złożeniu stosownej kaucyi, zostawiono na wolnej stopie. Mimo to na ulicy nie pokazują się z obawy przed roznamiętnioną publicznością. Szkoda, wyrządzona przez autorów, jest wprawdzie ogromna, tem większa, że nikt z publiczności nie był ubezpieczony, a akcya ratunkowa była tylko słaba, bo nie przygotowana, ale najwięcej zaszkodzili przyszłemu dramaturgowi lwowskiemu. Na najbliższą premierę nowego autora lwowskiego publiczność albo wcale nie pójdzie, albo pójdzie uzbrojona w pałki, rewolwery, zgniłe jaja i inne strzelające rzeczy. Na tym więc pun-

kcie krajowych dramatów mocno jeszcze szwankujemy, a p. Heller powinien obok swojej szkoły dramatycznej założyć »szkołę dramaturgów«.

Po za tem nie mieliśmy w tym tygodniu innej sensacyi, ale nie brakło faktów, pocieszających serce każdego obywatela. Odgrzebano sprawę miejskiego zakładu pogrzebowego, rozgrzebano wszystkie *pro* i *contra*, wygrzebano dawny projekt urządzenia zakładu na własną rękę i pogrzebano ofertę pana Kurkowskiego. Będziemy więc mogli spokojnie umierać, bo do raju zawiozą nas magistrackie karawany.

Dalej postanowiono wysłać jednego pompiera na ul. Batorego, z poleceniem, ażeby zawalił gmach Boulardówki. Czekano dotychczas, ażeby się sama zapadła, ale, gdy onegdaj prezydent Michalski przechodząc tą ulicą, potknął się obok samej Bourlardówki, a gmach mimo to nie runął, postanowiono wydelegować w tym celu specyalną siłę, t. j. pompiera z młotkiem lub katapulką.

Ażeby coś zrobić i dla cywilizacyi, zaradzono oddawna odczuwanej piekącej potrzebie i udzielono koncesyi na siedmnasty szynk w rynku lwowskim. Każdy myślący przyznać musi, że szesnaście szynków to chyba za mało na 40 i kilka kamienic w rynku i nieraz mieszkańcy utyskiwali już na ten rażący brak. Wprawdzie nie można było odrazu zaradzić złemu i jeszcze zawsze znajdą się we Lwowie domy bez szynków, ale powoli i stopniowo, udzielając coraz nowych koncesyi, doprowadzimy z czasem do tego, że w każdym domu przynajmniej jeden szynk mieścić się będzie, czego życzyć sobie należy w interesie wygody i dobrobytu mieszkańców.

III.

27 maja 1906.

(List otwarty i jego skutek. — Jak powinni byli postąpić? — Kara dla wrogów. — Wiszący Feldman. — Co robić z recenzentami? — Żółta publiczność w omnibusach. — Skromny pomnik na gruzach).

Po »Dobrodzieju złodziei« jako tako przyszedłem do siebie i miałem już wrócić do codziennych zajęć, gdy doręczono mi »List otwarty« autorów do publiczności w sprawie wystawienia i wygwizdania »Dobrodzieja«. Już przy samem czytaniu tego listu wstawał mi na głowie jeden włos po drugim, bo przekonałem się, wśród jakich ludzi żyję i z kim się stykam codziennie. Teraz dopiero zrozumiałem, że mamy teatr pod psem, że nasi aktorzy są rozbójnikami, a Feldman ich hersztem, że recenzenci są oszustami z pod ciemnej gwiazdy, z kryminalną przeszłością i przyszłością, a cała publiczność teatralna warta jest, by ją za pomocą jakiejś porządnej bomby czemprędzej wysadzić w swieże powietrze i potem pochować zbiorowo w miejskim zakładzie pogrzebowym. Jakieś przeczucie mówiło mi zawsze, że żyję w podłem mieście, ale pomimo całego pessymizmu, nie sądziłem nigdy, że Lwów jest tak marnym śmietnikiem, w którym nie znajdzie dziesięciu sprawiedliwych. Aż dopiero ten list otwarty otworzył mi oczy na naszą bryndzę i oto przejrzałem i rozpłakałem się, bo żałość wielka ścisnęła mi serce. W pierwszej chwili zamierzałem połączyć się z autorami i zawiązać małe, ale silne stowarzyszenie czyszczenia miasta, lecz przeczytawszy jeszcze raz »List otwarty« wprzód i wtył, spostrzegłem się odrazu, że złe jest zbyt wielkie, a nasze siły zbyt

słabe. Tu potrzeba jakiejś większej siły niszczącej, jakiegoś wulkanu, lub trzęsienia ziemi. Albo przynajmniej przydałoby się jeszcze ze dwa razy wystawić »Dobrodzieja złodziei«, tylko pod zmienionym tytułem, bo publiczność już nie pójdzie. To może dojechałoby końca tej nadpełtwiańskiej Abderze.

Mojem zdaniem, autorowie źle zrobili wylewając list otwarty na głowy swoich wrogów. Wprawdzie niejedno rozjaśniło się, co przedtem było ciemne, publiczność przekonała się, że jest nieuleczalnie głupią, recenzenci już wierzą, że tyle znają się na dobrych sztukach, ile koń fiakierski na marynowanej rybie, wprawdzie odsłonili autorowie w tym liście otwartym wszystkie zalety sztuki, o jakich przedtem nikomu mu się nie śniło, ale sam skutek nie został osiągnięty, sumienie nie ruszyło się w nikim, nawet jeden z drugim nie uważał za stosowne strzelić sobie w łeb, bodaj dla dobrego przykładu i skruchy.

Powinni byli raczej autorowie wyzwać na pistolety lub inną broń jednego po drugim, naprzód aktorów z dyrektorem, potem recenzentów, a wreszcie publiczność. Pan Pawlikowski, który już niejedną ciężką ofiarę poniósł dla sztuki, byłby milcząco pozwolił się zastrzelić. Feldmana należałoby zabić, wypchać rolami z »Dobrodzieja« i wywiesić na widok publiczny przed samym teatrem, ale na jakimś grubym sznurku, aby się nie urwał. Niech dynda jako odstraszający przykład. Wszystkich innych aktorów sprzątnąłby jeden celny wystrzał armatni, a ich szczątki poszłyby na żer sępów i kruków. Kłopot byłby tylko z recenzentami. Zabić ich nie można, bo na tamtym świecie spotkaliby się z »Dobrodziejem złodziei«, którego dopiero sami pogrzebali i tam znęcaliby się nad nim jeszcze bardziej. A autorowie spodziewają się właśnie, że tam-

ten świat pozna się lepiej na tej sztuce i dlatego przetłumaczyli ją na język angielski. Otóż recenzentów należałoby wyzwać na pałasze i poobcinać im różne choćby najpotrzebniejsze członki ciała grzesznego. Niech się tak kręcą po świecie i pokutują za swoją złośliwość. Wreszcie teatralną publiczność należałoby w rewanż wyzwać na zgniłe jaja, obrzucić ją niemi i tak na żółto polakierowaną odstawić w kilku omnibusach do Kulparkowa. Gmach teatralny należałoby spalić, a na jego gruzach niechby stanął kosztem autorów skromny pomnik, z krótkim, ale szlachetnym napisem: »Tu poległ i spoczywa »Dobrodziej złodziei« — niech mu zgniłe jaja będą lekkie«.

IV.

3 czerwca 1906.

(Milionowy spadek, a mój krewniak. — Konwersya moich długów. — Gdzie różnica? — Czemu jestem zadowolony z mego urodzenia? — Dwie bomby. — Lwowskie żołądki. — Kiedy wolno brać kubany? — Nasza duma a głowy naszych dziewcząt. — Pomnik Bartosza).

Pan Bóg dał mi znów dowód, że o mnie nie pamięta. Mając do rozdania spadek milionowy, wybrał jakiegoś Nowickiego, a nie mnie, który już dawno czekam na coś podobnego. A właśnie tak bardzo potrzebuję większych pieniędzy, modlę się żarliwie do Pana Boga, staram się o posadę kasyera, a w amerykańskich dziennikach anonsuję się już od roku, że poszukuję natychmiast jakiegoś bogatego stryja albo ciotki, którzy potrzebują galicyjskich spadkobierców. Niestety dotychczas nie zgłosił się nikt

taki. Jeden zaledwie krewniak zgłosił się do mnie. W długim liście opowiada mi, że rozpoczął kilka świetnych interesów, każdym razem pamiętał o mnie, ażeby po dojściu do milionów zamianować mnie swoim spadkobiercą, ale jakiś pech krzyżował mu zawsze plany i dziś jest goły, jak Wenus. Prosi mnie tedy o przysłanie mu jak najrychlej jakiejś pokaźniejszej sumki, ażeby czemprędzej mógł do kraju powrócić i zamieszkać u mnie. Takich krewnych Pan Bóg dał mnie. A każdego krewnego, który wybiera się do Ameryki, odprowadzam na dworzec kolejowy, funduję mu tramwaj i nie mam dla niego dość słów zachęty, ażeby się czemprędzej starał wzbogacić i o mnie nie zapominał. Trzeba właśnie być Nowickim i umieć sobie wybrać stryja. Czekam jeszcze do Nowego roku, a gdyby Pan Bóg nie pobłogosławił mojej cierpliwości, występuję z familii.

Zanim się jednak zgłosi do mnie taki mąż opatrznościowy z Ameryki, idę w ślady naszej Rady miejskiej i konwertuję swoje długi. Miałem dotychczas kilkadziesiąt, czy kilkaset mniejszych i większych długów, a teraz zliczyłem je wszystkie razem, obniżyłem procent ze stu na dziewięćdziesiąt pięć i mam teraz jeden wielki dług. W ten sposób udało mi się sto kłopotów zamienić szczęśliwie na jeden kłopot a i ten jeden nie bardzo mi dokucza, bo przecież jeden dług może trochę zaczekać, aż przyjdzie jakaś weselsza wiadomość z Ameryki. Nie jest to mój oryginalny pomysł, ale zawdzięczam go, jak powiedziałem, naszej Radzie miejskiej, która w pomysłach ratunkowych jest niewyczerpana. Tylko mam przed naszą Radą ten »for«, że choć, jak ona, załatwiłem się już z długami, mam przecież nadzieję na jakąś familijną niespodziankę, podczas gdy nasza gmina na żadnego stryjaszka ame-

rykańskiego liczyć nie może i sama swoje długi musi zapłacić. Co prawda nie sama, bo te długi zostawimy w spadku naszym prawnukom. I tu główna różnica między moją konwersyą długów, a konwersyą długów gminy. Ja moje długi zapisuję moim przodkom, Rada swoim potomkom. W każdym razie jest to sprawa więcej familijna, a choć z wyżej podanych motywów mojej rodziny nie lubię, tę jedną pamiątkę muszę jej zostawić, ażeby na mnie nie narzekała.

Co prawda jestem dość kontent z mojego urodzenia i cieszę się, że nie należę do królewskiego rodu. Mnie, co najwyżej uduszą kiedyś lwowskie bakcyle, ale ręka anarchisty z pewnością nie odważy się targnąć na moją cielesną powłokę. Wczorajsze depesze o zamachu na króla Alfonsa nasunęły mi te refleksye. Jechać z nowo poślubioną żoną do komnaty małżeńskiej i po drodze potknąć się o bombę, to już jest luksus i tylko królowie w dzisiejszych czasach pozwolić sobie mogą na taką paradę z fajerwerkami. Wprawdzie i na mojem weselu latały bomby w powietrzu, ale krew się nie lała, bo tych kilka trupów, co się znalazło pod stołem, w kilka godzin później zmartwychwstało, aby dalej bombardować na naszą pomyślność. Więc kontent jestem, że nie wypadłem na świat jako królik, i że jako zwykły śmiertelnik wiodę żywot poczciwego podatnika.

I chwalę sobie to nasze ciche proste życie, tak odmienne od szerokiego życia królów. Król się rodzi — strzelają, król się żeni — strzelają, król umiera — strzelają. U nas zwykłych śmiertelników inaczej. Urodzi się — piją, żeni się — piją, umiera — także piją. A czy lepsza bomba pilznera, czy bomba z dynamitu, to o tem chyba nie ma dwóch zdań. Tych pierw-

szych bomb wytrzyma przeciętny lwowski żołądek bardzo wiele, z bombą dynamitową nie da sobie rady.

Choć lwowskie żołądki powinny i dynamit trawić. Dziesięć zdechłych cieląt połknęliśmy w tym tygodniu i jakoś nie słychać, żeby któryś z lwowskich obywateli z tego otruł się, albo pękł. My jemy wszystko, co się sprzedaje i jakoś to nam nie szkodzi. U nas zresztą uważają na to weterynarze miejscy i dlatego nam nic zaszkodzić nie może. Mówiono wprawdzie, że weterynarze biorą kubany za przepuszczenie wągrowatego mięsa i miasto zaniepokoiło się o swoje żołądki, ale kiedy nam ze strony urzędowej wyjaśniono, że weterynarze czynią to poza godzinami urzędowemi, uspokoiliśmy się. Poza godzinami urzędowemi wolno brać kubany i to już nas nic nie obchodzi. Grunt w tem, żeby nie brali w godzinach urzędowych, bo toby było paskudnie. Urząd to urząd i musi być jakaś dyscyplina.

W ten sposób uratowaliśmy honor weterynarzy miejskich i możemy spokojnie spoglądać w przyszłość. A gdy jeszcze do tego dodamy nowe odkrycie w głowach, czy na głowach naszych dziewic szkolnych, duma i radość nasza będą zupełne. Przynajmniej teraz będziemy mieli prawo z oburzeniem odeprzeć oszczerstwa naszych wrogów, którzy psiocząc na szkoły galicyjskie, twierdzą, że dzieci nasze opuszczają szkołę z próżnemi głowami. To fałsz. Aż fizykat miejski musiał się wdać w to, ażeby zapobiedz przepełnieniu głów naszych dzieci.

Tak więc idzie u nas wszystko normalnym trybem, a że przy takiej regularności na wszystko kolej przychodzi, więc przyszła i na Bartosza Głowackiego. Wystawiliśmy mu pomnik przy łyczakowskim drągu i jeszcze przed rokiem mieli go odsłonić. Ale komi-

tet wiedział, że pomnik to nie zając i nie ucieknie. Uchwalano ciągle w jednym miesiącu, że go się w drugim odsłoni, ale jakoś nigdy nie przyszło do wykonania tych uchwał. Mówią, że z góry się na tę całą sprawę źle patrzyli, bo zawsze to był tylko chamski rewolucyonista, a żaden pan, ani namiestnik.

Dlatego wysunęli go za miasto, aby nie mącił lojalnej pogody obywateli, a czy on tam stoi odsłonięty, czy nieodsłonięty, to już chyba nie stanowi wielkiej różnicy. Nareszcie w tym tygodniu uchwalono po raz dziesiąty odsłonić pomnik. Co wpłynęło na ten niespodziewany pośpiech, nie wiadomo. Jedni powiadają, że jakiś anonimowy list przestrzegł komitet pomnikowy, iż obywatele Łyczakowa zamierzają cały pomnik schować, a potem sprzedać »na bruch«. Inni twierdzą, że pomnik, nie mając dotąd we Lwowie prawa obywatelstwa, chciał się przenieść do pobliskich Winnik. Ja twierdzę, że tak długo nie wierzę, czy go się w przyszłą niedzielę odsłoni, aż się sam nie przekonam naocznie.

V.

10 czerwca 1906.

(Moja przyjaźń z ekscel. Korytowskim. — Jak my się nawzajem wspierali? — Środek na złamanie karku — Mój żal. — Kobiety posłami a ja w środku. — Jakby wyglądała Rada miejska. — Zagadkowa sprawa zakładu pogrzebowego. — Cesarz Wilhelm we Wiedniu a moje grobowe milczenie).

Prezydent krajowej Dyrekcyi skarbu a zarazem mój przyjaciel Mora-Korytowski został ministrem finansów. Nie mam szczęścia do przyjaciół. Zaledwie

wyszukam sobie jakiegoś przyjaciela, albo on mnie wyszuka i zaczynamy sobie wzajem pomagać, przychodzi kto bądź i zabiera mi go na zawsze. Tak było z ekscel. Korytowskim. Był to jedyny człowiek we Lwowie, którego uważałem za przyjaciela. Nikt z moich znajomych nie zajmował się tak bardzo moją osobą, nikt nie znał tak dokładnie moich dochodów i stosunków, mojego trybu życia, nawet moich zamiarów, jak mój przyjaciel Korytowski. Wiedział, co mam i ile mam, a nawet wiedział, co powinienem mieć, a czego nie mam. Gdym się zaklinał na miłość panny Brzeskiej, że nie mam więcej, choć z gustem ofiarowałbym mu duszę, trącał mnie mój przyjaciel konfidencyonalnie w łokieć, mówiąc: Ej, żartujesz, pokaż!

Ale też i ja jemu byłem zawsze życzliwym. Nieraz ostatni cent mu zanosiłem, a nieraz w braku gotówki oddawałem mu najpotrzebniejsze meble, pozwalając je sprzedać i spieniężyć, bo wiem, że kasa państwowa potrzebuje zawsze pieniędzy. To też ile razy mój przyjaciel potrzebował pieniędzy, przysyłał do mnie swoich ludzi. Czasem musieli przychodzić kilka razy, a gdy byli zanadto natrętni, wyrzucałem ich za drzwi, za co kazali mi znów w sądzie płacić osobno. Ale prędzej, czy później płaciłem mojemu przyjacielowi zawsze, popierałem go z całych sił i ponad siły, bo nieraz musiałem się zapożyczać, aby go wyratować z kłopotu. Powiadam »z kłopotu«, bo człowiek, który po tę samą kwotę tyle razy posyła, musi chyba być w kłopocie. A ja się na tem znam i lubię ratować ludzi. Nie chciałem wstrzymać maszyny państwowej.

Tak żyliśmy sobie w gołębiej zgodzie przez szereg lat, a choć czasem przychodziło między nami do nieporozumienia, jak to zresztą między przyjaciółmi

bywa, to jednak zawsze ja ustępowałem w myśl maksymy, że mądrzejszy ustępować powinien. I było nam dobrze razem, porozumiewaliśmy się ze sobą ustnie, przez posłańców, albo korespondowaliśmy ustawicznie. On mnie pisywał wezwania, nakazy płatnicze, egzekucye i edykta licytacyjne, ja jemu rekursy podatkowe i prośby o rozłożenie długu na raty. Teraz nastąpiła chwila rozstania. Ale jakże się zmienił mój przyjaciel. Odkąd został ministrem, znać mnie nie chce i poprostu udaje, że mnie nie poznaje. Odjechał bez pożegnania i zerwał naraz całą korespondencyę. To ostatnie najwięcej mnie irytuje. Już tak bardzo przyzwyczaiłem się do tych wezwań, że gdybym teraz w jakimś tygodniu nie dostał egzekucyi podatkowej, uważałbym tydzień za zmarnowany. Całkiem jak ten student, który tak bardzo przyzwyczaił się do lwowskich pluskiew, że gdy po roku wrócił do rodziców i dostał czyste łóżko, nie mógł zasnąć.

To też mam żal do mego przyjaciela, a pocieszam się jedynie tą nadzieją, że on mnie zapewne poleci swojemu następcy w urzędzie i każe mu o mnie pamiętać. Sam zaś będzie tę pamięć kontrolować z góry. Drugą moją pociechą jest, że nietylko ja sam tracę przyjaciela. Traci go cały kraj, bo on cały kraj trzymał ciasno w objęciach. To też żal szczery zapanował w kraju na wiadomość o tej stracie znakomitego męża. A że był i jest znakomitym, o tem chyba nikt nie wątpi. Nie będę wyliczał jego zasług. Wystarczy wspomnieć, że on jeden potrafi nalać z próżnego. On jeden dowiódł, że nawet tak nędzny kraj, jak Galicya, może płacić podatki takie, jakie płacą najbogatsze kraje. Za to został ministrem. A więc żegnaj nam, przyjacielu. Mieszkańcy najbogatszego w Austryi kraju pod względem liczby analfabetów,

nie zapomną o tobie, znakomity mężu, tak długo, dopóki nie spłacą długów, dzięki tobie, zaciągniętych t. j. nigdy.

Darujcie, kochani Czytelnicy, żem się tak rozczulił, ale chyba wiecie, jak to kogoś boli, gdy mu zabiorą przyjaciela i zrobią go ministrem. Wolałbym, żeby go zamknęli w kryminale, bo stamtąd wróci jeszcze cały, ale gdy go zrobią ministrem, prędzej, czy później, musi złamać kark. Stąd moje rozczulenie i tych kilka łez.

A teraz obcieram łzy i promieniejąc radością, dzielę się z wami wesołą nowiną. Na onegdajszym wiecu postępowych kobiet uchwalono wywalczyć dla kobiet czynne i bierne prawo wyborcze, co było już od dawna przedmiotem moich marzeń. Proszę mi wytłómaczyć, dlaczego kobiety nie mają być wyborcami i posłami. Nie pojmuję, że dotąd nie pomyślano o tem, i nie zaradzono tym rażącym brakom. Każdy przyzna, że taki parlament bez kobiet nie jest zupełnym. Kompletnym byłby dopiero wtedy, gdyby na ławach poselskich zasiadły kobiety. Proponowałbym tylko niektóre modyfikacye obecnego programu. Powinno tak być, że kobietom przyznaje się czynne i bierne prawo wyborcze, ale mężczyźni wybierają kobiety, a kobiety mężczyzn. Jest to jedyny środek, aby nikt się nie wstrzymał od głosowania. Walka wyborcza wyszlachetnieje, a za głosy wyborcze płacić się będzie całusami, zamiast dotychczasowej kiełbasy. Jest to i przyjemniejsze i tańsze. Sam parlament wyglądałby idealnie. Obyczaje — jak twierdzą — poprawią się znacznie. To prawda. Ustanie rzucanie pulpitami i kałamarzami, a w ich miejsce wejdzie oczkowanie, wzdychanie, flirt, a co najwyżej wystawianie języka, albo perskie oko. Ja pierwszy z gustem dałbym się wy-

brać do takiego parlamentu mięszanego. Wybrałbym sobie takie miejsce, że po prawej, po lewej, przed sobą i za sobą miałbym po jednej koleżance, a ja siedziałbym w środku, jak pączek w bukiecie. Ty, Panie, Boże, miałbyś najwięcej uciechy, bo całymi dniami śpiewałbym psalmy dziękczynne na Twoją chwałę, iżeś mi w takim środeczku siedzieć pozwolił. Nie robiłbym obstrukcyi, ani opozycyi, chyba, gdyby mię kto chciał wyrwać stamtąd samego. Głosowałbym za wszystkiem, nawet za rozebraniem mojej austryackiej Ojczyzny, a gdybym kiedyś po położeniu wielu podobnych zasług umarł na posterunku, kazałbym sobie ze dwie koleżanki przywiązać do trumny, aby na tamtym świecie dalej radzić nad uszczęśliwieniem ludzkości.

To samò byłoby w Radzie miejskiej. Założyłbym się o głowę prezydenta Michalskiego, że gdyby w naszej Radzie siedziały kobiety, miejski zakład pogrzebowy byłby już od roku szczęśliwie funkcyonował, grzebiąc z każdym dniem coraz więcej obywateli. Do roku pochowałby połowę Lwowa. Nikt tak człowieka nie przekona, jak kobieta. Przekona, czy nie przekona, ale przynajmniej przegada, a jak nie przegada, to się rozpłacze i na swojem postawi. A oto przecież idzie. Tymczasem na onegdajszem posiedzeniu Rady upadły wszystkie wnioski co do zakładu pogrzebowego: wniosek, żeby go założyć, wniosek, żeby go odroczyć, i wniosek, żeby nie założyć — wszystko upadło. Skutkiem takiego głosowania, miejski zakład pogrzebowy nagle a niespodziewanie oderwał się od ziemi i zawisnął w powietrzu. Właściwie nie mógł oderwać się od ziemi, bo go jeszcze na ziemi nie było. A więc stało się z nim coś, czego nawet sprytna głowa prezydenta Michalskiego zrozumieć nie mogła i dopiero

trzeba było długi czas naradzać się i myśleć nad tem, co właściwie uchwalono. Do tego doprowadziliśmy, nie dopuszczając kobiet do naszego życia parlamentarnego. Nie wiem, kiedy to nastąpi, że będziemy mieli urocze rajczynie, ale to wiem, że sprawa miejskiego zakładu pogrzebowego do tego czasu czekać będzie. Na razie zakład pogrzebowy jest pogrzebany i niepogrzebany, założony i niezałożony, odroczony i nieodroczony, wysadzony i niewysadzony w powietrze. Taki jest rezultat ostatniego głosowania, a ty, kochany czytelniku, bądź z tego mądry i czekaj na magistracki pogrzeb.

Poświęciłem tej pogrzebowej sprawie z prostego obowiązku kronikarskiego kilka cennych uwag, ale za to na śmierć zamilczę cesarza Wilhelma i jego wizytę wiedeńską. W tym wypadku nie znam obowiązku. Powinien był cesarz niemiecki do Lwowa przyjechać, a nie do Wiednia, powinien był zamieszkać u pp. Brzezickich, a nie w Schönbrunie, a papierośnicę, wysadzaną brylantami, powinien był mnie podarować, a nie hr. Gołuchowskiemu. Skoro tego nie uczynił, nie istnieje dla mnie ta podróż i pomijam ją grobowem milczeniem. Niech wie, że nie lekceważy się ludzi, którzy z ekscelencyą Korytowskim żyją za pan brat.

VI.

24 czerwca 1906.

(Na co liczyłem i na jakiej podstawie? — Kwalifikacye na wiceprezydenta. — Trzy godziny u oprawcy. — Wszędzie protekcya. — Uznanie zasług po śmierci. — Mój projekt nazwania ulic. — P. Makowicz a Asnyk. — Gdzie powinien być cmentarz centralny? — Skutki oddalenia. — Weterynarze bez awansu — Dobroczynni studenci).

Przekonałem się w tym tygodniu, że nie warto wierzyć przyjaciołom. Liczyłem na to z całą pewnością, że p. Korytowski, dosłużywszy się ministeryalnego pirogu, mnie zamianuje swoim następcą we Lwowie. Nie zwierzałem się przed nikim, nawet sasemu ministrowi nic nie wspominałem, a tylko pragnąłem zwrócić jego uwagę na zalety mojego serca i rodzaj mego talentu. W tym celu chodzę od kilku tygodni po mieście i naciągam bliźnich. Gdzie mogę wydobyć parę koron, wydobywam, a jeśli mi kto winien koronę i oddaje, upominam się po raz drugi i trzeci, grożąc skargą i egzekucyą. Jeśli groźba nie skutkuje, pozywam opornego do sądu i puszczam mu graty na bęben. Nadto chodzę od domu do domu i badam stosunki majątkowe. Przekonałem się przy tej sposobności, że p. Korytowski miał racyę, twierdząc, że Galicya, to kopalnia złota. Narzeka się u nas na głód i nędzę, a tymczasem znalazłem wielu ludzi, którzy jedzą codziennie mięso. I to nawet nie końskie, bo konina już im nie smakuje i zachciewa im się wieprzowiny z wągrami. Wiem już, kto chodzi do teatru, a kto dwa razy miesięcznie do drogiej łaźni. Znam Lwów, jak własną kieszeń, i mam wszystko zanotowane. Nadto zapisałem się na kurs praktyczny do oprawcy miejskiego, gdzie codziennie przez trzy go-

dziny uczę się łupić skórę z psów i innych stworzeń. Krótko mówiąc, wykształciłem się na wybornego kierownika skarbowości krajowej i czekałem na nominacyę. Byłem pewny, że praca, zasługi i wykształcenie fachowe muszą na siebie zwrócić uwagę ministra. Ale zawiodłem się gorzko. Ekscelencya Korytowski szuka jeszcze zdolniejszego, a mnie pominął. On mówi, że to wszystko, co ja umiem, to jeszcze nic. U nas wszędzie protekcya, a praca, zdolności i zasługi nie znajdują uznania za życia.

Za to po mojej śmierci z pewnością ozdobią którąś uliczkę mojem nazwiskiem. Wprawdzie przy naradzaniu się nad tą sprawą gotów mnie spotkać ten sam despekt, co ś. p. Adama Asnyka i jakiś Makowicz może także moją działalność poetycką krytykować i porównywać z różnymi Gołębiami miejskimi, ale niewiele mi na tem zależy, aby moje nazwisko tłukło się na murach lwowskich Boulardówek po mojej śmierci i wolałbym za życia podpisywać tem nazwiskiem skarbowe kawałki. To i honorowo i zdrowo.

Inna rzecz, że radny p. Makowicz, który nigdy nie tykał żadnego z naszych poetów i literatów, nie chciał może dotknąć Asnyka. Nie miał nawet do tego żadnego powodu, bo go nie znał i nigdy o nim nie słyszał. Wiedział o nim chyba tyle tylko, że Asnyk nie był ani murarzem, ani lwowskim radnym miejskim. A już złości absolutnie do niego żadnej nie miał i poprostu wyrwało mu się jakieś słówko niechcąco. Oburzyło go bowiem, że ś. p. Gołąb, największy lwowski przedsiębiorca budowlany i ideał p. Makowicza, ma teraz ustąpić »jakiemuś tam« Asnykowi, o którym przecież p. Makowicz nie wie czy był astronomem, czy bankierem, czy weterynarzem miejskim. Na Radzie nigdy o nim nie mówiono, na posła u nas też

nie kandydował i kiełbasy nie rozdzielał. Miał więc racyę p. Makowicz, że przemawiał za takiem a nie innem nazwaniem ulicy.

Powinno tak być, że każda ulica dostaje nazwę od tego, który tam mieszkał i był najważniejszym mieszkańcem, albo przynajmniej działał wydatnie. Był radnym — dobrze, a był do tego budowniczym — jeszcze lepiej. Co nas obchodzą jacyś poeci, czy astronomi? Tak możnaby każdą ulicę stosownie nazwać, a ustałyby spory radnych, ataki pana Makowicza na literaturę, wydobywanie trupów z grobu i przybijanie ich do murów.

Widzicie więc, kochani czytelnicy, że sprawy miejskie leżą mi kamieniem na sercu i gdzie mogę pośpieszam ze światłą poradą i nauką, aby uszczęśliwić moje miasto i jego mieszkańców. Dlatego zasmuciłem się, gdym się dowiedział o zamiarze urządzenia cmentarza centralnego daleko za miastem. Nie wiem, kto podał tę myśl, ale wiem, że jest to pomysł z gruntu chybiony. Cmentarz centralny powinien się znajdować w samem centrum miasta. Ot naprzykład w tem miejscu, gdzie jest krajowa dyrekcya skarbu. Płacił człowiek przez całe życie, to potem sobie leży jak w swojem. Przewozowe zakłady pogrzebowe byłyby zbędne, bo każdy kładłby się sam do grobu, a w pogrzebie brałoby udział całe miasto.

Samemu miastu przybyłaby ozdoba, a przez cały dzień śpiewałyby chóry i grałaby muzyka wojskowa lub weterańska, coś w rodzaju żałobnej plac muzyki. Teraz będzie inaczej: Cmentarz centralny będzie daleko za miastem, to znaczy, że każdy pogrzeb będzie wyprawą za morze. Zanim kondukt stanie na miejscu, nie będzie już nikogo z rodziny, przyjaciół i pobożnych chrześcian, a oprócz nieboszczyka, trzeba bę-

dzie pochować karawaniarzy i konie. Nieraz nawet sam nieboszczyk będzie musiał wyleźć z trumny w połowie drogi i podpychać karawan, ażeby się dostać na miejsce wiecznego spoczynku. Miejski zakład pogrzebowy zbankrutuje, jeszcze zanim powstanie. Nie jest także wykluczone, że mieszkańcy, celem uniknięcia powyższych nieprzyjemności, powymierają o wiele wcześniej, to jest przed założeniem nowego cmentarza, ażeby się jeszcze dostać na upragniony cmentarz Łyczakowski. Jest tam wprawdzie mało miejsca i nieboszczyki poduszą się między sobą, ale za to opróżni się miasto i potanieją mieszkania i mięso.

To ostatnie powinno teraz w każdym razie potanieć. Jak długo rzeźnicy płacili weterynarzom w godzinach pozaurzędowych łapówki, musieli to odbijać na naszych kieszeniach. Ale dziś, gdy te łapówki ustaną, powinno wągrowate mięso być tańsze. Swoją drogą, że to wstrzymanie awansów weterynarzom miejskim na trzy lata, to wielka niesprawiedliwość. Oni tylko chcieli spróbować, czy wągrowate mięso zaszkodzi konsumentom, czy nie. A gdy się przekonali, że nie szkodzi, puszczali je dalej. To było takie zwykłe badanie naukowe i za to wstrzymano im awans. Ten brak uznania zniechęca ludzi do pracy.

Tak samo nie zrozumiano się na dobrych intencyach owych studentów krakowskich, którzy pobudzali ludzi do miłosierdzia i zbierali pieniądze na koncert dla wdów i sierót po poległych na Wschodzie bohaterach. Przekonali się później, że tam polegli sami kawalerowie, którzy nie zostawili wdów ani sierót, więc zaniechali koncertu. Kilka takich koncertów jakoś nie przyszło do skutku, więc chcieli wszystko razem odbić i urządzić raut fiołkowy. Wtedy — jak zwykle nie w porę — wdała się w to policya i roz-

biła wszystko. Naturalnie, że raut fiołkowy przy współudziale policyi, nie mógł przyjść do skutku. Teraz, za ich dobre serca, zamkną ich do kryminału, gdzie przez długie miesiące układać będą program następnego rautu, połączonego z koncertem. Ale ten zakasuje wszystkie poprzednie. Policya nie dostanie zaproszenia.

VII.

10 lipca 1906.

(Co wygrałem na wyścigach? — Mój redaktor. — Dlaczego prez. Michalski nie wyjechał? — Cielęcina w Radzie. — Kotlet na dwa miesiące. — Reorganizacya policyi według mego projektu. — Coś dla pieszej, a coś dla konnej. — Dziennik Lwowski. — Sezon ogórkowy. — Czy restauratorzy przepłukują szklanki?)

Czekałem na te wyścigi, jak na zbawienie. Myślałem, że obłowię się porządnie na totalizatorze i będę miał z czem pojechać na lato. Tymczasem wygrałem 5 koron i teraz ani z tem jechać, ani zostać. I to są lwowskie wyścigi.

Drugim powodem, dla którego wyjechać nie mogę, jest mój redaktor. Istnieje między nami cichy, nieumówiony układ: ja za niego pracuję rok cały, za to on za mnie w lecie odpoczywa i płucze się w morzu. Potem opowiada mi, co mu mówiły wieloryby. Tak zresztą dzieje się w każdem biurze. Wielkie ryby jadą do wielorybów, a małe ryby zostają w mieście przy śledziach. Dlatego przygotowuję strejk.

Pocieszam się tylko tem, że prezydent Michalski także wyjechać nie może, bo od tygodnia robi w cie-

lęcinie. I ma zadanie bardzo niewdzięczne. Każą mu teraz odświeżać cielęcinę, która jeszcze przed miesiącem była nieświeża. Prezydent Michalski nigdy nie był restauratorem lwowskim, więc tej sztuki dokazać nie umie. Poci się ile może i broni tej cielęciny z całych sił, nawet przy pomocy wiceprezydenta Rutowskiego, ale cielęcina jak śmierdziała, tak śmierdzi.

Mojem zdaniem, niepotrzebnie narobiono o to tyle hałasu. O tem, co już poszło do brzucha, trzeba zapomnieć. Co prawda nie da się to może tak łatwo zapomnieć, bo taka cielęcina nieświeża czasem kilka tygodni chodzi człowiekowi po żołądku i robi awantury, ale na to Rada miejska nie pomoże, tylko apteka. Zresztą wiceprezydent Rutowski wyraźnie wyjaśnił, że nie całe mięso było zepsute, i można było wykroić kilka zdrowych kawałków. Ale u nas robi się zaraz krzyki o byle co, a lada zdechłe cielę wyprowadza z równowagi całą Radę. Takie zepsute mięso ma swoje dobre strony. Zjadłem przed kilkoma tygodniami w restauracyi na placu powystawowym kotlet cielęcy i mam na dwa miesiące dość. Od tego czasu noszę w sobie ten kotlet, codzień o nim pamiętam, a na mięso patrzyć nie mogę i dużo już zaoszczędziłem. A nie chodziłem z tem ani do prezydenta, ani do weterynarza, ani do Rady miejskiej. Więc są dobre strony — jak powiedział dr. Rutowski — tylko trzeba je umieć wynaleźć, wykroić.

To samo z policyą. Ma ona swoje dobre strony, tylko trzeba je wydobyć na wierzch. Nie dokona tego ani nawoływanie dzienników, ani strzelanie do policyi, ani wystawianie języka, ani nawet muzeum złodziejskie.

Naszą policyę trzeba zreorganizować. Rzucił śmiało tę myśl dr. Dwernicki, ale jego plan nie podobał mi się, bo nie jest wyczerpująco obmyślany. Jabym tę

sprawę całkiem inaczej urządził. Naprzód zreformowałbym księżyce. Te dotychczasowe księżyce, to niby coś, niby nic. Zniósłbym więc półksiężyce, a zaprowadziłbym całe, okrągłe i wielkie, ażeby były puklerzem dla policyanta. U nas, kto nie chce, bije policyanta i obrzuca go kamieniami, a organ władzy bezpieczeństwa powinien przedewszystkiem sam być dobrze zabezpieczony. Taki księżyc powinien policyant nosić z przodu i z tyłu, ażeby i z tyłu można go było poznać, a także, aby i z tamtej strony był zabezpieczony przed zamachem. A również numer powinien dostać z obu stron i to w dwóch kolorach, aby można było poznać, gdzie front. Sam widok takiego policyanta powinien budzić podziw i szacunek.

Jeszcze inaczej zreformowałbym konną policyę. Dotąd spełnia ona swoje zadanie tylko połowicznie. Na jednym koniu powinni siedzieć dwaj policyanci. Jeden z twarzą do końskiej głowy, drugi z twarzą do ogona. Byłoby to trochę symboliczne, a zarazem bardzo praktyczne. Oko władzy byłoby zwrócone na wszystkie strony, a przytem mielibyśmy mniej koni, a więcej policyantów. Podczas szarży mogliby pałaszować na dwie strony, a gdyby nawet jednego z nich utrącono, zostałby jeszcze drugi na koniu, i mógłby pomścić pierwszego. W ten sposób ustąpiłaby zarazem bezradność naszych policyantów, bo co dwie głowy, to nie jedna. Przy uciekaniu tylny policyant robi front do tyłu frontowego, a frontowy robi front do frontu tylnego i obaj są znów bezpieczni.

W ten sposób zreformowawszy policyę, mógłbym już być całkiem spokojny o moją austryacką ojczyznę, a w szczególności o jej perłę, jedną z najpiękniejszych, o nasz Lwów. Rozumie się, że dałem tylko małą próbkę mojego planu reformy, bo nie

mam tu miejsca na cały projekt. Całość wydrukuję w nowo założonym *Dzienniku Lwowskim*, organie magistrackim, w którym się raz na dwa tygodnie drukować bądzie to, co Rada miejska uchwaliła, a czego magistrat nie wykonał. Jestto pomysł bardzo zdrowy założenie takiego dziennika. Szkoda tylko, że nie było go przed rokiem. Można mu będzie posłać na początek sprostowanie na podstawie przepisu § 19 ustawy prasowej, które musiałby wydrukować bezpłatnie: »Nieprawdą jest, jakoby magistrat założył jatki miejskie; nieprawdą jest, jakoby miał zamiar urządzić zakład pogrzebowy; nieprawdą jest, jakoby weterynarze brali łapówki tylko w godzinach pozaurzędowych; nieprawdą jest, jakoby cielęcina śmierdziała tylko w niektórych miejscach. Natomiast prawdą jest, że jatek miejskich ani zakładu pogrzebowego niema, z wyjątkiem samego ratusza, który jest zakładem pogrzebowym miejskim. Prawdą dalej jest, że weterynarze brali łapówki nawet w godzinach urzędowych, ponieważ cielęcina śmierdziała z góry na dół. I na odwrót. Z poważaniem *Obywatele*«. Takie sprostowanie musiałoby zrobić wrażenie i zwrócić czynność magistratu na właściwe tory.

Tymczasem ludzie opuszczają miasto i jadą na lato. Lwów wchodzi w sezon ogórkowy, a ci, którzy zostać muszą w mieście, chodzą po parku i na plac powystawowy. Na jarmarku wprawdzie nic nie kupują, ale za to z wyrobów krajowych najbardziej odchodzi piwo. Na tym punkcie nasz patryotyzm nie zostawia nic do życzenia. Gdzie niema pilsnera, tam pijemy chętnie piwo krajowe. Tylko lubimy przy tem trochę grymasić. Narzekamy, że restauratorzy nie przepłukują szklanek od piwa. Otóż to jest fałsz. Nietylko przepłukują, ale na znak, że przepłukali, zostawiają

w szklance wodę do połowy i potem dopiero dolewają piwa. Więc nietylko szklanka, ale nawet piwo jest przepłukane. Chyba o bardziej hygieniczne zarządzenie trudno. Ale my musimy narzekać. Nam trudno dogodzić. Jeden z restauratorów dorzuca nawet do piwa po kawałku mięsa, ażeby nam tylko dogodzić. A my mówimy, że on nie przepłukuje szklanek. Grymasy.

VIII.

22 lipca 1906.

(Mój strejk i jego powody. — Do prezydenta. — Żałoba z powodu mego strejku. — Ugoda i warunki. — Mięso lwowskie i rzeźnia, czyli dwie konieczności — Naprawa finansów i upadek loteryi liczbowej. — Przestroga dla loteryjników. — Ich patryotyzm. — Nieco o naszym zapale dla przemysłu krajowego).

Stosownie do zapowiedzi, strejkowałem w zeszłym tygodniu i dlatego czytelnicy, nie mając *Kroniki tygodniowej*, byli pozbawieni prawdziwej uczty duchowej. Powody mego strejku były dwa: nie chciałem pracować na dotychczasowych warunkach, a nadto nie chciałem dłużej jeść mięsa wągrowatego z naszej rzeźni miejskiej. Ponieważ redakcya twierdziła, że dobry kronikarz powinien mieć skromne wymagania i jeść każde mięso, przeto wybuchł między mną a redakcyą i urządziłem strejk. Na znak żałoby rozlałem atrament na biurku, strzaskałem pióro, zwołałem kilka najpiękniejszych czytelniczek i urządziłem na ich czele spacer demonstracyjny przed redakcyą. Następnie, wśród dźwięku podniosłych pieśni, udaliśmy

się do prezydenta Michalskiego z prośbą o interwencyę. Prezydent oświadczył nam, że *Kroniki tygodniowe* uważa za rzecz nietylko potrzebną, ale wprost bardzo konieczną dla dobra i pomyślnego rozwoju miasta, wobec czego przyrzekł zająć się moim strejkiem i doprowadzić czemprędzej do ugody. — Radził tylko wstrzymać się na razie z wybijaniem szyb redakcyjnych i urządzeniem demonstracyi przed konsulatami pruskim i rosyjskim, co przyrzekliśmy mu solennie, pomimo, że było to jednym z najcenniejszych punktów naszego programu strejkowego.

Wieść o moim strejku rozbiegła się lotem błyskawicy po mieście i wszędzie wywarła przygnębiające wrażenie. Gdy pojawił się niedzielny numer bez *Kroniki tygodniowej*, co było potwierdzeniem wieści o moim strejku, nastała w mieście panika. Wszystkie szkoły rozpuściły młodzież, połowa mieszkańców opuściła Lwów, uciekając na wieś lub zagranicę, konsul rosyjski wyprowadził się z miasta, jakiś student usiłował odebrać sobie życie, postanowiono zamknąć jarmark krajowy, ludzie przestali jeść końskie mięso, zniesiono capstrzyk z muzyką wojskową, a prezydent Michalski widząc, co się dzieje, także wyjechał ze Lwowa i nawet kazał to ogłosić w dziennikach.

Ale przedtem doprowadził do skutku ugodę między mną a redakcyą. Honoraryum będę miał wprawdzie mniejsze, ale mięso muszę jeść dalej to samo, bo wymaga tego zwyczaj, tradycya i jakieś nawet bliżej nieokreślone przeznaczenie. Są bowiem rzeczy, które stały się dla nas koniecznością. Nie pomogą artykuły w dziennikach, ani interpelacye w Radzie miejskiej, nie pomogą łapówki weterynarzy, ani wstrzymanie im awansu — mięso lwowskie, z którejkolwiek

strony by się do niego brano, a rzeźnia miejska, z którejkolwiek strony by ją oglądano, nie będą nigdy inne. Tak być musi, jak długo Lwów będzie Lwowem, jak długo ludzie nie odzwyczają się od mięsa z wągrami i nie wrócą z całym zapałem do mięsa końskiego.

Zostawmy więc te, co musi zostać, a zabierzmy się do naprawy tego, co się jeszcze da naprawić. Jedną z takich spraw piekących są finanse państwa. Wprawdzie uspokoił nas trochę minister Korytowski, oświadczając, że finanse naszej ojczyzny stoją nieźle, ale z drugiej strony powiedział nam, że dochód z loteryi liczbowej w roku ubiegłym znacznie się zmnieiszył. To ostatnie zaniepokoiło mnie poważnie, bo wiecie chyba, szanowni czytelnicy, że wiecznie przemyśliwam i łamię sobie głowę nad poprawieniem finansów Austryi. Loterya liczbowa ma wiele dobrych stron. Naprzód — jak powiedział pewien wielki urzędnik loteryjny — podrażnia ona ludność, a nadto można za małą kwotę wygrać wielką sumę. To święta prawda. Ja sam znam takich, którzy żyją w ciągłem podrażnieniu, szukając sposobu rozbicia loteryi. Całe życie grają, chodzą już nawet bez tej niewymownej części odzienia, pozbyli się już ostatniej pierzyny z domu, ale nie pozbyli się planu rozbicia całej loteryi. Inni odgrażają się rządowi, że lada tydzień trzy *terna,* jedno po drugiem, położą trupem całą loteryę i rząd. Jestto dowód, że ludność myśli, że dba o swoją przyszłość, ale zarazem jestto dowodem braku patryotyzmu takie rujnowanie instytucyi państwowych. A teraz mamy już skutki tego celowania w kasę rządową. Jeszcze trochę, a rozbiją loteryę na nic. Rząd zbankrutuje, minister skarbu pójdzie w odstawkę, a ludność straci sposobność podrażniania się i wygrywa-

nia wielkich sum. A więc, ostrożnie, panowie, nie wygrywać za wiele, nie narażać rządu na straty, i nie zmuszać go do zniesienia tak pożytecznej instytucyi. Bo przecież w końcu będzie musiał nastąpić krach loteryjny i zupełne jej zniesienie.

Kiedym już przestrzegł szanownych czytelników przed lekkomyślnem rujnowaniem skarbu loteryjnego, to wypadałoby jeszcze rzucić kilka słów gorącej zachęty do jej gorliwego popierania przez częste i wysokie stawki. Lecz znam społeczeństwo galicyjskie i wiem, że taka zachęta nie jest wcale potrzebną. Nigdzie tyle nie grają, ile u nas, bo nasze społeczeństwo zdaje sobie sprawę z tego, że pieniądze, jakie płyną z loteryi, obraca rząd na różne pożyteczne cele, jak nowe karabiny, nowe armaty, nowe kule, nowe dziury w starych karabinach i inne takie nowe rzeczy, tak bardzo potrzebne dla naszego rozwoju i dobrobytu. Społeczeństwo galicyjskie już z samych pobudek patryotyzmu obstawia wszystkie liczby naszej loteryi, a jeśli czasem lubi wygrać, to także tylko na to, ażeby w dwójnasób zwrócić to loteryi.

Szkoda tylko, że na mającym się wkrótce zamknąć jarmarku wyrobów krajowych nie wystawiono pawilonu kollektury loteryjnej, bo ten byłby pewnie miał większe powodzenie, aniżeli wszystkie inne. Są tam bowiem takie handle czy kramy, które dotąd nie miały jeszcze »początku«. Bo my to tak: Hałasujemy dużo w obronie przemysłu krajowego, ażeby się nasi wrogowie martwili, ale sami wyrobów tych nie kupujemy, bo o tem się szelmy i tak nie dowiedzą. Niemcy z początku irytowali się trochę tym naszym zapałem, a nawet na towarach swoich dawali polski napis »wyrób krajowy«. Lecz potem zaniechali tego, bo przekonali się, że właśnie ten napis odstrasza lu-

dzi od kupowania. I teraz idzie im znów dobrze. My zaś hałasujemy dalej, robimy jarmarki, swojski towar wysyłamy na plac powystawowy za miasto, a zagraniczny sprzedajemy i kupujemy w mieście. Na złość wrogom.

IX.

5 sierpnia 1906.

(Po wyjeździe cyrku. — Nasz honor uratowany. — Co nam groziło? — Sekatura władz, a porządki w masarniach. — Dlaczego Lwów odznaczono ua wystawie hygieny? — My a cholera. — Dyety poselskie podczas wakacyj. — Co zadecydowało o mojej kandydaturze? — Kawałek programu. — Drożyzna bielizny).

Odjechał *Buffalo Bill,* a jego dyrektor, p. Cody, przekonał się, że Lwów jest porządnem miastem. Honor nasz jest uratowany. Była chwila, w której myślałem — że cudzoziemcy wyniosą o nas niedobre wyobrażenie, że staniemy w obliczu Europy skompromitowani i zmartwiłem się srodze. Dzienniki bowiem uderzyły w wielki bęben, nawołując, by się naród nie dał brać na szumną reklamę, i wskazując na odstraszający przykład większych miast prowincyonalnych, które się dały naciągnąć. Kilka osób przysłało już nawet redakcyom swoje korony na rozmaite cele dobroczynne, »zamiast na *Buffallo Bill*«. Jednem słowem, groził krach cyrkowy, a co za tem idzie, poniżenie naszego miasta w opinii Europy i Ameryki. Bo jeżeli cała prowincya tak wydatnie poparła zabiegi i usiłowania amerykańskiego cyrku i przyjęła go z tak serdeczną gościnnością — jakżeby wyglądało, żeby

stolica kraju, która innym miastom gościnnością, jako wzór przyświecać powinna, przyjęła wielki cyrk chłodno, obojętnie i dopuściła do krachu. Europa, która zna nas z najlepszej strony i wie, że niema w świecie takiej tandety, któraby u nas nie znalazła odbiorcy, że niema takiej marnej tynglówki, któraby od nas nie wywiozła pieniędzy — ta sama Europa otworzyłaby szeroko zdziwione oczy, gdyby się dowiedziała, żeśmy zignorowali cyrk amerykański. I może nawet wzgardziłaby nami i nie przysłałaby nam już ani jednej śpiewaczki, ani jednego akrobaty, lub przedsiębiorcy teatru pcheł, tresownika kotów, murzyńskich tancerzy *Cake-walke*, fenomenalnych kobiet elektrycznych, klownów angielskich, japończyków galicyjskich, znakomitych brzuchomówców i t. p. I tak upadłaby u nas sztuka z kretesem, a na karcie atlasu przesunęłaby nas opinia daleko na wschód. To wszystko chciały i mogły narobić dzienniki.

Ale nasze społeczeństwo zbyt szanuje honor miasta, by się dało uwieść szumnym frazesom. Cyrk dał ośm przedstawień i ośm razy miał wypełnioną budę. Tak więc naród ocknął się samorzutnie i uratował swoją dobrą opinię. Dziś wrogowie nasi nie mogą nam robić zarzutu niegościnności. Kosztowało nas to kilkaset tysięcy, a z całej Galicyi wyniósł »pułkownik Cody okrągły milionik albo i więcej, ale za to pewnie o nas powie, żeśmy poczciwi i porządni ludzie. Bylibyśmy mu nawet więcej przedstawień zapełnili, ale odjechał. Więc nie nasza wina.

A i prezydent Michalski powinien nam być wdzięczny, że w jego nieobecności podejmujemy gości tak gościnnie. Natomiast inni skorzystali z jego nieobecności i rozgospodarowali się w mieście jak szara gęś. I tak np. dyrektor rzeźni p. Gotlieb zaczął ob-

chodzić masarnie tutejsze i pozamykał jedną za drugą. Powiada, że panuje w nich świństwo i niechlujstwo. Otóż to jest sekatura. Wiadomą jest rzeczą, że gdzie drzewo rąbią, tam drzazgi lecą, a więc gdzie przerabiają świnie, tam musi panować świństwo. Masarnia przecież nie jest fabryką perfumy, a już to ma do siebie świński przemysł odkąd świat światem, że na punkcie zapachów i czystości nieco szwankuje. — Już dawno podbierali się rozmaici niepowołani ludzie do prześladowania masarń lwowskich, ale jak długo prezydent Michalski był obecny we Lwowie, żadnemu wieprzowi włos z głowy nie spadł. Aż dopiero teraz skorzystano z nieobecności prezydenta i wytoczono jakieś dzikie pretensye, aby w masarniach zaprowadzić europejski porządek. A potem... co to znaczy europejski porządek?

W Europie teraz właśnie panuje taki nieporządek, że najlichsza masarnia lwowska by się z nią nie pomieniała. A zresztą lwowskie porządki i stosunki zdrowotne są już zbyt znane, byśmy je mieli teraz kwestyonować. Przecież niedawno miasto nasze zostało odznaczone zaszczytnie na wiedeńskiej wystawie hygieniczniej. Nie bardzośmy się tem chwalili, bo to się nam słusznie należało. Jeżeli żyjąc we Lwowie tyle lat nie powymieraliśmy wszyscy, to nasze organizmy są tak zdrowe i odporne, że zasłużyliśmy na najzaszczytniejsze uznanie. Możemy sobie z dumą powiedzieć, że nic nam już nie zaszkodzi: ani wydusi nas morowe powietrze, ani zatruje robaczywa kiełbasa, cuchnąca cielęcina i wągrowate mięso, my to wszystko połkniemy, popijemy na to porcyę wody z sadzawki w parku Kilińskiego, i spytamy: co jeszcze? Przyjechał raz do Lwowa jakiś »artysta«, który chciał się produkować wytrzymałością swego

żołądka na wszelkie trucizny. Po dwóch dniach uciekł ze Lwowa. Trucizmy mu nie zaszkodziły, ale lwowskiem jedzeniem popsuł sobie żołądek. A także i dlatego uciekł, że go nikt nie był ciekaw oglądać. Lwowianie są więcej wytrzymali na rozmaite trucizny, i nietylko nic sobie płacić nie każą za swoją sztukę, ale jeszcze dopłacają i drogo płacą.

Dlatego naprzykład śmiejemy się teraz, kiedy nam donoszą z husiatyńskiego powiatu, że tam się pojawiła cholera. Co nam cholera zrobi? Niech ona tylko zaglądnie do Lwowa, to sama tu zdechnie. Udusi się szelma naszym kurzem, albo się otruje w naszych żołądkach i przepadnie. Tem się przecież tłumaczy, że we Lwowie od szeregu lat żadna porządna epidemia utrzymać się nie może.

Bakcyle jak się pojawiają, tak zdechają ulegając naszym lwowskim silniejszym. I stąd przeludnienie miasta, brak mieszkań, niesłychana drożyzna, wyuzdanie i demoralizacya niższych sfer i wszystkie inne klęski lokalne. Zdaje mi się, że dostatecznie wykazałem, jak bardzo nieusprawiedliwioną jest sekatura naszych władz miejskich wymierzona przeciw lwowskim masarniom. A więc w imię sprawiedliwości i dobrobytu, w imię idei poprawy stosunków zaprotestujmy przeciw tej sekaturze i zawołajmy zgodnie: precz z porządkami!

Powinni się tem zająć nasi posłowie, którzy przecież i podczas wakacyj mają się opiekować miastem i jego mieszkańcami i ich masarniami i tychże porządkami, jeśli chcą podczas wakacyj pobierać dyety poselskie. Tę uznania godną nowość wprowadził parlament austryacki w tym tygodniu i teraz już powziąłem stanowczą decyzyę co do mojej osoby. Dotychczas wahałem się, czy mam kandydować przy naj-

bliższych wyborach, czy nie kandydować. Obliczyłem bowiem, że skoro podczas wakacyj nie dają dyet, to nie opłaca się ten cały interes. W lecie człowiek więcej potrzebuje na chłodniki, aniżeli w zimie na rozgrzewkę. A zresztą nie wiem, dlaczego za ferye posłowie nie mają posłowie brać pieniądze. Znam takich posłów, którzy od sześciu lat obchodzą ferye i w parlamencie ich dotąd nie słyszano, a jednak wypłacają im dyety. To też stało się dobrze, że teraz już i za ferye płacić będą dyety a ta nowość uratowała moją osobę dla dobra Austryi.

Możecie więc liczyć na mnie panowie wyborcy i zachować dla mnie wasze głosy. Jako poseł dźwignę odrazu wasze miasto i wasz dobrobyt, a tak długo nie spocznę, aż zobaczę w garnku każdego mieszczanina lwowskiego przynajmniej funt mięsa końskiego. Tem więcej będę wam teraz potrzebny, że już dziś ogłaszają fabrykanci o podrożeniu bielizny. Lwowianin, który przyzwyczajony jest przynajmniej raz na dwa tygodnie zmieniać bieliznę, będzie odtąd musiał wyrzec się tego zbytku i świeżą koszulę tylko co pół roku wdziewać. Jakże wobec takich stosunków można się dziwić, że ludzie oszukują się wzajemnie, upijają się z desperacyi, strzelają do policyantów, gwizdają przed konsulami, nie płacą podatków, nie chodzą do cyrków i tak bardzo się okradają, że jedni drugim wykradają szczęki sztucznych zębów z gęby, jak to w tym tygodniu miało miejsce w pewnym hotelu tutejszym, nielepszym i niegorszym od tylu, tylu innych.

X.

12 sierpnia 1906.

(Co czeka prezydenta Michalskiego? — Grosz grunwaldzki. — Alternatywa. — Groźba powieszenia na kiełbasie. — Ucisk rzeźników. — Niemiecki dokument. — Prowokacya tramwaju konnego. — Ustąpić z drogi! — Klejnot policyi i jego brylantowa afera. — Pan Günsberg ma respekt dla wielkich uszu.— Dwie nowe nauki do dawnej trzeciej).

Lubię szczerze prezydenta Michalskiego i dlatego radzę mu, ażeby tak rychło nie wracał do Lwowa z urlopu. Sam bowiem nie wie, co go tu czeka. Naprzód zabierzemy się do niego w sprawie funduszu grunwaldzkiego. Jeszcze prezydent nie rozpakuje swoich tobołów podróżnych, kiedy mu każemy wytłómaczyć się, dlaczego oddał grunwaldzki pieniądz Kołu Pań T. S. L., podczas gdy był cel inny. Gdyby się jąkał i nie umiał wytłumaczyć swego kroku, zagrozimy mu procesem i postawimy mu alternatywę: albo proces, albo zapłać ze swojej kieszeni. Jest jednak nadzieja, że prezydent Michalski, który się wyłabudał z większych opresyj, i z tej wyjdzie czysty, jak anioł. Wyszle wiceprezydenta dr. Rutowskiego na urlop i powie Radzie, że sprawy funduszu granwaldzkiego nie można załatwić aż do powrotu wiceprezydenta. Albo co innego powie. Ale nie na tem koniec.

Zaledwie oczyści się ze sprawy grunwaldzkiej, wystąpią lwowscy masarze, i na prywatnej audyencyi przedstawią prezydentowi całą okrutną bezwzględność organów magistrackich, które z niewiadomych bliżej przyczyn prześladują lokale kiełbaśnicze i zamykają je w nieobecności prezydenta, żądając jakichś porządków. Niech więc mieszczański prezydent zrobi jakiś porzą-

dek z tymi porządkami i ujmie się stanowczo za całym stanem lwowskich masarzy, jeśli nie chce, aby zagrożeni w swoim bycie i doprowadzeni do rozpaczy masarze, powiesili go na najcieńszej i najtrwalszej kiełbasie, zwanej kabanosem. Prezydent przyrzeknie przywrócić wszystko do dawnego stanu, zapewniając deputacyę, że pamiętać będzie zawsze nawet o najmniejszym wieprzu. Ale nie na tem koniec.

Jeszcze nie wyjdzie z biura prezydenta ostatni masarz, kiedy stanie przed jego obliczem deputacya czerwonych nietylko z oburzenia i spoconych nietylko z pracy rzeźników lwowskich z panem Mokrzyckim na czele. Skarga ich będzie straszna, jęki okrutne. Nie dość, że nie wolno im już wchodzić w porozumienia z weterynarzami miejskimi nawet w godzinach pozaurzędowych, niedość że publiczność mięsożerna lekkomyślnie grymasuje i chce, żeby na całe cielę ani połowa nie śmierdziała, niedość, że rzeźnicy lwowscy ścierpieć musieli sprowadzanie prowincyonalnej padliny, nie dość, że rzeźnicy skutkiem tych i tym podobnych kataklizmów gremialnie powystępowali z Eleuteryi i zaczęli pić z rozpaczy, to jeszcze w dodatku w nieobecności prezydenta uchwalono założyć halę rybną i targowicę mięsa, co ma na celu nic innego, jak tylko potanienie mięsa i ryb.

Rzeźnicy lwowscy pracowali długo i mieli dużo przeszkód do zwalczenia, zanim udało im się podnieść ceny mięsa do dzisiejszej wysokości, musieli użyć niesłychanych wpływów, ażeby nie dopuścić do założenia jatek miejskich, a dziś urządzają i obmyślają im rozmaite figle, aby ich zniszczyć. Tego stanu rzeczy nie ścierpią rzeźnicy lwowscy i zapytują, co prezydent zamierza uczynić, aby zapobiedz uciskowi stanu rzeźnickiego. Groźna postawa rzeźników i ich słuszne

żądania zmuszą prezydenta Michalskiego do dania im uspokajających zapewnień, że staraniem jego będzie nie dopuścić do żadnych nowych urządzeń, zmniejszyć lub usunąć ucisk rzeźników, dopomódz do podniesienia cen mięsa i przywrócić dawny tak pożądany stosunek rzeźników do weterynarzy miejskich.

Jeszcze nie obetrze przerażony p. Michalski potu z prezydenckiego czoła, gdy doręczą mu długie pismo niemieckie pochodzące ze sfer wojskowych. Zawaha się na chwilę p. prezydent, czy jako Polak ma czytać akt napisany w języku hakaty, czy też ma go odstąpić I wiceprezydentowi. Uczucie patryotyczne weźmie górę i pan prezydent odeszle akt niemiecki drowi Rutowskiemu do przeczytania i załatwienia. Ale w tej chwili wnijdzie do biura dygnitarz wojskowy i spyta pana prezydenta, czy i jak załatwił już skargę wojskowości w sprawie nagannego zachowania się lwowskiego tramwaju konnego. Zdarzył się bowiem w tym tygodniu fakt niesłychany i nader smutny, iż tramwaj konny nie uważał za stosowne ustąpić maszerującemu oddziałowi wojska. Wiadomą jest rzeczą, iż wojsku a nawet poszczególnemu członkowi armii każdy ustępować winien: koń, człowiek, krowa, fiakier, kominiarz, automobil a zatem i tramwaj. Tymczasem wspomniany wóz tramwaju konnego nie ustąpił z drogi mimo wezwania. Nie dziwilibyśmy się, gdyby to był jeszcze tramwaj elektryczny, bo ten jest na górze przyczepiony do drutu i nie mógłby może dlatego zjechać z szyn, choć i on jest obowiązany ustąpić. Ale tramwaj konny mógł to z łatwością uczynić, bo proste zjechanie z szyn na chwilę nie spowodowałoby żadnej znaczniejszej katastrofy, podczas gdy takie prowokujące zachowanie się tramwaju konnego i uporczywe nieustępowanie maszerującej

wojskowości, naraziło oddział wojskowy na poniżenie swojej powagi przez ustąpienie lada tramwajowi z drogi.

Prezydent, jako gospodarz miasta i naczelnik gminy, obecnej właścicielki tramwaju konnego, powinien bezwłocznie ukarać winnych lub wydalić ich ze służby, a nawet z miasta, a zarazem wydać najenergiczniejsze zarządzenia, ażeby odtąd wszystko, co w mieście żyje, nie wyłączając tramwajów i kamienic, jak najspieszniej ustępowało z drogi wojskowości. Prezydent przyrzeknie zbadać sprawę i zarządzić wszystko, aby nic wojskowości nie właziło w drogę, zwłaszcza, gdy idzie ćwiczyć się w bronieniu i rozszerzaniu ojczyzny.

Prócz powyższych czeka prezydenta cały szereg spraw innych drobniejszych, z którymi wstrzymujemy się aż do jego powrotu. Wisi więc w powietrzu groźna chmura, która gotowa zalać pana Michalskiego. Dlatego radzę mu nie przyjeżdżać tak rychło i przedłużyć urlop. Niech się tymczasem uspokoją gorące głowy, niech chmurę rozpędzi wiatr zbliżającej się jesieni, a potem niech wraca. Tak samo robią i inni. Zresztą we Lwowie jest dość bezpiecznie. Jak długo bezpieczeństwo publiczne spoczywa w dzielnem ręku p. Günsberga, możemy spać spokojnie, i z otuchą spoglądać w przyszłość. Rzeczy ludzkie nie zaprzątują już umysłu tego znakomitego męża — on już sięga do nadludzkich. Wpadło mu bowiem w tym tygodniu na myśl, że można naprzykład starą babą tak długo trząść, dopóty się z niej nie wytrzęsie brylantowych kolczyków. Gdyby to choć była jakaś bogaczka, to potrafi ostatecznie każdy, ale pan Günsberg trząsł starą biedną służącą. Durna baba nie wiedziała o co chodzi i płakała. A tu chodziło o brylantowe kolczyki

za tysiączkę. Nie wytrząsł p. Günsberg nic, a kolczyki znalazły się gdzieindziej.

Teraz twierdzi, że mu tę sługę wskazała jako złodziejkę właścicielka uszu ozdobionych tak drogimi i ciężkimi brylantami. Pan Günsberg, który miał wielki respekt dla tak bogatych, wytrzymałych, a zatem wielkich uszu, musiał uwierzyć na słowo i zabrał się do trzęsienia służącej. Teraz będzie już ostrożniejszy, bo wyniósł z tej brylantowej afery dwie złote nauki: 1) nie można bezwzględnie polegać na ludziach, którzy mają wytrzymałe, wielkie uszy, a 2) nie ze wszystkiego, czem człowiek trzęsie, można wytrząść brylanty. Te dwie doskonałe nauki weźmie p. Günsberg na dalszą drogę swojej policyjnej karyery i dołoży je do trzeciej, dawniejszej, a tak dobrze znanej, że człowiek przez całe życie uczy się coraz więcej rozumu, a umiera durnym... Ba!...

XI.

19 sierpnia 1906.

(Czy rząd centralny nas zaniedbuje? — Nowa fabryka kart w Galicyi i jej znaczenie cywilizacyjne. — Niemieckie karty a polskie karty. — Prowincya a stolica. — Komu to zawdzięczamy? — Portrety fundatorów. — Nowość dla Lwowa. — Dawne gumy schodzą na psy. — Czy wystarczą trzy dorożki?).

Ci wszyscy, którzy twierdzą z uporem, że rząd centralny nas zaniedbuje, forytując inne kraje koronne, mieli w tym tygodniu sposobność przekonać się, że twierdzenie ich jest fałszem. Istniała dotychczas na całą Austryę jedyna fabryka kart do grania w Wiedniu. Teraz jakiś galicyjski przemysłowiec otrzymał

koncesyę na otwarcie drugiej w Austryi fabryki kart w Stryju. Trzeba przyznać, że jedna fabryka kart na całą Austryę nie wystarczała, bo nie mogła tyle talij nastarczyć, ile potrzebowano. Firma »Piatnik i Synowie«, tak dobrze znana i zasłużona, dorobiła się milionowej fortuny, świat nie mógł na to patrzeć obojętnie. Znalazło się wielu przedsiębiorczych ludzi, którzy zrozumieli, że przemysł karciany, to jeden z najpewniejszych, bo nigdy z mody nie wychodzi. I z rozmaitych krajów koronnych zaczęto rządowi centralnemu wiercić dziury w brzuchu, ażeby dał koncesyę na fabrykę kart, bo zachodzi gwałtowna potrzeba. Ale rząd długo wahał się, komu ma dać koncesyę, t. j., w którym kraju najwięcej kart potrzeba. No i dał Galicyi.

Nam dał rząd fabrykę kart do grania, a razem z nią dał dowód wielkiej sympatyi dla naszego kraju i zrozumienia naszych interesów. — Istotnie nigdzie tak bardzo nie dawał się odczuwać brak kart, jak w naszym kraju. Z prawdziwie galicyjską cierpliwością znosiliśmy sekatury wiedeńskiej firmy Piatnik, która nigdy nie przysyłała nam tyle kart, ile nam było potrzeba, a nadto przysyłała nam karty liche. Taka wiedeńska talia kart zużywała się tak szybko, że gdy jakieś kółko zaledwie przez dwie doby grało naprzykład ferbla, nie ruszając się z miejsca, musiano karty sześć razy zmieniać, co naturalnie przeszkadza grze, odwraca szczęście gracza i powoduje koszta. A potem obrażało to nasze uczucia patryotyczne, że zmuszeni jesteśmy grać kartami drukowanemi w języku hakaty. Może nawet i w tem leżał nasz wieczny pech w grze. Wiadomo bowiem, że gdy kilka osób gra przez dłuższy czas w kawiarni w niemieckie karty, to potem wszyscy od stołu wstają bez centa.

Wszyscy »są przegrani«. I nie mogło być inaczej. Niemiecka karta nie mogła polskiemu graczowi przynieść szczęścia. Musieliśmy zaś używać kart niemieckich, bo nie było polskich. Dziś będzie inaczej. Każdy będzie mógł polski pieniądz przegrywać w polskie karty. Pieniądz, wydany na karty, zostanie w kraju, a galicyjski przemysłowiec wyruguje z kraju obcy produkt. Nowej fabryce można już dziś wróżyć olbrzymie powodzenie, a pomysł stryjskiego przedsiębiorcy był poprostu złoty.

Zapyta mnie teraz szanowny Czytelnik, dlaczego, jeśli już rząd wyszczególnił nasz właśnie kraj tą łaską, dał koncesyę na Stryj, a więc na miasto prowincyonalne a nie na stolicę kraju, na Lwów? Na to odpowiedź prosta. Rząd postąpił w tym wypadku, jak zresztą zawsze, rozsądnie. Badając zapotrzebowanie kart, doszedł do rezultatu, że najwięcej kart używa i potrzebuje prowincya. W galicyjskiem kasynie prowincyonalnem znajdziesz jeden lub dwa dzienniki, ale za to kilkanaście nowych talij kart w zapasie. Można powiedzieć, że nasza prowincya na kartach stoi. Gdyby naprzykład — co nie daj Boże — spalono naraz wszystkie karty i nie można było wydrukować nowych, to prawie wszyscy urzędnicy z obawy przed śmiercią z nudów, bezzwłocznie podaliby się o przeniesienie do stolicy. Taki przynajmniej — jak mi mówiono — jest rezultat badań rządu i to było powodem, że rząd zdecydował się urządzić fabrykę kart na prowincyi.

Nie znaczy to, by Lwów miał być w tyle co do zapotrzebowania kart do gry. I owszem. My nawet przodujemy innym miastom. Ale sam Lwów nie może iść w paragon z całą prowincyą i z tego względu jej musimy przyznać pierwszeństwo.

Nie zapominajmy przy tem, szanowni Czytelnicy, że karty już poszły w szerokie masy i obce wyrazy, jak: *»blind«, »majzel«, »besser«, »cupass«* i t. d. dają się już nawet słyszeć w krzakach Wysokiego Zamku lub parku łyczakowskiego. I w tem leży ich znaczenie kulturne i cywilizacyjne, czego nam bagatelizować nie wolno. Może nawet spadnie liczba analfabetów w kraju, gdy nasi prostaczkowie zaczną się uczyć na kartach czytać i rachować. Ale na kartach polskich, krajowego wyrobu. My zaś wdzięczni być winniśmy rządowi, że kraj nasz wyszczególnił przed innymi, a wdzięczność ta niech idzie prosto pod adresem eksc. Korytowskiego, polskiego ministra austryackich finansów, bo on dał nam tę fabrykę krajową.

Jest to już druga nasza wdzięczność dla tego znakomitego rodaka. Pierwsza należy mu się za to, że nasz kraj opuścił. Wychodzi bowiem teraz na jaw tajemnica, o jakiej nie słyszeliśmy dotąd. Oto fundatorowie gmachu krajowej Dyrekcyi skarbu, uwiecznieni w portretach wewnątrz ścian tego gmachu, nie mogli patrzeć na to wszystko, co się tam działo i dzieje, odkąd tam zaczęto gromadzić finanse kraju, i kazali się pozalepiać gipsem i wapnem. Dziś po wyjeździe eks. Korytowskiego wylazły znów ich twarze pogodne z poza warstwy gipsowej i bazyliszkowym wzrokiem przypatrują się dalszej gospodarce. Pana Korytowskiego nie ma, ale lepiej było zostać pod gipsem, bo stosunki, raz wprowadzone, nie zmieniły się na lepsze i nie tak rychło się zmienią.

Za to zmieniło się u nas wiele innych rzeczy. Między innymi zmieniły się, albo przynajmniej zmienią się w najbliższym czasie środki komunikacyi w mieście, bo dostaniemy automobilowe dorożki. Tę nowość powitać należy z niekłamanem zadowoleniem. Dotych-

czas bowiem tylko bogaci ludzie mogli sobie pozwolić na ten kosztowny sport, odtąd nawet najbiedniejszy mieszkaniec Lwowa będzie mógł — jeśli zechce — przejechać się z miasta do placu powystawowego za... *12 koron*. Będzie wprawdzie musiał pracować cały tydzień, ale za to przejedzie się w samochodzie, jak baron. Tak my wszystko robimy tylko dla biedniejszych i o nich tylko pamiętamy.

Swoją drogą, że ta nowość zmieni nieco i fizyognomię ulic. Dotychczas do szyku należało przejechać się na gumach. Znam ludzi, którzy w ostatnim roku dużo jeździli dorożkami, ale ani razu nie wzięli dorożki zwykłej, niegumowej, ażeby nie splamić sobie honoru i nieraz, gdy zabrakło »gumowców«, nawet godzinami czekali na placu Maryackim, aż przyjechała drynda gumowa. Teraz guma zejdzie na psy. Gumowcami jeździć będą odtąd dyurniści, nauczyciele ludowi, mniejsi grajzlernicy, wojskowi niżej feldwebla, ubożsi studenci i wogóle ludzie, którzy niewiadomo z czego i po co żyją. Nawet »panienki« porzucą gumowe fiakry, które spospolicieją na nic.

Natomiast zabierzemy się do dorożek samochodowych z całym zapałem, godnym benzyny. Wszystko co żyje i pragnie pokazać, że żyje, rzuci się raptem do samochodów. Ale tu sęk. Będą tylko trzy takie dorożki, a u nas jest tylu ludzi, potrzebujących jazdy w samochodzie, że ani tuzin takich fiakrów benzynowych nam nie wystarczy. Otóż powinniśmy, póki czas, zaradzić temu »szparsystemowi« automobilowemu i postarać się o zniesienie zupełne wszelkich innych końskich dorożek, a nawet tramwajów i zastąpienie ich automobilami. Albo niech nam przynajmniej dadzą więcej, ale trzy a nic, to jedno. Te trzy wywołają tylko kwasy, głuchy pomruk obywateli, a może na-

wet bierny opór. Takie trzy dorożki, to prowokacya ludności i lekceważenie najważniejszych naszych potrzeb. Niech się nad tem zastanowią ci, do których to należy.

XII.

26 sierpnia 1906.

(Tydzień pechu. — Katastrofa kolejowa bez mojego współudziału. — Dlaczego chciałem brać udział? — Za co kolej płaci? — Pech w katastrofach. — Zęby śpiewaczki. — Kolejowy wstrząs nerwowy i inne wstrząsy cywilne. — Metoda dyrektora Schechtla i jego zamiary. — Dlaczego Schechtel nie nosi półksiężyca? — Symbol).

Ubiegły tydzień zaliczam do najbardziej pechowatych ze wszystkich tygodni, jakie udało mi się dotąd przeżyć we Lwowie. Nie wiodło mi się od samego początku, przez cały tydzień prześladował mię jakiś pech, a historya ubiegłego tygodnia, to *rendezvous* wszystkich moich pechów. Ręczę, że gdybym był kawalerem, byłbym się z pewnością w tym tygodniu ożenił. Jeszcze szczęście, że jestem żonaty i nie wolno mi było ożenić się po raz drugi.

Już z końcem tamtego tygodnia wiedziałem, że bieżący tydzień będzie kiepski. Bo u mnie to zawsze tak: jak jeden tydzień kiepsko kończę, to cały drugi będzie niedobry. Teraz było to samo. Była katastrofa kolejowa, a ja nie brałem w niej udziału. Trzydzieści razy w roku jeżdżę po tej linii Lwów-Stanisławów tam i napowrót, a ile razy jadę, tyle razy marzę o jakiemś wykolejeniu, o jakimś bodaj karambolu lub przewróceniu się mojego wagonu do góry nogami — jechałem tędy tydzień przed katastrofą i trzy dni po katastrofie, a w dniu katastrofy siedziałem cicho na

wsi, i nawet mi do głowy nie przyszło, żeby się trochę przejechać. To się nazywa pech.

Proszę mnie nie posądzać, jakobym się nosił z zamiarem samobójczym. Coś podobnego ani mi w głowie, nawet w drugiej połowie miesiąca. Ale takie kolejowe bumbum może człowiekowi wpędzić kilkanaście tysięcy do kieszeni. Nie znam łatwiejszego, przyjemniejszego i bardziej legalnego zarobku. Połamaliście mi kości, to zapłaćcie, albo was zapozwę przed sąd. Kolej na takim interesie nie zbankrutuje, a człowiek kupiłby chałupę i siedziałby sobie, jak u Pana Boga za ciepłym piecem. Co prawda, trzeba koniecznie przy takiej okazyi odnieść jakiś szwank. Bo kolej powiada, że za byle co nie płaci. Trzeba co najmniej złamać rękę, utrącić kawałek nogi, albo wybić sobie jakiś ważniejszy ząb.

Im więcej zębów, tem więcej tysięcy. Za zęby płaci kolej najwięcej. Jakaś artystka wzięła przed kilku laty za 6 wybitych podczas katastrofy kolejowej zębów aż sto tysięcy reńskich. No proszę powiedzieć, czy to nie jest złoty interes. Gdy jej wypłacono pieniądze, pytała swego adwokata, czy kolej nie odkupiłaby od niej reszty zębów po zniżonej cenie, ale kolej nie chciała. Przecież niejeden człowiek ma w gębie pełno zdrowych zębów, a nie ma co gryźć. Taki dałby sobie wybić wszystkie zęby, nie wyłączając sztucznych i plombowanych, żeby na nich zrobić interes. Ale trzeba mieć szczęście. Człowiek obciążony pechem wybije sobie swoje zęby na bruku lwowskim, połamie je na pieczeni w restauracyi, daje sobie je wyrwać u dentysty, któremu dopłacić musi, pozwoli je sobie daremnie wybić łyczakowskiemu piaskarzowi, który mu jeszcze zabierze zegarek i gotówkę, ale nie będzie miał szczęścia stracić je w ka-

tastrofie kolejowej i zrobić na nich majątek. Dlatego nie powinienem się martwić, żem swoich zębów nie zaniósł w krytycznym czasie na miejsce katastrofy.

Założyłbym się o głowę dyrektora Schechtla, że gdybym nawet był jechał przypadkiem w owym rozbitym pociągu, to byłbym wyszedł z katastrofy cały i zdrów jak ryba. Jak pech to pech. Inni mieli szczęście. Kilkadziesiąt osób ciężko lub lekko rannych. Ci zrobili terno. Mają znaki, sińce, rany, dali się zbadać, a teraz wezmą pieniądze. Kto nie ma widocznej namacalnej rany, ten przynajmniej mieć musi wstrząs nerwowy. Ja miewam taki wstrząs nerwowy kilka razy dziennie. Urządzają mi go wierzyciele, żona, administracya podatków, muzyka tramwajowa, piękne kobiety, brzydkie kobiety, słowem kto chce — a nikt mi za to nie płaci. Gdy ci kolej taki wstrząs urządzi, już sięga ręką do sakiewki i pyta, ile żądasz. Bo kolej to hojna instytucya i za każdą katastrofę płaci grubo, choć niechętnie. Mam jednak sposób, który zapobiegnie na przyszłość wszystkim katastrofom kolejowym.

Niech mnie kolej da gratisowy bilet roczny, i każe mi podróżować bezustannie po wszystkich liniach kolejowych. Z pewnością nie będzie katastrofy.

Od tego rozpoczął się mój pech a potem szło już gładko, jakby mię kto wysmarował. Niech mnie zrobią oficerem u Kurkowskiego, jeśli jestem w stanie wyliczyć wszystkie kataklizmy, jakie mię w tym tygodniu nawiedziły. To też nie wyliczam ich wcale, aby nie zasmucić nikogo. Nie mogę jednak przemilczeć faktu, który omal nie skompromitował mnie wobec całej opinii publicznej. Oto wczoraj chciał mnie aresztować policyant. Mam wielki szacunek dla poli-

cyantów, ale nie wiedziałem, czem ściągnąłem na siebie gniew mego pogromcy. Anim pod Mickiewiczem nie przemawiał do wszystkich sklepów przy placu Maryackim, anim żadnemu konsulowi szyb nigdy nie wybił, nikogo do strajków nie namawiał, nie wystawił języka organowi władzy, konia policajskiego za ogon nie szarpnął, żabek mu pod nogi nie rzucał — słowem jestem szanującym się obywatelem, który niczem na taki despekt nie zasłużył.

Zanim jeszcze spytałem mego przyjaciela, dlaczego mnie chce odrębnić od reszty wolnego społeczeństwa, oświadczył mi z uprzejmym uśmiechem, że mnie »harytyruje za kolportki«. Zauważył bowiem w mojem ręku parę różnych dzienników. Teraz dopiero nieco ochłonąłem i zrozumiałem o co chodzi. Jąłem tłumaczyć zastępcy rządu moją dziewiczą, niemal dziecięcą niewinność w tej sprawie, ale on powtarzając tylko »nu nu«, poszturkiwał mnie delikatnie w łokieć i zachęcał mnie do towarzyszenia mu na inspekcyę. Dopiero za wdaniem się jakiegoś urzędnika policyi puścił mnie wolno i nawet nie kazał mi się rozejść. To moje zajście było koroną fatalnego tygodnia. Swoją drogą podoba mi się ta metoda pana dyrektora Schechtla. On chce wyszkolić swoich ludzi. Widzi, że policyant, choćby na swoim księżycu stanął, to złodzieja nie wyłapie, więc niech się uczy łapać kolporterów. Nie ma teraz wieców politycznych i nie ma kogo rąbać, więc tymczasem porąbali obłąkanego, aby nie wyjść z wprawy. Nie ma teraz kogo aresztować, więc się dla wprawy aresztuje kilkunastu biednych ludzi. Nie można zdobyć kradzionych rzeczy, które złodzieje dobrze schowali, więc się zdobywa kilkanaście numerów gazety, kilka zdartych z kolporterów rękawów i kilka czapek dla muzeum złodziejskiego.

W sezonie ogórkowym takie urozmaicenie jest nawet bardzo pożądane.

Więc nietylko policya nie próżnuje, ale kształci się i ćwiczy a przytem i rząd korzysta. Naprzód sprawiedliwości staje się zadość, bo co »gezec« to »gezec«. A potem monarchia, ta monarchia zagrożona w swoim fundamencie przez kilkudziesięciu kolporterów, już, trzeszczała w posadach... A teraz monarchia uratowana, kolporterzy ubezwładnieni, a zbawca ojczyzny i pogromca jej wrogów p. Schechtel przypnie do klapy fraka jeszcze jeden błyszczący orderek, który obok perskiego wyglądać będzie jak przepyszny ananas obok marnego rodzynka.

A dla samego Lwowa jaki stąd płynie morał? Wszystko w porządku. Nie mamy już złodziei, rozbójników, nożowców, defraudantów, oszustów, szantażystów — tylko jeszcze kilku kolporterów mąciło nam naszą wieczną wiosnę, więc im policya dzielna łeb skręciła.

I oto jedyna jasna strona ciemnego tygodnia, a ta jasność bije w świat z lwowskiej policyi, a więc jasność biała, księżycowa. Niby pół-księżycowa. Teraz rozumiem symboliczne znaczenie pół-księżyca. Ale, dlaczego nie nosi go dyr. Schechtel? Powinien go nosić i to z rogami na dół zwróconymi. To będzie także symboliczne.

XIII.

2 września 1906.

(Japończycy u nas. — Pół dnia we Lwowie — Konna policya, konny tramwaj i lwowskie gejsze. — Co Japończycy myśleli o ratuszu, a co o dyrekcyi skarbowej? — Zmiana na lepsze w bezpieczeństwie publicznem. — Gdzie są urzędnicy policyi na urlopie? — Mój projekt sanacyi).

Mieliśmy w tym tygodniu we Lwowie trzech egzotycznych gości z Japonii, pp. Kakosuki, Shingogo i Hanshiro. Przyjechali do nas, bo słyszeli w świecie, że we Lwowie mogą się czegoś nauczyć i zobaczyć coś takiego, czego gdzieindziej nie zobaczą. To swoją drogą prawda. Zajechali do hotelu Europejskiego, ażeby z centrum miasta lepiej obserwować naszą kulturę. Zamierzali tu podobno pozostać miesiąc, ażeby wszystko dokładnie przestudyować i w tym celu zabrali ze sobą sporo gotówki. Siedzieli u nas pół dnia i mieli dość. Popołudniu uciekli. Odjeżdżając, mówili, że gdzieindziej i za rok tyle nie zobaczą. To także prawda. Zresztą nie chodzi tu o ilość, ale o jakość, o jakość tego, co widzieli.

Gdym się dowiedział, że Japończycy przyjechali do Lwowa, udałem się odrazu do ich hotelu, aby ich spytać, jakie wrażenie wywarło na nich nasze miasto. Byli zachwyceni i poprostu nie mogli znaleźć słów. Dlatego nic nie mówili. Wziąłem tedy pod ramię p. Kakosuki (ślicznie się nazywa), z drugiej strony p. Shingogo, a p. Hanshiro kazałem biegać za nami i zeszliśmy zwiedzać miasto. Ci Japończycy, to dziwny naród. Wszyskiemu się dziwią i o wszystko pytają. Nie mogli naprzykład zrozumieć, dlaczego u nas psy noszą kagańce na pysku, a nie na ogonie, skoro i tak

pyski mają wolne i mogą kąsać każdego. Bardzo podobał im się tramwaj konny, i chcieli nawet koniecznie przejechać się nim na próbę, ale, niestety, nie mogli się go doczekać i pojechali na spacer elektryką.

Tu znowu dziwili się, że miejsca siedzące są zarezerwowane wyłącznie dla pań, a panowie stać muszą. Ujechali dwie stacye i wysiedli spoceni. Spacer piechotą szedł im jeszcze lepiej. Co krok potykali się na bruku i nie opuścili ani jednej dziury w trotoarze ażeby w nią nie wstąpić. Nie wiedzieli bowiem, że u nas nie wolno się gapić, ale trzeba patrzeć przed siebie i uważać na nogi. W policyantach konnych zakochali się. Pytali się tylko, dlaczego konie pod policyantami tak fajtają ogonami i dziwili się, że im tego zjawiska dokładnie objaśnić nie mogłem. Więc im powiedziałem, że konie cieszą się, iż służą przy policyi.

Fatalnie pomylili się, gdyśmy się zatrzymali przed gmachem krajowej dyrekcyi skarbu. Wzięli ją za kryminał i dziwili się, że okna na pierwszem i drugiem piętrze nie mają krat. O ratuszu naszym myśleli z początku, że to są ruiny dawnego obserwatoryum astronomicznego. Najbardziej ich zaciekawiło, dlaczego miasto nasze jest w tylu miejscach rozkopane i założone deskami. Myśleli, że to kopalnia węgla, albo budowa kolei podziemnej. Za to zaimponowały im lwowskie kobiety, a specyalnie ich tusza i mówili, że w żadnem mieście japońskiem nie ma tyle baniastych gejsz, co we Lwowie.

Potem wstąpili do restauracyi na obiad, gdzie podczas jedzenia musieliśmy jednego z Japończyków walić długo w kark, zanim przyszedł do siebie, bo chciał się udławić pieczenią. Jeszcze więcej im to w gardle stanęło, gdy im przedłożono rachunek za obiad.

Gdyśmy wyszli z restauracyi, oczom naszym przedstawił się niezwykły widok. Oto tłoczyła się po ulicy jakaś zbita masa ludzi wśród gwizdów, krzyków i szarpaniny. Japończycy myśleli, że ktoś rzucił bombę, albo wykonano jakiś inny zamach polityczny i bardzo się zainteresowali zajściem.

Tłum rósł coraz bardziej, stanęły wszystkie dorożki i tramwaje, ze wszystkich okien ludzie powystawiali głowy, zatrzymał się w pędzie wóz stacyi ratunkowej, a jakiś ostrożniejszy obywatel telefonicznie zawezwał straż pożarną. Jeden z Japończyków ustawił szybko aparat fotograficzny i wykonał zdjęcie tego – jak sądził – historycznego momentu. Zbliżyliśmy się do tłumu i przekonaliśmy się, że policyant wraz z najtęższym ajentem policyjnym aresztowali starego kolportera i zdobyli kilkanaście numerów gazety. To było powodem zbiegowiska. Japończycy będą mieli pamiątkę. Jeden z nich (ten sam, co przedtem) chciał się udusić ze śmiechu. Widać ma wązkie gardło. Potem pożegnali się i pojechali, unosząc ze sobą miłe wspomnienia, a przedewszystkiem najlepsze wyobrażenie o lwowskiej policyi.

Działo się to jeszcze, zanim przeniesiono biura policyi do nowego lokalu przy ul. Mickiewicza. Od tego czasu minęło kilka dni i nasze bezpieczeństwo publiczne zmieniło się grubo na korzyść. Odtąd oddział bezpieczeństwa publicznego będzie całkiem inaczej funkcyonować. Nietylko bowiem mieści się na drugiem piętrze wyższej kamienicy, ale jak słychać, ma się na dachu zbudować osobne obserwatoryum policyjne, skąd widać będzie wszystko, co się na mieście dzieje, jak na patelni. Na wieży siedzieć będzie agent, a gdy zauważy bójkę krwawą, odrazu zatelefonuje do stacyi ratunkowej, aby jechała na miejsce

pozbierać rannych, zamordowanych tudzież ich zęby i kości.

Spostrzeże z góry złodzieja, zakradającego się do czyjegoś mieszkania, to będzie na niego krzyczał i kiwał, aby dał spokój i nie robił głupich żartów, bo policya tego nie lubi. A zoczy kolportera a więc zbrodniarza politycznego, to będzie z góry strzelał, aby go trupem położyć i unieszkodliwić go dla monarchii.

Chciałem w tej sprawie zasięgnąć języka i chciałem dowiedzieć się czegoś bliższego od znajomych urzędników policyi, lecz niestety, prawie nikogo nie zastałem w biurze. Mówiono mi, że prawie wszyscy moi znajomi są na urlopie w Kulparkowie. Odpoczywają tam po ciężkiej służbie policyjnej i mają urlop nieograniczony. Wobec tego ta zmiana lokalu biur policyjnych była jeszcze bardziej pożądaną.

Ja byłbym jeszcze inaczej urządził to przeniesienie. Gdyby to odemnie zależało, przeniósłbym całą policyę daleko za miasto, a wtedy nasze bezpieczeństwo publiczne nie zostawiałoby już naprawdę nic do życzenia. Jestem pewny, że za policyą poszliby z miasta wszyscy złodzieje, a w mieście nie byłoby co robić. Tak samo wszystkie ruchawki polityczne straciłyby na blasku i musiałyby się przenieść za miasto, bo bez udziału policyi przemijają cicho, bez echa i nędznie. Nie mielibyśmy nigdy zbiegowiska, ani żabek politycznych, ani strzelaniny uspokajającej umysły, ani rąbania pałaszem w głowę celem przyprowadzenia polityków do równowagi, ani tratowania końmi i rozjeżdżania ludzi, która to czynność ma na celu spokojne rozejście się tłumów. Pozostaliby tylko jeszcze kolporterzy, ale tych mogliby wyłapywać i ubezwładniać na ulicy urzędnicy konceptowi namiestnictwa.

XIV.

16 września 1906.

(Minister kolei we Lwowie. — O czem się minister przekonał, a o czem się nie przekonał? — Oblewanie z góry. — Racya prezydenta a rampa przed ministrem. — Pompowanie rządu a pompierska logika — Obracanie się w sferach ministeryalnych. — Drugi minister, dr. Forzt, a jego pech w Galicyi. — Przygody pana ministra i szczęście w nieszczęściu).

Na kogo, jak na kogo, ale na ministra kolei czekam od długiego czasu z niecierpliwością. Już nawet parę razy miałem pisać po niego, ale się ciągle wstrzymuję. Nie chciałem go irytować. Teraz mamy go we Lwowie i dlatego muszę z nim pogawędzić.

Przedczoraj powiedział dr. Derschatta w Krakowie, że przyjechał do Galicyi, ażeby się osobiście przekonać o panujących tu stosunkach kolejowych. Jeden z jego adjutantów, z którym dziś rano rozmawiałem, opowiadał mi, że minister jest naszą Galicyą zachwycony. On po prostu nie rozumie — mówił mi adjutant — dlaczego my się wiecznie skarżymy na kolej. Jedzie się szybko, wygodnie, nawet w sypialnych wagonach, kiedy się chce i którędy się chce, usługa jest elegancka, konduktorzy uprzejmi, nie ma ścisku, pociąg jest czysty, schludny, aż miło... O tem wszystkiem przekonał się pan minister osobiście, a jego adjutanci mu to poświadczyli. Ale oni jechali salonką. A my wszyscy nie jedziemy salonką. Otóż to mi się właśnie nie podoba.

Jeśli pan minister chciał się naprawdę osobiście przekonać o naszych stosunkach kolejowych, to powinien był w Krakowie złożyć swój ministeryalny pirog, przebrać się za galicyjskiego obywatela, kupić

sobie tam bilet kolejowy III. klasy i przejechać się pociągiem osobowym przez Lwów do Czerniowiec. Nie wiem, czy pan minister byłby wytrzymał tę podróż, ale gdyby był z niej wyszedł na pół żywy, wtedy ja przyznałbym mu, że osobiście się przekonał o stosunkach, panujących na naszych kolejach. A dr. Derschatta miałby niejedną pamiątkę, taką prawdziwie galicyjską i niejedno miłe wspomnienie.

Ale pan minister jechał salonką i powiada, że on tak studyuje stosunki kolejowe. Nie bił się z konduktorami o kawałek miejsca, nie kłócił się z współpasażerami o spadający na głowę kuferek, nie wypadł z przepełnionego wagonu przez samootwierające się drzwi, nie jechał przez całą noc w ciemnym wagonie, nie przekupywał konduktorów za lepsze umieszczenie, nie dostał kataru od zapachów w wagonach kolejowych niepodzielnie panujących, a tak gęstych, że czapka w górę rzucona zostaje w powietrzu, nie siedział mu żaden gruby współpasażer na kolanach przez noc całą, nie stał na jednej nodze przez pięć godzin, nie zbudził go ze snu konduktor i nie wyrzucił z wagonu o parę stacyj zawcześnie, albo za późno, nie składał protokołu przed urzędnikiem ruchu, nie jechał z rekrutami z manewrów, nie zostawił żony z pakunkami na stacyi z powodu braku miejsca, nie cisnął się do kasy kolejowej i nie połamali mu przy tem kości, nie padł ofiarą kradzieży kolejowej, nie zamieniał mu nikt walizki ani butów, nie meldował *Weiterfahrt* ani *Nachzahlung*, nie dał sobie przetrząść kuferków z bielizną przez strażników akcyzowych, nie zmierzył go z góry na dół urzędujący na dworcu komisarz policyi i kilku agentów, nie podawał o zniżkę ceny biletu z powodu ubóstwa w dyrekcyi stanisławowskiej i wreszcie nie przewrócił się razem z po-

ciągiem do góry nogami przy sposobności karambolu kolejowego i nie stracił ani jednego zęba, a powiada, że osobiście poznał stosunki kolejowe. Padam do nóg!

A przecież my nieraz podczas jednej podróży to wszystko przechodzimy. Teraz gotów pan minister wrócić do Wiednia i powiedzieć, że już wie, co się u nas dzieje. Jedzie się salonkami, połyka się bardzo dobre obiady, dużo się gada, a tylko urzędnikom kolejowym jeszcze to nie wystarcza i proszą o podwyższenie kwaterowego. Zresztą wszystko w porządku. Że się tam czasem jakiś pociąg przewróci, o czem zaraz trąbią gazety, to się trafia w najlepszej familii. O niczem innem nie wie, bo my mu przecież o niczem nie mówimy. Gadamy mu, że spodziewamy się lepszych stosunków i pijemy na jego zdrowie, a on gada, że będzie lepiej i pije na nasze zdrowie. Na razie oblewamy to wszystko z góry i o niczem mu nie mówimy, bo — jak słusznie powiada pan Michalski — nie wypada. Przyjechał przekonać się osobiście, to niech patrzy. Jak czegoś nie zobaczy, to jego wina. A my nic gadać nie powinni, bo on jest teraz naszym gościem.

Dlatego mojem zdaniem miał racyę prezydent Michalski, który żarł się z radnymi, aby teraz nie drażnić ministra rampą kolejową na Żółkiewskiem. Całkiem słusznie. Stała sobie rampa tak długo, niech sobie zdrowo stoi dalej. Bo tu jest jedno z dwojga: albo ta rampa szpeci miasto, a w takim razie nie powinniśmy jej nawet pokazywać ministrowi, który ma ze Lwowa wynieść dobre wrażenie, albo ona nie jest tak szpetną, a w takim razie nie trzeba ministrowi zawracać kontramarki jakiemiś rampami.

A zresztą miał p. Michalski jeszcze inny powód

do zatajenia przed ministrem tej historyi z rampą. Gmina pompuje teraz pożyczkę od rządu, więc mówi p. Michalski, żeby dać teraz spokój z rampą, bo jak się będzie rząd pompować z dwóch stron, to przestanie kapać. Ta pompierska logika prezydenta nie mogła naszym rajcom trafić do przekonania. On swoje a oni swoje. Ja stoję — jak zawsze — po stronie prezydenta i powiadam, że nie powinno się ministrowi w jego drodze po Galicyi stawiać rampy. Niech jedzie bez przeszkód, aby broń Boże nie miał o nas złego wyobrażenia. Przecież przyjechał przekonać się o wszystkiem osobiście. A kiedy odjeżdżasz bywaj zdrów, o mej przyjaźni, o panu prezydencie, o rampie kolejowej, o naszych pociągach, o karambolach i o innych rzeczach kolejowych dobrze mów.

Pożegnałem się z jednym ministrem i odrazu zabieram się do drugiego. Mam już dziś takie szczęście, że przez całą długość kroniki obracam się w ministeryalnych sferach. Przynajmniej raz człowiek jest w porządnem towarzystwie. A więc minister handlu dr. Forzt. On także chciał oglądać nasz kraj na własne oczy i przyjechał do Galicyi.

Słyszał dużo o naszym kraju, o naszych pocztach, telegrafach i telefonach i nie wierzył. Wydawało mu się to wszystko nieprawdopodobnem i sam przyjechał, ażeby się osobiście przekonać. Temu już nie szło tak gładko. Kazał sobie przysłać do Krakowa ważny list i nie otrzymał go. Ale mu powiedziano na poczcie, aby nie tracił nadziei do przyszłego tygodnia, bo list czasem gdzieś zajdzie i wędruje po całej Galicyi aż wreszcie raz trafi na miejsce przeznaczenia. To go oburzyło i poprosił o telefoniczne połączenie z dyrekcyą poczt we Lwowie. Po chwili dowiedział się, że jest połączony z dyrekcyą policyi.

Z oburzeniem zwrócił uwagę telefonistki na tę omyłkę, lecz przez całą godzinę nie mógł się rozłączyć z policyą.

Dopiero po długiem dzwonieniu »otrzymał« połączenie... z Kulparkowem. Gdy mu się to nie podobało, telefonistka wpadła w pasyę i zupełnie z nim zerwała wszelkie stosunki. Na długie dzwonienie odezwała się inna i ta przesunęła przed ministrem cały szereg abonentów, niby dla reklamy. W przeciągu pół godziny był minister połączony z zakładem kalek, z kawiarnią »Monopol« i z innemi kawiarniami, z Bankiem hipotecznym i z innymi bankami, z dyrekcyą teatru i z jakąś pralnią amerykańską. A on chciał tylko rozmówić się z dyrekcyą poczt.

Zanim go z nią połączono, zapomniał, o czem miał mówić. Wreszcie, gdy chciał telefonować do Wiednia, do swego ministerstwa, dowiedział się, że linia telefoniczna między Krakowem a Wiedniem przerwana. Za to doręczono mu telegram od żony, dlaczego nie odpowiada na trzy listy i dwie depesze. Minister zaklinał się przed woźnym, że żadnych listów, ani depesz nie otrzymał. Telegram, dziś otrzymany, był nadany wczoraj rano.

Wobec takich doświadczeń minister omal się nie rozchorował, i należałoby się spodziewać, że skorzysta z tych doświadczeń i wszystko ulepszy. Niestety... naszym pechem, a jego szczęściem było, że to wszystko nie jemu się zdarzyło.

Ale nam się to codziennie zdarza.

XV.

29 września 1906.

(Nieokrzesany policyant. — Radca obraża władzę. — Co to znaczy okrzesany? — Na co przyda się policya? — Święto złodziei, jako tymczasowe. — We Lwowie za mało bydła. — Przeciwdziałanie drożyźnie i metody lwowskiego magistratu. — Konferencye, ankiety i okólniki do bydła. — Tani barszcz i drożyzna. — Taryfa pocztowa i telefony lwowskie).

Powiedział radca policyi, p. Wenz, że tak długo nie będzie lepiej, jak długo mamy policyantów nieokrzesanych. Policyant nr. 220, który odniósł tak świetne zwycięstwo nad czeladnikiem kominiarskim, jest więc zdaniem p. radcy nieokrzesanym policyantem. Mnie się zdaje, że pan radca obraził organ władzy. Taki policyant, którego się krzesało przez parę lat przy wojsku i uczyło bronić ojczyzny, a potem wzięto go do policyi i krzesało się go w polityce i w muzeum złodziejskiem, nie jest nieokrzesanym. On jest lwowskim policyantem, który robi trochę w polityce, a trochę we wojnie. On wie, że co konsul, to nie kopica siana — a co socyalista, to nie pomnik Gołuchowskiego. Puszczają go na miasto samego z takim zasobem polityki w głowie, że ją potem wyładowuje na swój sposób. Dali mu pałasz nietylko od parady i nietylko na to, żeby mu właził między nogi, ale na to, ażeby nim czasem rąbnął obywatela, wytrąconego z lojalnej równowagi alkoholem lub polityką i przyprowadził go w ten prosty sposób do opamiętania. Nie rozumiem więc, dlaczego pan radca nazywa policyantów nieokrzesanymi, i jakiego okrzesania od nich żąda. Czy policyant ma się może wyperfumować i posłać bilet wizytowy lub dwóch świad-

ków pijanemu obywatelowi, który stoi pod murem i hałasując, obraża spokój i porządek publiczny? Czy może ma do niego przystąpić, przedstawić mu się i powiedzieć: Pardon, proszę zrobić przyjemną minę, bo chciałbym panu głowę porąbać? Spokój i porządek publiczny wymaga, aby pijanemu obywatelowi rozbić głowę, to się ją rozbija. Ani cytryna, ani najczarniejsza kawa nie doprowadzi tak rychło pijanej głowy do trzeźwości, jak policajski pałasz. Trzeba nim tylko porządnie machnąć.

I nie można się dziwić, że policya zabrała się do tej roboty. O wyłapywanie złodziei policya lwowska wcale się nie kusi. Powiedziała sobie, że to jeszcze nie dla niej i tymczasem studyuje w nowem muzeum złodziejskiem.

Jak się nauczy, to się do nich zabierze. Jeśli policya po jakimś czasie zaokrągli swoje studya i jeśli złodzieje lwowscy tymczasem nie rozkradną zbiorów tego muzeum, to kto wie, czy złodzieje jeszcze długo śmiać się będą z policyi. Niech się złodzieje na to przygotują, że już za kilka lat może się skończyć ich święto. Wtedy może z takim samym tryumfem policyant chapnie złodzieja, z jakim dziś rąbie obywatela. Na razie dano nam nowy dowód waleczności i tężyzny, a to zwycięstwo wojskowej policyi nad cywilnym kominiarzem, napełnia serca nasze radością i otuchą.

W każdym razie wyrąb mięsa jest u naszej policyi tańszym, aniżeli u naszych rzeźników. Panowie rzeźnicy w ostatnich dniach znów podnieśli cenę mięsa, bo powiadają, że we Lwowie za mało bydła. Ale możemy być spokojni i patrzeć z otuchą w przyszłość, bo magistrat lwowski zabrał się już do przeciwdziałania drożyźnie.

Jatek miejskich wprawdzie nie założył, cen mięsa nie uregulował, przyczyn drożyzny nie usunął, buty rzeźników nie poskromił, jak żądają od niego dzikie w swoich pretensyach dzienniki, ale za to przeciwdziała mądrze, powoli, politycznie. W swoim czasie, t. j. przed rokiem, nastraszył rzeźników, że gmina zakłada własne jatki miejskie. Ale nie udało się. Rzeźnicy nie uwierzyli i jeszcze bardziej podnieśli cenę mięsa. To my teraz z innej strony do nich się podbieramy.

Wołamy ich do magistratu na konferencyę. Niech sami gadają. Powiedzieli, że we Lwowie za mało wołów. Prezydent nie mógł poprostu uwierzyć. Rzeźnicy zwalili winę na producentów. Teraz zwołano na przyszły poniedziałek ankietę producentów, aby się poważnie zastanowić nad powodem drożyzny mięsa. Rezultatem poniedziałkowej ankiety będzie, że nie producenci, ale rzeźnicy są winni. Potem zwołamy ankietę wspólną rzeźników i producentów, którzy zwalając na siebie wzajemnie winę dojdą wreszcie do porozumienia, że właściwa wina drożyzny mięsa jest po stronie wołów i krów. Okaże się bowiem, że woły robią strejk i nie chcą się dać zarzynać w kraju, a krowy urządzają bierny opór i nie chcą rodzić cieląt, dopóki nie nastąpi społeczne zrównanie ich z wołami.

I tysiąc innych powodów wyjdzie na wierzch, ale sama drożyzna jak była, tak będzie. Na to już nikt nigdy we Lwowie nie poradzi. Ani groźba Rady miejskiej, że otworzy we Lwowie jatki miejskie, ani okólniki prezydyum do okolicznych wołów, ażeby w imię hasła »swoi dla swoich« dawały się zarzynać wyłącznie we Lwowie, a nie w Pradze lub Wiedniu, ani konferencye z rzeźnikami, ani też ankiety z producentami, ani żaden inny z dotychczasowych środ-

ków. Przeciwnie. Im więcej środków, tem większa nastaje drożyzna, bo ile razy jakiś nowy środek okaże się niedobrym, rzeźnicy podnoszą cenę o 8 hal. na kilogramie.

To już wolę, by nasz magistrat został przy jednym środku. Wołał Napoleon: »więcej pieniędzy!«, a Goethe: »więcej światła!«, to niech nasz magistrat woła: »więcej wołów!« Takie wołanie może spowodować zjazd bydła z całego kraju, a wtedy będzie mięso tanie jak barszcz.

Chociaż prawdę mówiąc, nie wiem nawet, czy barszcz jest we Lwowie tani. U nas teraz wszystko tak bardzo podrożało, że i barszcz pewnie już droższy. Mówię o zwykłym barszczu, a nie o winie sprzedawanem w naszych winiarniach. Tak samo podrożało drzewo, o czem potem. Tak samo podniesiono taryfę pocztową.

Nie można się dziwić, że poczta każe sobie drożej płacić za listy i przekazy. Taki list, który ma być jeden dzień w podróży, najedzie się przez ośm dni po wszystkich kursujących pociągach, zanim trafi na miejsce przeznaczenia. Ta podróż jest bądź co bądź kosztowną i poczcie należy się zwyżka. Najparadniejszem jest atoli podwyższenie taryfy za telefony. Znam wiele domów, gdzie telefon daje się tylko użyć jako dzwonek na służbę, bo po za tem absolutnie nie funkcyonuje. Gdy zaczniesz dzwonić do stacyi centralnej, to zbiegnie się cała służba z kamienicy, stróż ze stróżową, wszystkie dzieci z podwórza, a gdyby była w pobliżu straż pożarna, to i ona przybędzie na miejsce, ale odpowiedzi nie masz z centrali. Potem sprowadzisz sobie jakiegoś funkcyonaryusza, który przyjdzie, poszturka, pokręci i wszystko naprawi. Jak długo ten pan jest, telefon funkcyonuje. Zaledwie oddali

się — bądź zdrów. Telefon jest dobry, ale nie do rozmowy. Otóż ministerstwo handlu powiada, że kto może opłacać tak drogie dzwonki na służbę, ten może płacić i więcej — i podwyższa taryfę od telefonów. Tu już nie my, ale i samo ministerstwo woła: »więcej wołów!«

XVI.

7 października 1906.

(Bez sentymentów. — Zarzuty niegościnności. — Co powinni byli zrobić wycieczkowcy? — Czy potrzeba programu? — »Fana« na ratuszu. — Blaga dziennikarska a profesorowie. — Prezydent telegraficznie prosi. — Powód zapomnienia i wołowy tydzień. — Kwestya rozwiązana. — Co robimy dla bydła, a co dla ludzi? — Przestroga).

Jesteśmy praktycznem miastem i nie lubimy bawić się w sentymenty. Zarzucają nam, że zaprosiliśmy krakowską młodzież, a nie oczekiwaliśmy jej na dworcu — nie przygotowaliśmy dla niej programu — nie postaraliśmy się dla niej o kwatery — pozwoliliśmy jej w pierwszym dniu wałęsać się bezradnie po ulicach na deszczu — nie wywiesiliśmy ani jednej chorągiewki o barwach narodowych — nie urządziliśmy iluminacyi — że, jednem słowem, nie zrobiliśmy nic, aby przyjąć krakowskich wycieczkowców. Otóż te zarzuty nie mają sensu. Po co mieliśmy ich oczekiwać na dworcu? Przecież wiedzieliśmy, że oni i bez nas trafią do miasta. Na naszym dworcu tak teraz porządnie urządzono, że przybysza podaje jeden drugiemu, aż się wydostanie na drogę.

Konduktor podaje przybysza pakierowi, pakier

akcyźnikowi, ten spuszcza go po schodach do tunelu, tunel prowadzi go do portyera, portyer każe mu na gwałt szukać po wszystkich kieszeniach za przejechanym biletem, poczem przybysza oddaje w ręce strażników akcyzowych, skąd, po należytem obmacaniu odzieży i przetrząśnieniu pakunków, dostaje się pod oko komisarza Łysakowskiego i 6 agentów policyi, a wreszcie może spokojnie pójść do miasta.

Na co więc mieliśmy wyjść na dworzec i oczekiwać gości? Jeśli wycieczkowcy mieli jakieś przygotowane mowy i pieśni powitalne, to mogli to wszystko na dworcu wygadać i wyśpiewać, a byłoby się dość ludzi zebrało na ich powitanie. Może nawet za takie przemówienie patryotyczne byłby ich sam komisarz kazał odstawić z honorami do miasta. Wałęsali się potem bezradnie na deszczu po ulicach miasta to prawda, ale czy to nasza wina? Mogli przecież siedzieć w poczekalni na dworcu, albo w pasażu Mikolasza.

A dalej, co to znaczy przygotować program zwiedzania miasta? Czy zobaczą naprzód wonną sadzawkę w parku stryjskim, a potem »pałac« krajowej dyrekcyi skarbu, czy naprzód ratusz, a potem wonną sadzawkę — to im chyba nie zrobi wielkiej różnicy.

Co do jedzenia, to jedli u Naftuły i oblizywali się. Iluminacya już dawno wyszła z mody, a co się tyczy chorągwi, to przecież każdy w dniu przyjazdu wycieczkowców mógł widzieć na ratuszu »fanę« czarno-żółtą. Mniejsza o barwę, ale fana to fana i jest parada.

Na co się bawić w sentymenty i robić niepotrzebne przygotowania, tem bardziej, że nikt o tej wycieczce nic nie wiedział, a nawet sami profesorowie gimnazyalni mówili uczniom, że to blaga dziennikarska a nie żadna wycieczka.

Zaproszono więc młodzież, ale zapomniano na śmierć o zaproszeniu. Ale p. prezydent przekonał się, że nie trzeba wcale przygotowywać się na gości. Pasaż Mikolasza jest, Naftuła także jest i wszystko w porządku. Dlatego p. prezydent zaprosił telegraficznie na drugi rok do Lwowa dwa zjazdy: prawników i górników. Czemu sobie nie mamy pozwolić?

Ale nie przyjadą, bo boją się, aby miasto nie zapomniało o zaproszeniu.

To nasze zapomnienie miało swój powód. Przez cały tydzień byliśmy zajęci wołami. Jeszcze bowiem ciągle wisi w powietrzu kwestya, czy mamy za dużo bydła, a za mało ludzi, jak twierdzono dotychczas, czy też — jak obecnie twierdzi magistrat — za dużo mamy ludzi a za mało bydła. Magistrat lwowski rozwiązał tę kwestyę w sposób bardzo prosty. Powiada, że gdybyśmy mieli mniej ludzi a więcej bydła, byłoby w sam raz dobrze. Ponieważ zaś nie można na poczekaniu zmniejszyć liczbę ludzi rozmnażających się we Lwowie z karygodną lekkomyślnością, przeto trzeba na gwałt starać się o rozpłodzenie bydła.

W tym celu uchwalono milionowy kredyt na zaliczki dla hodowców bydła. Teraz pytam się ciebie, drogi Czytelniku, po co my żyjemy na świecie? Dla naszych hodowców, dla mamek, dla freblówek, dla burs, dla szkół magistrat nie dałby tyle, a dla hodowców bydła daje miliony. Ten szatański fortel wymierzył magistrat przeciw rzeźnikom, aby ich zniszczyć. Jest to już piąty z rzędu fortel. Jeszcze jeden taki fortel, a stan rzeźniczy pójdzie na spód. Z drugiej znów strony zaczynają ludzie jeść psie mięso, także rzeźnikom na złość. Na razie nazywają to jeszcze eufonicznie baraniną. Otóż przestrzegam was, panowie, że się źle bawicie, wam chodzi o mięso, a im chodzi

o życie. Dajcie spokój rzeźnikom. Podajcie ręce prezydentowi i wraz z nim ratujcie zagrożonych w bycie rzeźników.

XVII.

21 października 1906.

(Rozmowa z ekscelencyą Abrahamowiczem i jego apel do posłów. — Czem jest poseł? — On czy kilkanaście tysięcy? — Tancerz w parlamencie i jego znaczenie. — Fałszerze banknotów a Temida z pończochą na oczach).

Pomimo, że linia telefoniczna była w tym tygodniu sześć razy przerwana, udało mi się uzyskać połączenie z Wiedniem, aby rozmówić się z ekscelencyą Abrahamowiczem i spytać go, czy naprawdę minister spraw zagranicznych, hr. Gołuchowski, podaje się do dymisyi i czy w danym razie rząd nie przyjąłby dobrego kandydata na tę posadę z Galicyi. Prezes Koła polskiego nie odpowiedział mi nawet na to pytanie i tylko zażądał, abym natychmiast wracał do Wiednia, bo są ważne sprawy. Widocznie wziął mnie za posła, bo nawet na końcu naszej rozmowy zagroził, że gdybym nie przyjechał, każe mi wstrzymać dyety poselskie. To mnie już oburzyło. Z jednej strony wziął mnie za posła, a z drugiej targnął się na moją nietykalność poselską. Innych posłów wezwał do powrotu telegramami i listami.

Podziwiam tylko owczą cierpliwość naszych posłów, którzy pozwalają się tak wzywać »choćby nawet z pokrzywdzeniem swoich interesów zawodowych i familijnych«. Każdy poseł sam przecież wie najlepiej, czy ma chodzić na posiedzenia, czy nie. Na to

obdarzyło go kilkanaście tysięcy wyborców swojem zaufaniem i powiedziało mu: masz reprezentować naszych kilkanaście tysięcy mózgów. A jest już wyłącznie jego rzeczą zadecydować, czy w danej chwili ma owych kilkanaście tysięcy głów siedzieć w parlamencie, czy odpoczywać i rozrywać się w separatce u Ronachera.

Bo gdy jeden poseł mówi, to przez jego usta mówi kilkanaście tysięcy języków, a gdy poseł w separatce wiedeńskiej pije z piękną śpiewaczką, to nie on sam, ale kilkanaście tysięcy wyborców popełnia karambol z przykazaniem bożem, rozrywa się i odpoczywa, aby nabrać sił do dalszej pracy. Jeden jego całus, złożony na szminkowanym buziaku śpiewaczki, to kilkanaście tysięcy całusów, a jeden szczutek, wymierzony w jego nos poselski, to kilkanaście tysięcy szczutków, wymierzonych w kilkanaście tysięcy nosów obywateli-wyborców. Wszystko, co on robi, my robimy, a co on znosi, to znosimy my.

Gdy on za dużo pije, my chwiejemy się na nogach, gdy jego zamykają, to my siedzimy w kryminale, a gdy on dostaje kopnięcie, to kawałek narodu wylatuje za drzwi. To nie bagatela. Z tem powinien był liczyć się eksc. Abrahamowicz, zanim roztelegrafował do wszystkich posłów swoje wezwania, odrywając ich od najpilniejszych spraw familijnych, od wydawania córek za mąż, od udziału w wyścigach, odbijania się po przegranej partyi w kasynie wołowem, od toastów w separatkach i od innych spraw jeszcze pilniejszych.

To też skutkiem tego apelu regimentarza musiała większość naszych posłów zostawić wiele spraw w połowie roboty i wracać na alarm do Wiednia.

A skoro się zważy, że żaden poseł nie jest or-

łem, ani zającem, ani psem legawym i że wobec tego musieli na ten spęd posłów przybyć spoceni, zadyszani i zasapani, pojmiemy całą bezwzględność i lekkomyślność tego kroku eksc. Abrahamowicza i ten jego brak wyrozumiałości dla reprezentantów mas.

Inna rzecz, jeśli posłem jest np. nauczyciel tańców. Taki p. Weiss, nauczyciel tańców, który obecnie kandyduje z Białej do Sejmu, będzie mógł na każde zawołanie przetańczyć się do Sejmu jakąś galopadą, a gdyby go nawet stamtąd przypadkiem wyrzucili, to jeszcze zawsze wytańczy krokiem mazurowym nic sobie nie robiąc z tego despektu.

Bądź co bądź jest taka tańcząca egzystencya zupełną nowością w życiu parlamentarnem i nie wiem dlaczego mielibyśmy się jej wyrzekać, skoro tam mamy już tyle egzystencyj grających, pijących, kradnących i śpiących. Niech będzie i jeden tancerz. Stworzony na aranżera, będzie mógł w razie potrzeby zaaranżować secesyę z figurami, obstrukcyę z kotylionem, kocią muzykę z orderami i bukietami parlamentarnych wyzwisk i rakiet. Pod jego komendą będzie iść wszystko gładko, jak w kadrylu. Jednem słowem – będzie pożytecznym posłem.

Ale my go już dziś wyśmiewamy i drwimy z jego kandydatury. My tak zawsze. Z najlepszych chęci czyich robimy kota obróconego do góry nogami. Tak samo zrobiliśmy z tymi, którzy teraz stoją przed wiedeńskim trybunałem karnym. Widzieli, że robi się coraz większa drożyzna, a o gotówkę coraz trudniej, więc chcieli przyjść w pomoc ludności i uczynić banknoty dostępniejszymi dla ludzi, sprzedając je znacznie taniej.

W ten sposób mogli skuteczniej przeciwdziałać drożyźnie, aniżeli wszystkie magistrackie ankiety i ja-

tki. Za ich dobre serce zamknęli ich, a teraz ich sądzą. Tak wygląda nasza sprawiedliwość. I dziwić się, że drożyzna się wzmaga, skoro najlepsze, najpewniejsze środki władze paraliżują w zarodku. O Temido, zrzuć cienką opaskę z oczu i popatrz na naszą bryndzę, a pewnie zawiążesz je napowrót jakąś grubą zimową pończochą.

XVIII.

28 października 1906.

(Mój żal do fałszerzy banknotów. — Dlaczego ich wyłapano, a jak byłbym ja urządził tę sprawę? — Miejskie tanie banknoty na Radzie i w magistracie. — O co się rozbiło? — Wszystko krajowe. — Nauka dla Prusaków. — Gospodarka moja a rządowa. — Wiosna narodów. — Zapomnienie przeszłości. — A oni? — Co mówi pismo?)

Mam wielki i usprawiedliwiony żal do tych panów, którzy obecnie zasiadają na ławie oskarżonych w Wiedniu za fałszowanie banknotów. Niech ich teraz spotka zasłużona kara, bo urządzili tę całą sprawę niemądrze. Najlepszy dowód na to jest, że ich wyłapano i osadzono w dziurze. Powinni byli mnie oddać główne zastępstwo swojej fabryki na Galicyę. Ja byłbym to całkiem inaczej urządził. Przedewszystkiem byłbym pozwolił moją agencyę wysoko opodatkować, a rząd byłby we własnym interesie nie chciał się pozbawić dochodów i na wszystko przymknąłby jedno oko. Nie ma bowiem takiego świństwa, którego nie tolerowałby nasz rząd, jeśli tylko można z tego ciągnąć ładne dochody. A taki Piepes, Schapira i tow. chcieli mieć intratny interes i nie opłacać od niego podatków. Za to pójdą do dziury.

Mając zapewnioną wolną rękę i opiekę ze strony rządu, zabrałbym się odrazu do roboty. Tą robotą byłaby poprawa stosunków. W takich okolicznościach poprawa panujących stosunków poszłaby mi gładko, jak po kunerolu. Naprzód otworzyłbym skład tanich banknotów. Ponieważ popyt na ten artykuł byłby prawdopodobnie bardzo wielki i nasza fabryka londyńska nie mogłaby dostarczyć tyle banknotów, ile potrzeba w Galicyi, przeto w krótkim już czasie podniósłbym cenę mojego towaru, a dzienniki doniosłyby o podrożeniu tanich banknotów. Powstałby mały huczek. Skutkiem tego lwowska Rada miejska uchwaliłaby na wniosek radnego Hudeca sprzedawać tanie banknoty dla uboższej ludności we własnym zarządzie gminy, na wzór taniego opału i tanich jatek miejskich, z czego bynajmniej nicbym sobie nie robił, wiedząc na pewne, że magistrat tej uchwały nie wykona.

Istotnie w parę tygodni później przekonałby się magistrat lwowski na cyfrach, że on nie jest instytucyą humanitarną, aby zaopatrywał uboższą ludność w tanie banknoty, a że do tego interesu musiałby grubo dołożyć, przeto sprzeciwia się założeniu miejskich jatek z banknotami. Za tym wnioskiem oświadczyłby się nawet radny Hudec, wobec czego mógłbym spokojnie dalej pracować w moim prywatnym składzie tanich banknotów, tem spokojniej, że magistrat zakończyłby swój sprzeciw uwagą, iż nie byłoby to lojalnością stwarzać konkurencyę dla swego tak dobrego podatnika.

Nie bojąc się już konkurenta, podniósłbym jeszcze trochę cenę tanich banknotów, ale popyt na nie wzmagałby się z dniem każdym, aż wreszcie widziałbym się zmuszonym nietylko moją agencyę i skład

znacznie rozszerzyć, ale nawet sprowadzić do Lwowa maszynę i otworzyć tu filię fabryki banknotów.

W dziennikach ogłosiłbym, że będę zatrudniał siły wyłącznie krajowe i używał papieru z wyłącznie krajowych fabryk, co wszystkie dzienniki podniosłyby z wyrazami prawdziwego zadowolenia i uznania. Równocześnie zamówiłbym tani papier z fabryki wiedeńskiej i sprowadziłbym londyńskich robotników, bo ci nasi galicyjscy robotnicy są do wszystkiego zdolni, tylko nie do robienia pieniędzy. Co zaś do krajowych fabryk papieru, to żadna nie mogłaby mi dostarczyć tyle papieru, ile potrzebowałaby go moja fabryka do przerabiania na banknoty, głównie z powodu wielkiej ilości mieszkańców pochodzenia szlacheckiego. Dlatego musiałbym sprowadzać papier wagonami z Wiednia.

I robiłbym banknoty. Powodzenia mógłbym być pewnym i to nietylko dlatego, że to wyrób krajowy.

W tym wypadku wszyscy kupowaliby u mnie. Do roku zabrakłoby papieru we wszystkich fabrykach austryackich, wobec czego musiałbym nawiązać stosunki z zagranicą i podnieść znowu cenę mego towaru.

Tani papier sprowadzałbym odtąd z Prus, ażeby Prusaków nauczyć rozumu i pokazać im, że co u nich jest taniem śmieciem, to w Galicyi można przerabiać na banknoty. Prusy byłyby niezmordowane w dostarczaniu taniego towaru, a ja byłbym niezmordowanym w robieniu banknotów.

Że ja gospodarowałbym lepiej moimi banknotami, aniżeli rząd austryacki swoimi, to nie ulega chyba żadnej wątpliwości.

Wszystkie panujące teraz stosunki zmieniłyby się

odrazu na korzyść. Nastałby wiek złoty i wiosna narodów.

Ludzie chodziliby wiecznie pijani, ustałyby narzekania na drożyznę, na magistrat, na rząd, na podatki. Urzędnicy kolejowi przestaliby się starać przez szereg lat o zapomogę w kwocie 5—10 koron, zniesionoby egzekutorów podatkowych, i tramwaje, bo wszyscy jeździliby teraz na automobilach. Ten raj, jakiby nastał, nie da się nawet opisać, a wszystkie jego dobrodziejstwa wyliczyć.

Towarzystwo »Miłośników przeszłości Lwowa« musiałoby się natychmiast rozwiązać, ażeby czemprędzej zapomnieć, jak brzydką i ponurą była nasza przeszłość z podatkami, dodatkami, drogiem mięsem, tanim opałem, mięsem końskiem, tramwajem końskim, policyą konską i innemi rzeczami, które końskie są, bo nasze są, bo lwowskie są...

Czy reforma wyborcza, rozszerzenie autonomii, zmiana ministrów, upaństwowienie kolei Północnej i tyle innych rzeczy, na które tracimy czas, doprowadzą do takiego rezultatu, jak mój pomysł prosty i naturalny? Nie! Fabryka banknotów, to dla Galicyi jedyny ratunek na wszystkie boleści. Tak ja twierdzę i tak byłbym wszystko urządził, gdyby mnie byli powierzyli zastępstwo.

A co oni zrobili? Nam nie pomogli, a sami pójdą do kryminału. A to wszystko dlatego, że nie chcieli płacić podatków. Durnie. Bo nawet pismo św. mówi, że kto chce być zbawion, winien płacić dziesięcinę. Pismo święte.

XIX.

18 listopada 1906.

(Mój respekt dla bandyty i moja duma. — Rewizye rosyjskie. — Co można znaleźć u Galicyanina? — Waryat w sądzie i jego smutny koniec. — O rzeźniku, który pracuje nogą. — Co można zarobić nogą, a co ręką? — Metoda sanacyjna. — »Hotel Polski« na oku władz).

Mam zawsze wielki szacunek dla rozmaitego rodzaju bandytów — ale ten wczorajszy, który na akademiku zdobył w biały dzień 1500 koron w gotówce, napełnił mnie dumą. Mamy jeszcze we Lwowie ludzi dzielnych i myślących, którzy zasługują na respekt. Nie potrzebuję chyba udowadniać, że jest on człowiekiem myślącym. Wolno go nazwać opryszkiem, rozbójnikiem, bandytą — ale należy mu przyznać, że ten człowiek jest dzielnym i umie myśleć. Jako człowiek myślący, wiedział bardzo dobrze, że we Lwowie nie potrzeba przebierać się za kapitana i brać do pomocy oddział wojska, ażeby zdobyć parę tysięcy. Do takich sztuczek uciekać się trzeba w krajach, gdzie władza bezpieczeństwa zajmuje się pospolitymi złodziejami i rozbójnikami, ale nie u nas, gdzie policya ma na głowie zbyt ważne zadania polityczne, aby się miała bawić w takie głupstwa.

Policya bowiem lwowska w tej chwili gniecie rewolucyę rosyjską i zrewidowała już ładny kawałek Lwowa. Jest nadzieja, że do Nowego Roku będziemy już wszyscy zrewidowani. Całe nieszczęście tylko w tem, że nic nie znaleziono. U Galicyanina coś znaleźć, to bardzo trudno. Raz dlatego, że nic nie ma, a po drugie, że lwowska policya jeszcze nigdy nie znalazła tego, za czem szuka. Chyba, że się przypad

kiem natknie po drodze. To już o wiele lepiej wiedział ten wczorajszy bandyta, gdzie i u kogo ma szukać. On przynajmniej coś wiedział.

Teraz policya jego szuka i także go nie znajdzie. Nie złapie nikogo, albo kogo innego. Jest tylko jedna możliwość, że sam się zdradzi. Na to my zawsze czekamy i to się nam czasem udaje. W takim razie wyłapie go policya i pójdzie przed sąd. Ale już wtedy nie będzie miał centa.

Że względu, że suma zdobyta w biały dzień jest zbyt wysoką, aby ją miano bagatelizować, obrońca bandyty postawi wniosek, aby go dać zbadać do dwóch lekarzy-obserwatorów, bo jest to niepodobieństwem, aby człowiek zdrowy na rozumie w biały dzień rabował tak wielkie sumy, zwłaszcza we Lwowie, gdzie jest władza i t. d. Lekarze powiedzą, że to waryat. Wtedy puści go się wprawdzie na wolność, ale smutny będzie jego los, bo w sądzie już raz na zawsze zanotowane, że to waryat, a gdyby potem znowu kiedyś pokłócił się z kodeksem karnym, to nawet żaden szanujący się sędzia nie zechce go sądzić.

Jeżeli więc szewcy niemieccy mogą być dumni, że ich Voigt czynem swoim rozniósł sławę miasteczka Köpenick, to Lwowianie mogą być dumni, że w murach swoich mają człowieka, który metodą skróconą, bo bez munduru i wojska, dokonał podobnego czynu i nawet nie ma bynajmniej pretensyi, aby go sławiono, czego dowodem jest to, że działał *incognito*, a nawet teraz po dokonaniu czynu woli pozostać w ukryciu. Voigta złapano, ale jego nie złapią, bo on działa w Galicyi.

Nie takie miał szczęście przełożony korporacyi rzeźnickej, który pomagał swojej wadze i za tę pomoc został zasądzony. Pan przełożony miał racyę.

Ze wszystkich stron dybią teraz na rzeźników, magistrat studyuje już od czternastu miesięcy jatki miejskie i gotów je kiedyś wystudyować, na Radzie ciągle wołają o jatki, więc jako myślący rzeźnik chciał trochę przeciwdziałać tej antyrzeźnickiej akcyi i przeciwdziałał... nogą. Dziennikarze gazetami, Rada językami, magistrat cyframi, konsumenci kieszenią, a on tylko nogą. Pomysł był dobry. Pan przełożony pokazał, że jedną nogą można więcej zarobić, aniżeli setką rąk. Ale swego wynalazku p. przełożony nie opatentował, aby się nie stał głośnym. — I dlatego sąd, który był zdania, że rzeźnik powinien pracować ręką, a nie nogą, kazał nodze iść do kozy. A jestto, mojem zdaniem, niesłuszność. Bo takie sztuczne obniżenie wagi wołu łatwiej i prędzej umożliwiłoby potanienie mięsa, aniżeli wszystkie ankiety wołowe i studya magistrackie. P. przełożony był już na najlepszej drodze do rozwiązania kwestyi mięsnej, gdy mu przeszkodzono w tej czynności sanacyjnej. A to nie powinno być.

Tak samo nie powinno się p. prezydentowi Michalskiemu robić dziury w brzuchu jakimś »Hotelem Polskim«, o którym na odczepne wyraził się p. prezydent, że go już »władze dawno mają na oku«. Dzięki temu »oku« doskonale się hotel rozwija i nic mu się złego stać nie może. Gdyby go tak broń Boże władze naraz spuściły z oka, ludzie roznieśliby go w strzępy. Ale władze mają ten hotel od szeregu lat na oku i dlatego nie powinni pp. radni żądać, aby go jeszcze p. prezydent wziął na swoje oko. Ma na oku dość innych rzeczy, których nie widzi. Chyba, gdyby na chwilę chciał oko... zamknąć.

XX.

25 listopada 1906.

(Zbliżający się koniec świata i jego powód. — Środki zaradcze i konsylium — Zasługi komitetu centralnego. — Wybory, jako święto. — Odroczenie terminu końca świata. — Pan Mokrzycki, jako mowca i jego metoda).

Ponieważ reforma wyborcza jest już zaraz faktem dokonanym, przeto w najbliższym czasie — według zapowiedzi hr. Wojciecha Dzieduszyckiego — należy się spodziewać końca świata. Tak, czy siak, świat przewróci się do góry nogami i wszystko wezmą dyabli. Jest to smutne, ale prawdziwe. Katastrofa już się zbliża i swoją drogą zasłużyliśmy na tak smutny i rychły koniec. Nie pomogły nam różne perswazye światłych ludzi, nie pomogły przykłady i groźby, że to się źle skończyć musi, nie pomogły liczne mowy ekscelencyi Abrahamowicza, hr. Dzieduszyckiego, ekscelencyi Bobrzyńskiego, przestrzegające słusznie przed reformą wyborczą — śpiew łabędzi parlamentarnej swady zagłuszyły hałasy ulicy. Zło przeszło »z ulicy do parlamentu« i zaślepiło nawet sam rząd. Jedynym rycynusem na ten zatwardziały stan sprawy zdawała się być pluralność, a i tę w tym tygodniu odrzucono. Żaden chory przed śmiercią nie przyjmuje lekarstwa.

Zwołano tedy w tym tygodniu konsylium i uradzono, że jeszcze tylko jest jeden środek, który może świat, t. j. naszą ojczyznę austryacką ochronić przed ostateczną zagładą, a tym środkiem jest wskrzeszenie słynnego Komitetu centralnego. Ten środek dokazał już niejednego cudu i ma za sobą wiele wypróbowanych zasług.

Komitet centralny był przy wszystkich wyborach kapelmistrzem, który dyrygował akcyą wyborczą. Dy-

rygował nie pałeczką, ale kiełbasą, smarował nie kalafonią. ale pieniądzmi i zalewał pałki wódką. Dawał wyborcy kiełbasę do rąk i mówił mu czyja to kiełbasa, a wyborca szedł ze swoim głosem za głosem kiełbasy do urny. Niechby mu kto w drodze stawał, to Komitet centralny kazał strzelać w imię świętej sprawy. A miał zawsze na zawołanie wojsko i żandarmów, których zadaniem było strzelać, gdzie i kiedy Komitet centralny uznał to za stosowne. Hamował się przytem, ile mógł, czego najlepszym dowodem, że nie wystrzelał wszystkich wyborców przeciwnego obozu, chociaż mógł to łacno uczynić.

Pierwszem zadaniem tego Komitetu było przyjąć zgłoszoną kandydaturę i orzec, czy warto ją polecić wyborcom. To zależało od samego kandydata. Który miał lepsze kwalifikacye, to znaczy, który więcej pieniędzy złożył na ręce Komitetu w celach agitacyjnych, ten zyskał jego aprobatę. »Kinder, wer ka Geld hat, der bleibt z'Haus« — śpiewał Komitet centralny, więc zgłaszali się tylko tacy, co miali pełną kabzę.

Zarabiały browary, gorzelnie i wędliniarnie, wzmagał się dobrobyt w kraju, naród bawił się wesoło i radował się, że ma dobrego kandydata. Kandydat nietylko przyrzekał złote góry, ale odrazu dawał złoto, a wyborcy odrazu poznawali tę pomoc swego przyszłego posła, odrazu mieli coś z niego, więc wiedzieli, dlaczego chcą tego a nie innego mieć posłem. Wybory były uroczystością prawdziwą, świętem, niedzielą polityczną, a jeżeli lało się przytem trochę krwi ludzkiej, to właśnie dlatego, że w Galicyi w każde święto krew się leje i bez niej żadna porządna uroczystość się nie obejdzie.

To też słusznie chwycono się tego ostatniego środka, ktory ma zrównoważyć klęskę, spowodowaną

przez reformę wyborczą. Komitet centralny wyratuje kraj z grożących mu kataklizmów. Dzięki jemu wrócą do parlamentu Dzieduszyccy, Bobrzyńscy, Abrahamowicze i Bogdanowicze, a hr. Wojciech przesunie zapowiedziany koniec świata na później. Poprostu odroczy go i uratuje nam wszystkim życie.

Przepraszam cię, kochany Czytelniku, żem się tak rozpolitykował wbrew memu zwyczajowi, ale pod tym względem podobny jestem do radnego pana Mokrzyckiego. On także długo milczy i nic nie mówi. Ale gdy mu się już za wiele zbierze, to nie wytrzyma dłużej i musi ze siebie wszystko naraz wypuścić. Jest wtedy wybornym mowcą i tylko nie lubi, gdy mu się przerywa, bo gubi wątek. W tym tygodniu mowa jego wygłoszona na Radzie, zadecydowała o jatkach miejskich. Los ich waży się już drugi rok, aż dopiero p. Mokrzycki zabił je raz na zawsze swoją mową. Ale z góry zapowiedział, »że dziś ma ciężkie zadanie i ciężki głos«. Metoda p. Mokrzyckiego jako mowcy jest nową, i — powiedzmy otwarcie — druzgocącą.

Nie napada on znienacka tego, którego ma zwalczać, ale owszem, zapowiada naprzód, do kogo się teraz »zabira«, czem powoduje nietylko ból, ale i strach u swojej ofiary. Tak niebezpiecznych mowców trzeba nam więcej i dlatego żałować wypada, że p. Mokrzycki daje się tak rzadko słyszeć. Swoim »ciężkim« głosem wyrąbałby niejedną sprawę a przytem nie chciałby nawet »wjechać na popularność«.

XXI.

2 grudnia 1906.

(Co jest dla mnie niczem, a czem jest przyjazd ministra Korytowskiego? — Dawać a brać. — Ekscelencya wyprowadza ludzi z błędu. — Z kieszeni do kieszeni. — Elektryczna komunikacya po jeziorach. — Nasz raj. — Słówko o kaszkietach rosyjskich i o odważnych kaszkietnikach).

Najważniejszym faktem z tygodnia jest dla mnie pobyt ministra Korytowskiego we Lwowie. Niczem dla mnie brzydkie samobójstwo pięknej kasyerki, niczem uwolnienie Fuka z niewoli austryackiej, niczem świetne zwycięstwo rządu niemieckiego, odniesione nad dziećmi, niczem sensacyjne rozprawy sądowe genialnych bandytów, niczem bolesny policzek, wymierzony wczoraj posłowi Klofaczowi w parlamencie — to wszystko i setki innych sensacyjnych wypadków z tygodnia są dla mnie niczem w porównaniu z tak pożądanym przyjazdem mojego przyjaciela, ministra Korytowskiego do Lwowa. Na samą wiadomość o jego przyjeździe, wpadłem w taki szał radości, żem w pierwszej chwili chciał przebrać się za kapitana i przyaresztować p. prezydenta Michalskiego. Pomyślałem sobie, że z niego przecież setny chłop. Stęskniło mu się za nami i przyjeżdża, aby nas oglądać. Chce zobaczyć, czy zmieniliśmy się i chce, żebyśmy jego oglądnęli.

My go, co prawda, nie widzieli, ani on nas, ale widzieli go niektórzy urzędnicy państwowi, którzy targowali się z nim o poprawę bytu urzędników. Była ta sytuacya dla p. ministra dość niewygodną, On, który przez cały czas swojej karyery urzędniczej ćwiczył się w braniu i doprowadził w tem do niesłycha-

nej perfekcyi, teraz znalazł się odrazu w takiem położeniu, gdzie żądają od niego, aby dawał.

A kto uczył się brać, ten — rzecz prosta — nie umie dawać. Nawet najlekkomyślniejszy człowiek rozumie, że dawać a brać, to nie wszystko jedno. Ludzie wyobrażają sobie, że taki minister finansów ma wszystkie kieszenie wypełnione banknotami i złotem, ażeby miał co rozdzielać między potrzebujących.

Inni znów sądzą, że rząd na to mianuje ministrów, ażeby ci ulżyli ludności. Ażeby wszystkich źle poinformowanych wyprowadzić z błędu, ekscelencya Korytowski odrazu dał do zrozumienia, że poratuje ich tylko w miarę możności finansowej. Austryacka możność finansowa równa się możności bankrutującego kupca, który co najwyżej może brać z jednej kieszeni i dawać do drugiej. Zwyczajnie jeszcze coś się gubi po drodze tak, że do drugiej kieszeni dostaje się mniej, aniżeli z pierwszej wyciągnięto.

Po za tem chciał może p. minister zobaczyć na własne oczy, jak się rozwija stolica w jego nieobecności. Musiało go ucieszyć, gdy się dowiedział, że cały Lwów ma się »zelektryzować«. Rozszerza się sieć kolei elektrycznej, bo Rada przyszła do przekonania, że skoro bruków lwowskich już w żaden sposób naprawić nie można, to trzeba przynajmniej ludności umożliwić przewożenie się z miejsca na miejsce, aby się nie potopili, i w tym celu należało rozszerzyć znacznie linię tramwajową.

Bo z naszemi jeziorami i bagnami na ulicach to ani w kąt, ani w drzwi. Są za płytkie, aby po nich można było pływać na łódkach, a za głębokie, aby je można było przebrnąć piechotą.

Obywatele topią się w błotach z cierpliwością godną owieczek i jakoś ciągle się wydobywają z wody,

ale wreszcie przebierze im się miara i siła i gotowi naprawdę utopić się ze wszystkiem, przez co straciłoby miasto podatników i wyborców. — Więc będzie teraz wszędzie tramwaj. Za trzy centy można będzie na sucho przejechać przez kilkanaście jezior. Tak taniej komunikacyi nie ma nawet Szwajcarya. Wszystko, co żyje, będzie odtąd jeździć z wyjątkiem pieszych policyantów, którzy pływać będą piechotą.

Nastają więc stanowczo złote czasy.

Urzędnicy dostaną dodatek drożyźniany, wszystkie ulice dostają tramwaje, latarnie otrzymają kwiatki na czubie, obywatele przestaną się topić, a gdy się jeszcze zakończy pomyślnie strejk piekarski i majstrowie zdecydują się przynajmniej raz w roku jako tako wyszorować swoje piekarnie, to raj nasz będzie zupełny.

To też nic dziwnego, że ściągają do naszego raju, jak muchy do konfitur, ludzie z różnych stron, a najwięcej z Królestwa.

Tych najłatwiej poznać, bo noszą rosyjskie kaszkiety. Ile razy widzę na ulicy taki kaszkiet, zdejmuję czapkę i nie wiem, co więcej podziwiać: kaszkiet rosyjski, czy głowę, która w nim tkwi po uszy. Nie mogę tylko zrozumieć, czy tym kaszkietnikom już w Rosyi nakazano nie rozłączać się z kaszkietem nawet w Galicyi, czy też noszą go dobrowolnie, dla własnej satysfakcyi i na to, ażebyśmy od razu na pierwszy rzut oka poznali, który z nich miał odwagę — drapnąć z Rosyi. W każdym razie mi to imponuje. Ale kaszkiet więcej, niż głowa.

XXII.

23 grudnia 1906.

(Krajowy minister i jego robota. — Raz, ale porządnie. — Co można robić za 30 guldenów, a co za 60? — Nieskromni malkontenci. — Podwójnie. — Bierny opór pocztowców, który dopiero się zacznie i mój błąd. — Kura między Lwowem a Krakowem. — Kolejarze nie strejkują. — Słówko o głowach obywateli).

Mówiłem zawsze, że nam potrzeba jak najwięcej ministrów krajowego wyrobu. To też nie darmo cieszyłem się, gdy naszego krajowego Korytowskiego zrobiono ministrem finansów. Wiedziałem, że coś zrobi — i zrobił.

Skarżyli mu się urzędnicy państwowi, że u nich wielka bryndza, że drożyzna ich gniecie, że ich długi dławią, że poprostu już wytrzymać nie mogą. Wysłuchał, przyznał im racyę, kazał czekać, a wszystko będzie dobrze. I nie długo czekali na poprawę bytu, na ratunek rządu. Minister sięgnął do worka państwowego i sypnął... Urzędnicy czterech najniższych rang otrzymają »jednorazowy« zasiłek po 30, względnie po 60 guldenów. Wprawdzie tylko jeden raz, ale już za to porządnie. — Niech to kto nazywa kpinami, albo jałmużną, a ja powiadam, że to się nazywa pomocą rządową. Za 30 guldenów można w dzisiejszych czasach kupić sobie stary rower, albo dwie pary butów, albo sąg drzewa, a za 60 guldenów można się nawet ożenić.

Niektórzy z urzędników, urodzeni malkontenci, którzy nigdy z niczego nie są zadowoleni, twierdzą, że ten zasiłek im nie wystarcza i nie można go nazwać poprawą bytu. Otóż to jest zachłanność, która

nie przystoi szanującemu się urzędnikowi. — Urzędnik powinien być skromny i rozumieć, że minister mógł jeszcze mniej dać, albo wcale nie dać — a przecież dał. A że dał szybko, więc w myśl zasady *bis dat*, można to nawet uważać za 60 względnie 120 guldenów. A to już coś przedstawia.

To już o wiele oszczędniejszym okazał się minister handlu, który doprowadził pocztowców swojem zwlekaniem do biernego oporu.

Swoją drogą byłem pewny, że pocztowcy już od kilku lat wykonują bierny opór i czekałem wraz z nimi na polepszenie ich bytu.

Widząc, że depesze przychodzą nieraz do adresata drugiego dnia, że listy spóźniają się o sześć lub czternaście dni, a nieraz nawet zupełnie przepadają — byłem pewny, że to pocztowcy w ten sposób mszczą się na swoim zarządzie i wykonują bierną resystencyę. Tymczasem dowiaduję się w tym tygodniu, że dopiero zamierzają zabrać się do tego przed świętami.

Teraz naprawdę ciekaw jestem, jak wyglądać będzie ten bierny opór. Gdy naprzykład ktoś wyszle stąd do Krakowa jakiemuś krewniakowi żywą kurę na Boże Narodzenie, to adresat otrzyma ją chyba na Wielkanoc, ale już z kurczętami. Inaczej sobie tego nie wyobrażam.

Takie są skutki, jeżeli minister nie pochodzi z Galicyi. Gdyby ekscelencya Korytowski był ministrem handlu, rozdzieliłby między najważniejszych pocztowców po 30 koron łapówki i byłoby wszystko w porządku.

W gruncie rzeczy jest to bowiem tylko łapówka dla tych, co najwięcej hałasują. Nazywa się to zasiłkiem, ale każda łapówka jest zasiłkiem. Chodzi prze-

cież tylko o zatkanie gęby. Taki banknot w sam raz nadaje się do tego.

A teraz właśnie bardzo stosowna pora. Zima, drożyzna, święta. A więc na Gwiazdkę podarunek. Nas, publiczność, czeka na Gwiazdkę prócz innych niespodzianek i owo »ścisłe wykonywanie przepisów pocztowych«.

Inaczej robią kolejarze. Oni nie robią biernego oporu, nie wykonują »ściśle« przepisów kolejowych i urządzają jedną katastrofę za drugą. W jednym tygodniu już druga katastrofa. Jest to dla mnie trochę niejasnem. Bo przecież niedawno był u nas osobiście minister kolei dr. Derschatta, ażeby się osobiście o naszych brakach przekonać i złe usunąć.

Przekonał się, usunął, naprawił, a tu pociągi idą zygzakiem i jeden wjeżdża na drugi. Przydałoby się, żeby p. minister jeszcze raz przyjechał i porozdzielał jednorazowy zasiłek a la Korytowski. To pomoże.

To samo zaleciłbym p. prezydentowi Michalskiemu. Niechby rozdzielił jaki zasiłek między funkcyonaryuszów magistratu i między stróżów kamienicznych z prośbą, ażeby w zimie zeskrobywali lód z trotuarów i posypywali je popiołem lub piaskiem. Może to nie leży w interesie magistratu, aby obywatele mieli głowy na karkach, ale my pragniemy rozbijać sobie głowy tylko przy ważnych i uroczystych okazyach i tylko w pewnych miejscach, a nie zawsze i wszędzie, na każdej ulicy i przy każdej sposobności, w dni świąteczne i w dni powszednie.

XXIII.

31 grudnia 1906.

(Rok 1906 w zarysie).

Dzisiejsza kronika jest ostatnią w roku bieżącym i moje sumienie kronikarskie każe mi objąć wzrokiem nietylko — jak zwykle — tydzień ubiegły, ale nawet cały rok konający, rok 1906, który jutro kończy swoje obfite w wypadki panowanie.

Rok 1906 był rokiem bardzo obfitym w wypadki i zmiany w każdej gałęzi życia, i można z zadowoleniem skonstatować, że postęp widoczny był w każdym kierunku. Przedewszystkiem cały świat, a wraz z nim i Lwów i wszyscy jego mieszkańcy, z wyjątkiem tych, którzy w tym roku umarli, i z wyjątkiem większości kobiet, postarzeli się o cały rok.

W polityce zaznaczył się rok 1906 nietylko przyjęciem reformy wyborczej i wypoliczkowaniem kilku znaczniejszych posłów, ale także sensacyjnem odkryciem, że istnieje w Austryi jakaś Izba panów, o której istnieniu dotąd prawie nie wiedziano, a która swojem wystąpieniem zwróciła na siebie zdziwione oczy wszystkich. Dla obecnego parlamentu rok ten jest rokiem ostatnim panowania i uszczęśliwiania ludzkości przez uchwalanie ustaw, branie dyet, nadstawianie policzków i innych czynów politycznych, służących do pchnięcia świata na inne lepsze tory. Zaznaczyć należy, że polityka zataczała coraz szersze kręgi, a choć akademia nauk politycznych przestała funkcyonować, to polityka, jako umiejętność, przedostała się do najdalszych zakątków i ogarnęła nawet policyę,

która ją obecnie uprawia z powodzeniem, jako wyłączny swój zawód.

Wreszcie z chlubą możemy sobie powiedzieć, że gdy zabrakło rządowi austryackiemu ministrów, dostarczył mu ich Lwów, który, jak wiadomo, ma wielu kandydatów do wszystkiego.

Pod względem ekonomicznym dźwignęliśmy się znacznie. Miasto stare długi płaciło nowymi długami, co się nazywa konwersyą, a za jego przykładem obywatele konwertowali swoje długi przez cały rok, brnąc coraz dalej i coraz mniej wyraźnie, aż niektórzy skonwertowali wolność na kryminał i musieli potem dla przyjemności swoich obrońców udawać waryatów. Do tak pomyślnego stanu ekonomicznego miasta i mieszkańców przyczyniła się w znacznej mierze drożyzna powszechna, nad której zwalczaniem poważnie zastanawiała się Rada miejska przez rok cały, a w szczególności specyalna komisya drożyźniana, która z góry wypowiedziała wojnę drożyźnie i od szeregu lat zbroi się do tej wojny w cichości, aby nie spłoszyć nieprzyjaciela. Dwie próby w tym kierunku, mianowicie jatki miejskie i miejski Zakład pogrzebowy udały się doskonale, ale z wyższych względów, t. j. wyższych nad drożyznę, nie mogły przyjść do skutku.

Przemysł krajowy święcił w tym roku prawdziwe tryumfy, i zaszkodził przemysłowi zagranicznemu. Idea uprzemysłowienia kraju i popierania swojskich wyrobów tak bardzo przejęła wszystkich, że nawet na obcych, zagranicznych wyrobach pisano »wyrób krajowy«, dzięki czemu nie można ich było pozbyć, a przemysł zagraniczny odniósł w ten sposób dotkliwe straty.

Handel rozwijał się wcale pokaźnie, a jeżeli

mnóstwo kupców w tym roku zbankrutowało, to nie byli to w każdym razie handlarze dziewcząt, których interesa w Galicyi idą coraz lepiej, pomimo niesumiennej konkurencyi i gwałtownej agitacyi feministek.

Literatura i sztuka nie zostawiały nic do życzenia, a nawet znacznie w tym roku postąpiły. — W samym marcu powstało we Lwowie mnóstwo powieści i poematów, a nawet dramatów, z których niejaki »Dobrodziej złodziei« zrewolucyonizował cały Lwów z okolicą i omal nie spowodował katastrofy. Z uznaniem podnieść należy, że do pisania powieści, wierszy lub dzienników brali się z zapałem nawet dorośli analfabeci, z których jeden tak długo niósł zapomocą inseratów »oświaty kaganiec« w ciemne tłumy szynkarzy, śpiewaczek i kelnerów, aż sam się dostał w ponure lochy więzienia. Dla podniesienia i ratowania ludzkości powstało w tym roku kilka nowych czasopism, które po wydaniu kilku numerów okazowych przestały wychodzić.

Sztuka kwitła przez rok cały w miejscach jej poświęconych, w Colosseum i innych tynglach, a Lwów był miejscem zlotu pudrowanych muz zagranicznych od lat 40 w górę, które wyniosły stąd »dodatnie« wrażenie i miłe wspomnienia o tombakowej młodzieży z odcieniem złota, pożyczanego na »puf« i na 200 proc. Z malarzy, rzeźbiarzy i innych artystów ani jeden w roku tym nie umarł na tyfus głodowy, co świadczy chlubnie o ich odporności, wstrzemięźliwości i o ich rodzinach, które ich wspierają materyalnie i moralnie.

Stosunki zdrowotne były w mieście — pomimo tak wielkiej liczby świąt, aptek, jatek i restauracyj zadowalniające.

Umarli tylko ci, którzy nie mogli dłużej żyć i pa-

trzeć na tramwaj konny, administracyę podatków, rzeźników, instytucyę taniego opału i inne irytujące rzeczy. Ażeby nie powiększać procentu śmiertelności, magistrat lwowski zaniechał założenia miejskiego Zakładu pogrzebowego i zamiatania kurzu w lecie, a natomiast zburzył Bourlardówkę i zakupił na własność konny tramwaj.

W tym kierunku zresztą magistrat przez cały rok robił, co mógł i starał się, aby o nim jak najwięcej mówiono i pisano.

Stosunki bezpieczeństwa życia i mienia — prócz więcej bezpieczeństwa — nie zostawiały nic prawie do życzenia i były dość znośne z wyjątkiem wypadków, w których interweniowała policya; z wyjątkiem niedziel i świąt i z innymi jeszcze wyjątkami. Prócz codziennych zwykłych kradzieży i rozbojów zapisały kroniki kilka sensacyjnych a między temi, kradzież 20.000 w Banku krajowym, którą trzy razy udało się policyi szczęśliwie wykryć, ale która dotąd pozostała tajemnicą, bo dziwnym zbiegiem okoliczności, nikt nie chce się przyznać do jej popełnienia. Inni mniej sprytni złodzieje i defraudanci zmuszeni byli opuścić kraj ojczysty, o ile nie chcieli pozwolić zrobić ze siebie waryatów i pójść na Kulparków, albo przerobić się na porządnych ludzi i pójść do kryminału.

Z dziedziny wynalazków mamy do zanotowania tylko jeden sensacyjny wynalazek pani Klaudyi Majewskiej, która obmyśliła nowy sposób rodzenia dzieci bez bolu, bez akuszerki, a nawet bez własnej obecności. Nie uzyskała jednak patentu na swój wynalazek, który mógł wywołać przewrót w całej medycynie i opuściła kraj, bo *nemo propheta in patria.*

Najważniejszym wypadkiem z r. 1906

jest, że w roku tym rozpocząłem we *Wieku Nowym* pisywać kroniki niedzielne.

XXIV.

13 stycznia 1907.

(Historya o górze, która się śmiała, otwierała i zamykała. — Pukaj, a będzie ci otworzono. — Zamykanie i otwieranie. — Czemu magistrat nie zamknął góry? — Wszystko we Lwowie robi się samo. — Magistrat jedzie. — Co to znaczy koń ratunkowy i na czem polega jego ratunek? — Szach perski, trzysta kilkadziesiąt wdów, lwowska kuchnia a kiszona kapusta).

Była sobie we Lwowie góra piaskowa, z której ludzie wygrzebywali piasek i tak bardzo ją podkopali, że góra chciała się przewrócić. Wobec tego magistrat polecił zamknąć górę. Ale góra miała jeszcze bardzo dużo piasku, więc jakiś człowiek postarał się, aby magistrat otworzył górę i magistrat otworzył górę. Góra śmiała się z tego i mówiła, że kto wie, czy się nie położy, jeśli się jej na nowo nie zamknie, wobec czego magistrat, w porozumieniu z urzędem budowniczym, postanowił zamknąć górę i zamknięto górę. Atoli nie wszystko, co się zamyka, musi na wieki pozostać zamkniętem, bo nawet pismo święte powia: pukaj, a będzie ci otworzono. Poszedł więc ktoś obeznany z tą zasadą pisma świętego i zapukał w magistracie, aby mu otworzono górę i otworzono mu górę. Bo magistrat także zna pismo święte i w myśl jego intencyi otwiera się, ile razy zapuka do niego ktoś, co umie pukać. Otworzono górę, a góra śmiała się dalej i dawała ze siebie tyle piasku, ile kto chciał brać...

Zaczęto znowu wołać, aby zamknąć górę, ale magistrat był już zły i nie chciał jej zamykać, bo wiedział, że jutro znów ktoś zapuka, aby mu otworzono górę i trzeba będzie otworzyć górę.

Wolał zaoszczędzić sobie fatygę, a ludziom pukania i powiedział sobie, że zamknie się górę dopiero wtedy, kiedy zajdzie ważna potrzeba. I stała sobie góra otwarta i śmiała się i czekała aż przyjdzie potrzeba, żeby ją zamknąć. Tymczasem powiedział ktoś górze: jeśli chcesz być zamkniętą, to zamknij się sama. I przytoczył jej dużo przykładów, że u nas tak się dzieje ze wszystkiem: Śniegu się nie zgartuje, tylko sam taje, kurzu się nie zmiata ani skrapia, tylko wiatr go zmiata i deszcz go skrapia, starej rudery się nie wali, tylko sama się rozsypuje, bagna się nie zasypuje, tylko samo wysycha, dziur się nie łata, tylko same wypełniają się wodą, błotem lub myszami, oszustów się nie usuwa, tylko sami się usuwają i t. d.

Wszystko się robi samo — trochę zapóźno, ale samo. Wobec tego góra zamknęła się sama, grzebiąc w swoim piasku życie człowieka, ojca rodziny. Telefonowano więc do magistratu, że już zaszła potrzeba zamknięcia i magistrat wsiadłszy do dorożki — przyjechał na miejsce z kluczami, aby górę zamknąć. Lecz już była zamknięta.

Magistrat ogłosił urzędowo, że góra zamknięta.

Taka jest historya o górze, która się śmiała, otwierała i zamykała, aż się sama zamknąć musiała.

To, że przy tej sposobności biedny człowiek stracił życie, jest smutne, ale tam, gdzie chodzi o dobro magistratu, a więc i ogółu, należy z przyjemnością ponosić ofiary, nawet z własnego życia. Powiadają, że wóz stacyi ratunkowej przyjechał za późno, a stacya twierdzi, że nigdy nie ma koni, ile razy ich

potrzebuje. Stacya ratunkowa ma dużo koni, ale konie są zawsze zajęte. Jedzie prezydent, jadą wiceprezydenci i różni dygnitarze magistratu i używają koni stacyi ratunkowej. Na stacyi zostaje tylko jedna para koni, bo magistrat słusznie twierdzi, że to wystarcza, bo tylko w jednem miejscu powinien się zdarzyć nieszczęśliwy wypadek i dlatego należy się wystrzegać, żeby kilka wypadków zdarzyło się równocześnie w różnych miejscach. A konie ratunkowe są na to, aby ratować nie tylko tych, co już ulegli wypadkowi, ale i tych, co mogliby uledz jakiemuś nieszczęściu. Naprzykład p. prezydent idąc piechotą po brukach lwowskich, mógłby się potknąć, broń Boże, i sobie coś złego zrobić. Więc konie powinny wozić p. prezydenta i chronić go przed wypadkiem. I na tem polega ich ratunkowa służba, niby prewencyjna.

Prawie równocześnie nadeszła wiadomość o śmierci szacha perskiego, który byłby jeszcze kto wie jak długo żył, gdyby w swojej podróży nie był zawadził przed dwoma laty o Lwów. Trzy dni siedział we Lwowie i tu zepsuł sobie żołądek. Smakowała mu nasza kuchnia, a już zakochał się na zabój w kiszonej kapuście. Wyjechał ze Lwowa, objechał pół świata i wrócił do Persyi, ale lwowską kuchnię i kiszoną kapustę nosił ze sobą w żołądku. Zbyt mu się na każdym kroku przypominała, aby o niej mógł zapomnieć. To, co zjadł we Lwowie, siedziało w nim blisko dwa lata i to go zabiło. W testamencie wyraźnie zakazał swoim następcom zwiedzać Lwów. Teraz cała Persya i trzystakilkadziesiąt wdów pozostałych po szachu perskim płacze i klnie lwowską kuchnię i kiszoną kapustę. Niech mu ta kapusta bodaj po śmierci lekką będzie.

XXV.

20 stycznia 1907.

(Choroba parlamentu a jej przyczyny, objawy i skutki. — Reforma prawa małżeńskiego a kongrua. — Jak mój sąsiad wyobraża sobie reformę? — Próby z desperacyi. — Szybka obiecanka. — Czem palimy w piecach? — Jak magistrat wpływa na potanienie mieszkań? — Polano do oglądania. — Opłaty pocztowe. — Na szczęście nie można przeciwdziałać).

Parlament austryacki zachorował na biegunkę. Ma wkrótce umrzeć i chciałby jeszcze coś zostawić po sobie. Spieszą się więc nasi wybrańcy, a takiego pośpiechu w gadaniu, naradach i załatwianiu spraw nie pamiętają najstarsi parlamentarzyści. Każdy z posłów bierze czynny udział w tej zbiorowej chorobie i jedni pomagają drugim. Chodzi o to, aby pokazać wyborcom, że się robi, i że się robi dużo. Przy takiej epidemicznej niedyspozycyi nawet nikt nie próbuje znanego środka obstrukcyi, bo na to nie ma czasu. Wszystko dzieje się szybko. Każdy poseł uczuwa nagle jakiś kurcz i odrazu wywnętrza się z nagłym wnioskiem. Przykład działa zachęcająco i inni robią to samo.

Przy tem targują się, jak na tandecie. Zrobisz ty mnie to, to ja ci zrobię co innego. Tak samo zrobiono z reformą prawa małżeńskiego. Ci, którzy ją popierają, powiadają klerykałom: damy wam kongruę — jeśli nam dopomożecie do reformy prawa małżeńskiego. Jedno do drugiego jest wprawdzie tak podobne, jak pięść pana Cyganiewicza do noska pani Sosnowskiej, ale nawinęła się dobra sposobność, więc reformiści próbują z niej skorzystać.

Swoją drogą, że ta bądź co bądź konieczna re-

forma małżeńska przewróciła niektórym ludziom w głowie i komentują ją w rozmaity sposób. Mój sąsiad naprzykład straszy nią od miesiąca swoją gderliwą żonę, a powiada, że zaraz po uchwaleniu reformy rozwiedzie się z nią i tak długo będzie się żenić z innemi kobietami, aż natrafi na stosowną żonę. Ma zamiar z desperacyi wypróbować kilka tuzinów kobiet. Jakaś dzika odwaga.

Gdyby tak wszyscy żonaci podejmowali podobne ryzykowne próby, to liczba ślubów wzrosłaby tak bardzo, że księża z samych opłat pobieranych od stałych klientów przy zaślubinach naskładaliby pokaźne majątki i nie potrzebowaliby starać się o podwyższenie kongrui. Dlatego dziwię się, że księża wywracają koziołki i najhałaśliwiej sprzeciwiają się tej złotodajnej reformie, zamiast ją popierać i pchać do celu.

Ale ten pośpiech parlamentu nie zawsze wychodzi na dobre. Minister Korytowski szybko przyrzekł urzędnikom dodatek drożyźniany, ja go za tę hojność szybko pochwaliłem w kronice niedzielnej, wszyscy urzędnicy szybko porobili nowe długi na rachunek tego dodatku, a parlament szybko odrzucił cały projekt ministra. Mają więc teraz urzędnicy skutki »galopki« parlamentu i na razie palą w piecach meblami, makulaturą gazetową, starą odzieżą, dywanami perskimi, butami, fotografiami, zegarami pendułowymi, fortepianami, ramami obrazów, sztucznymi zębami i materacami z łóżek. To wszystko bowiem jest o wiele tańszym opałem, niż »tani opał« miejski, a ma tę dobrą stronę, że ma się to wszystko przynajmniej pod ręką i nie trzeba na to czekać miesiącami. Jest przy tem także i ta nadzieja, że z końcem zimy będziemy gruntownie spaleni, i na wiosnę można będzie

wziąć znacznie mniejsze i tańsze mieszkanie, co wobec znanej drożyzny mieszkań wyjdzie nam tylko na lepsze. W ten sposób magistrat przyczyni się do potanienia mieszkań, a jeżeli do potanienia opału dla wszystkich mieszkańców przyczynić się jeszcze nie może, to przynajmniej zrobił już początek i postarał się, aby tymczasem bodaj urzędnicy magistratu mieli tani opał. Ponieważ nie jest wykluczonem, że wkrótce drzewa opałowego zupełnie zabraknie, przeto prezydyum magistratu w porozumieniu z komisyą drożyźnianą postanowiło na tajnem posiedzeniu Rady miejskiej przechować jedno polano z taniego opału w miejskiem Muzeum przemysłowem, ażeby je potem publiczność za małą opłatą wstępu oglądać mogła i nie skarżyła się, że dotąd taniego opału miejskiego nie widziała na oczy.

Niezrozumiałem atoli jest dla mnie, że podrożały opłaty pocztowe pomimo, że niemi nie zarządza lwowski magistrat i pomimo, że markami pocztowemi dotąd nie palono w piecach, ani ich nie sprzedawano w jatkach. Lecz ponieważ wykluczonem jest, aby tej nowej drożyźnie można było ze strony magistratu przeciwdziałać przez dowóz marek prowincyonalnych, przez sprzedaż marek końskich, lub przez rozwożenie taniego ofrankowania miejskiego, i ponieważ sprawą drogich opłat pocztowych nie zajmuje się miejska komisya drożyźniana, przeto wolno nam żywić nadzieję, że opłaty pocztowe już więcej tak rychło nie podrożeją.

XXVI.

27 stycznia 1907.

(Mój kłopot z szukaniem winowajców. — Mrozy, a nosy obywatelskie. — Czemu ustąpiły mrozy? — Skutki mrozów, które pomijam. — Działanie mrozów na mózgi i objawy tej choroby. — Pierwszy rektor ruski, a jego mowa inauguracyjna. — Nowy objaw nowoczesnej waryacyi w porównaniu z dawnymi waryatami, czyli choroba rzeźników).

Mam ten zwyczaj, że ile razy zabieram się do pomstowania na coś, naprzód szukam właściwych winowajców i tych nadziewam na szpic gęsiego ogona, zanim go umaczam w atramencie i żółci. Dziś jestem w kłopocie.

Chciałbym napisać o wściekłym mrozie ubiegłego tygodnia i nie mogę znaleźć sprawców. Magistrat nie winien, rakarz miejski niewinny, rzeźnicy niewinni, policya niewinna, tramwaj konny niewinny, rząd i parlament niewinny, minister Korytowski niewinny, fukowcy niewinni, słowem, są to same anioły niewinności w tej paskudnej sprawie i nie ma się kogo uczepić.

A mam przemawiać nietylko w imieniu własnem, ale w imieniu tysiąca odmrożonych nosów obywatelskich, meldowanych lub niemeldowanych na lwowskiej stacyi ratunkowej, a wołających o tani opał i o pomstę do nieba nadaremnie. Bo ze wszystkich członków ciała jeden nos jest najnieszczęśliwszy, ile że wszystkie inne dadzą się ukryć przed mrozem — a tylko on jeden stercząc na froncie, musi pozostać odsłonię tym i narażać się na wszystkie kataklizmy.

Mrozy trwały przez dni kilka, pomimo że do nich przemawiały wszystkie dzienniki i przekupki, a gdy zdawało się, że nie ustaną, prezydent p. Mi-

chalski powziął zamiar zwołania Rady miejskiej na specyalne posiedzenie, ażeby uchwaliła protest przeciw mrozom i wybrała osobną komisyę mroźną na wzór komisyi drożyźnianej.

Lecz po dojrzałym namyśle, ze względu na doświadczenie, że taka komisya mogłaby, a nawet musiałaby przyczynić się do znacznego powiększenia i zaostrzenia mrozów, zaniechał p. prezydent swego zamiaru, dzięki czemu mrozy istotnie ustąpiły.

I to można nazwać szczęściem prawdziwem, bo tylko wtedy zrozumiemy, jakie nieszczęścia spowodować mogły mrozy, gdyby się były dłużej przeciągnęły, jeśli zważymy, ile szkód wyrządziły za tych dni kilka.

Pomijam już wszystkie wypadki odmrożeń, zanotowane w kronikach policyjnych i szpitalnych; pomijam kompletny zastój w handlu i przemyśle; pomijam tani opał miejski, który, aby się zagrzać, sam się spalił, a mimo to zamarzł na śmierć i znikł z widowni, pomijam okólnik przezornych władz miejskich do zarządów szkół, aby oszczędzano opał w szkołach aż do ustania mrozów; pomijam wymagania władz wojskowych, aby żołnierze pozwalali się nietylko strzelać i rąbać dla swojej austryackiej ojczyzny, lecz aby dawali się nawet zamrażać dla jej dobra i w pozycyi siedzącej jechali na tamten świat; pomijam wreszcie cały proces fukowców i samego Fuka, który zblamował sąd i sędziów twierdząc, że jemu, przyszłemu generałowi przyszłych wojsk fukowych, nie jest do honoru zeznawać i przysięgać przed jakimiś sędziami austryackimi, których on już może wkrótce weźmie do niewoli i jako jeńców traktować będzie — ale tego stanowczo pominąć nie mogę, że silne mrozy niektórym osobnikom sięgnęły aż do mózgów i wy-

rządziły w nich wielkie spustoszenia. O tem działaniu mrozów na słabe i nieodporne mózgi ludzkie dowiedziałem się dopiero w tym tygodniu po raz pierwszy.

Mam na myśli akademików ruskich i rzeźników lwowskich. Wprawdzie Rusini okazali się w tym tygodniu dobrymi rzeźnikami, a rzeźnicy postawili się, jak prawdziwi Rusini, ale muszę jednych i drugich traktować osobno, aby się ze sobą nie pokłócili.

Rusinon mróz uderzył na mózg najsilniej, a objawy choroby były wprost straszne i wyładowały się w napadzie na uniwersytet. Co oni tam wyprawiali pod wpływem napadu szału, wiadomo wszystkim z dzienników. Mniejsza o to, że porąbali sprzęty, pocięli obrazy, pogryźli stoły i rury gazowe, pożarli szyby, powystrzelali rektorów na portretach i dziwili się, że nikogo nie zabili, o to mniejsza, bo to jeszcze wszystko można będzie naprawić. Ale nieuleczalnym i zarazem najciekawszym był objaw choroby u jakiegoś Diduniaka, któremu zdawało się, że sam jest rektorem i ażeby odrazu pokazać, jak on pojmuje ten urząd, ubrał się w togę rektorską, wylazł na stół i tak skowyczał, jakby mu kto rozpalony drut tam przyłożył, gdzie akuratnie było miejsce na trzydzieści batów. A inni krzyczeli wiwat! Była to podobno próba wykładu z demonstracyami lub inauguracyjna mowa pierwszego rektora ruskiego. Jego już nikt nie wyleczy. Ponieważ nie było pod ręką kaftanów bezpieczeństwa, przeto nieszczęśliwemi ofiarami mrozów syberyjskich zajęła się tymczasowo policya.

Inaczej z rzeźnikami. Ci nie przyznają się do choroby, która objawia się u nich w ten dziwny sposób, że imputują ją innym. Powiadają oni mianowicie, że namiestnik zwaryował, skoro im nie pozwala sprzedawać wągrowatej wieprzowiny. I gadaj tu z warya-

łami! Ale ich waryacya jest przynajmniej modna, nowoczesna. — Dawniejsi waryaci grozili, że na wypadek niespełnienia ich życzeń, podrą na sobie szaty, wyrzucą przez okno pieniądze, ściągną z siebie skórę i t. p. Dzisiejsi mówią inaczej: Jeśli namiestnictwo nie zniesie tego zakazu, sciągniemy skórę z mieszkańców i podniesiemy cenę mięsa! Czasy się zmieniły, nawet waryaci zmądrzeli, świetny sądzie.

XXVII.

2 lutego 1907.

(Śmierć krowy, mowa pogrzebowa i stypa. — Płacz wybrańców. — Zagadkowa krowa następczyni. — Od głowy, czy od ogona? — Tymczasem nędza, a piękne horoskopy. — Kiedy spocznie nowy parlament? — Znak bogactwa u wielkich dam. — Dlaczego tak bardzo tańczymy? — Miłosierdzie w nogach. — Za kogo powinni modlić się chorzy i ubodzy?)

W tym tygodniu zdechła w Wiedniu sześcioletnia krowa, żywicielka Austryi, i pogrzebano ją z wielką uroczystością. Baron Beck wygłosił jej ciepłą mowę pogrzebową, poczem dla tych wszystkich, którzy jako wybrańcy przez szereg lat na niej siedzieli i ją doili, urządził wspaniałą stypę pogrzebową, aby się pocieszyli w nieszczęściu i zapomnieli o stracie. — Byli więc na stypie i płakali w duchu wszyscy: i ci, którzy siedząc przez sześć lat na krowie głośno ryczeli; i ci, którzy w milczeniu na niej siedzieli i ograniczali się do samego dojenia, i ci, którzy krowę za rogi brali, aby ją pociągnąć w swoją stronę, i ci, którzy ją za ogon ciągnęli w tył — byli wszyscy.

Płakali, bo po starej krowie nastąpi wprawdzie

nowa krowa, ale niewiadomo, kto się na nią wydostanie i kto ją doić będzie. Tembardziej, że nowa krowa jest dość zagadkowa i trudno dziś odgadnąć, jak będzie najłatwiej wygramolić się na jej grzbiet. Do dawnych krów najpewniej było podebrać się od głowy, a teraz — jak powiadają — trzeba będzie zajść od strony ogona. Jestto trochę ryzykowne takie zachodzenie z tyłu, bo można się narazić na kopnięcie, a przytem i narząd powonienia narażony jest na szwank, ale dla dobra kraju zrobimy wszystko i będziemy chętnie kłaniać się ogonowi.

Robimy już przygotowania, zbieramy pieniądze, kłaniamy się na wszystkie strony, zwołujemy zgromadzenia, budujemy plany, a tematem i treścią tych wszystkich zabiegów jest przyszła krowa. Pchajcie nas na krowę — jest hasłem wszystkich przemówień — a my wam pokażemy, jakie mleko iść będzie na wasze głowy pod naszą komendą.

Możemy więc być spokojni i z otuchą spoglądać w przyszłość. Żyjemy wprawdzie w nędzy, ale ta cała nasza nędza, to tylko tymczasowa. Nawet mieszkania potanieją, jak zapewniał baron Beck, a mięsem i polanami ludzie za sobą rzucać będą jak dziś kamieniami.

Nowy parlament nie spocznie, aż każdy kancelista i nauczyciel ludowy a może i jaki taki dyurnista będzie miał w garnku kawałek wągrowatego mięsa.

Na razie jeszcze tak nie jest. Przeciwnie, węgiel, drzewo i mięso są coraz rzadsze i coraz droższe, a — jak słychać — bogate damy zaczną już niebawem nosić zamiast brylantowych butonów, dwa kawałki węgla lub dwa polana na uszach, na znak bogactwa, zaś mięso można będzie oglądać tylko jeszcze na większych balach. Powiadają nawet, że węgla

wkrótce zupełnie zabraknie, wobec czego nastaną w mieście egipskie ciemności i syberyjskie mrozy. Wprawdzie i teraz nam nie jest ani zbyt jasno, ani zbyt ciepło, ale to, co przepowiadają na przyszłość — przechodzi nawet galicyjskie stosunki. Wynika z tego, że teraz jeszcze nie jest tak bardzo źle, skoro może być nawet gorzej.

Nic więc dziwnego, że pomimo narzekań na powszechną drożyznę, tańczymy do upadłego. Może wypadnie nam wkrótce z powodu braku węgla wyrzec się tramwajów, teatrów, kawiarń i restauracyj, a w końcu zginąć w ciemności i mrozie, to powinniśmy resztki dni spędzić wesoło.

Przy tańcu zresztą człowiek rozgrzewa się prędzej, aniżeli drzewem lub węglem. A więc tańczymy. Milion nóg jest w tej chwili w robocie i pracuje na biednych, którzy sami pracować nie mogą. Całe nasze miłosierdzie wlazło nam na kilka tygodni w nogi, jak podagra, i tędy się wyładowuje na zewnątrz. Pokazuje się, że sercem nie można tyle dobrego zdziałać dla ubogich, ile nogami. Cały Lwów roztańczył się tak bardzo, że gdyby to miłosierne nogodzielnictwo jeszcze długo potrwać miało, ludzie chodziliby potem bez nóg. Dlatego ci wszyscy chorzy, ubodzy, skrofuliczni i nieuleczalni, dla których nogi nasze pracują w pocie kolan, powinni modlić się za nasze nogi i gorąco prosić Boga o siły, hart i wytrwanie dla naszych nóg, ażeby spełnić mogły szlachetne dzieło miłosierdzia.

XXVIII.

17 lutego 1907.

(Koniec karnawału i odpoczynek po pracy. — Bilans karnawałowy. — Sesya sejmowa, jako reduta przed Popielcem. — Dlaczego Sejm zajął się nauczycielami? — Przestrogi »Przeglądu« i ich pobudki. — Nieco o wiecu i o zakazach, które nie są zakazami. — Figiel karnawałowy p. namiestnika, na którym nie zrozumiał się p. Stapiński. — Inny figiel w więzieniu, czyli karnawał przy ulicy Batorego).

Zakończono karnawał, posypano t. zw. głowy popiołem, a kilkanaście tysięcy ludzi spoczywa i nie może przyjść do siebie po trudach karnawałowych. Trzeba przyznać, że pracowano w tym karnawale rzetelnie i nie można się było skarżyć na brak pracy, ani na brak nóg do pracy. Nogi, to u nas jedyny artykuł, którego nie sprowadzamy z zagranicy; o ile kto niema nóg sztucznych z Berlina lub Wiednia. Przez sześć tygodni robiliśmy nogami wyłącznie na cele dobroczynne, na dochód ubogich i kalek, a bilans dobroczynny karnawału jest poprostu świetny. Ubodzy wzbogacili się, chorzy wyzdrowieli, zdrowi zachorowali, kalekom przyprawiono brakujące członki lub naprawiono zepsute, a nawet nieuleczalni czują się już lepiej i nabrali humoru do życia. Jeżeli mimoto zostało jeszcze kilku ubogich w mieście i nie wyleczono jeszcze wszystkich chorych i skrofulicznych, to wina tego w zbyt krótkim karnawale, który, gdyby był trwał — powiedzmy — tylko do czerwca, byłby mógł zdziałać jeszcze więcej dobrego.

Całą więc resztę dobroczynnego działania trzeba było zostawić sejmowi, którego obecna sesya także jest jakąś niby maskaradą przed samym Popielcem. Powiadają bowiem, że dla większości posłów kończy

się właśnie karnawał posłowania, zabawa w posła, przebranie się w domino reprezentanta narodu i trzeba będzie zaraz posypać łysinę popiołem, wejść w siebie, i nie znalazłszy w sobie nic mądrego, usunąć się w zacisze wielkich długów hipotecznych. Zanim to nastąpi, zjechali się ojcowie narodu na Sejm, aby radzić nad dobrem kraju i jego mieszkańców. Ponieważ zaś nie było w karnawale tegorocznym żadnego balu na dochód wstydzących się żebrać nauczycieli ludowych, przeto przypadło Sejmowi w udziale zająć się ich losem, pomimo przestróg przezornego *Przeglądu*, który słusznie radził, aby dać spokój z filantropią i nie wzbogacać nauczycielstwa, przez co kraj mógłby zbankrutować. Jeżeli zaś nauczyciele powoli wyginą z głodu, to kraj na tem jeszcze grubo zyska, bo można ich będzie zastąpić nauczycielkami, które są mniej wymagające, a więcej wytrzymałe na głód i zimno. Pomimo tak słusznych przestróg ojcowskich *Przeglądu*, wynikłych z pobudek patryotycznych, a opartych na głębokiej obserwacyi życia, nauczyciele ludowi, którzy w ostatnich czasach zaznajomili się z hasłami przewrotu i zupełnie są ogołoceni z miłości kraju rodzinnego, nie zrozumieli się na złotych słowach *Przeglądu* i urządzają jutro wiec krajowy, na którym chcą głośno powiedzieć, że nie chcą ginąć z głodu.

Tymczasem władze w myśl okólnika krajowej Rady szkolnej zagroziły nauczycielom dyscyplinarką, jeżeli poważą się wyjechać do Lwowa na wiec, a zapytany o powód tego zakazu pan namiestnik, wyraźnie oświadczył niewyraźnie, że nie zakazano »brać udział«, tylko zakazano »wyjeżdżać« na wiec. Teraz nauczyciele nie wiedzą: wolno, czy nie wolno?... Wolno brać udział, ale nie wolno przyjechać. To tak trochę

po galicyjsku, a trochę do góry nogami. Ale tylko na pozór tak wygląda. Bo p. namiestnik bywa czasem dowcipny i wie, że na reducie wolno robić figle. Wymigał się zręcznie i zaszpuntował całą sprawę. Wobec faktu zaś, że nawet poseł Stapiński nie poznał się na żarcie namiestnika i cofnął swój wniosek nagły, trzeba przyznać, że żart się udał, i gdyby była przeznaczona jakaś premia »dla najdowcipniejszej maski«, to należałoby ją przyznać p. namiestnikowi.

Jeszcze lepszy żart karnawałowy udał się niektórym więźniom lwowskim, którym siedzenie w celi podczas karnawału bez dam wydawało się słusznie czemś monstrualnem i wołającem o pomstę do nieba. To też próbowali »wyświdrować« sobie jakieś polepszenie bytu, a raczej uprzyjemnienie pobytu i wybiwszy dziurę w podłodze — złożyli wizytę swoim sąsiadkom z dołu. I urządzili sobie taki mały bal. Bal w kryminale przy ul. Batorego, czyli — jak obecnie nazywają to więzienie — w ruskim uniwersytecie, bo przebywa tam kilkudziesięciu ruskich akademików.

Balowało się całe miasto, to i oni urządzili sobie bal. Nie było wprawdzie protektorki balu, ani komitetu balowego, ani muzyki balowej, ani kotylionu z niespodziankami, ani karnetów ręcznie malowanych, ale udało się wszystko doskonale, mimo te braki i mimo, że do pierwszego kadryla zaledwie było kilka par. — Bawiono się ochoczo ku obopólnemu zadowoleniu pań i panów, a jeden z komitetowych zapracował się aż do zemdlenia.

Zabawa przeciągnęła się do późna — a gdy nazajutrz zdziwiona władza pytała komitetowych panów, czy warto było dla jednej wesołej nocy narażać się na srogie kary, odpowiedzieli jednomyślnie, że »lepszy jest jeden wróbel w garści, niż trzy lata w kryminale«...

XXIX.

10 marca 1907.

(Poty prezydentów. — Krwiożerczość radnych. — Zakład nieuleczalnych w oświetleniu filantropii magistrackiej. — Brak pieniędzy w magistracie i na mieście. — Fałszywa moneta a sekatury rządu. — Kasyerzy banków już nie defraudują. — Nie ma zdrowych defraudantów. — Lekarze a prokuratorya. — Apel do posłów sejmowych. — Przykra ewentualność. — O operze niemowlęcej słów kilka).

Pan prezydent Michalski przechodzi teraz cały szereg sądnych dni i razem z dwoma wiceprezydentami pocą się tak, jakby połknęli cały wagon »aspiryny«. Ci nasi radni, podczas dyskusyi budżetowej wylewają na głowy prezydentów wszystkie kwasy — jakie im się zebrały przez cały rok na wątrobie. Za każdą marną koronę budżetu, chcieliby utoczyć kwaterkę prezydenckiej krwi. Ta krwiożerczość naszych radnych zasługuje na wytknięcie, bo woła o pomstę do nieba.

Ostatnio wytaskali na światło dzienne sprawę Zakładu dla nieuleczalnych.

Nikt o niczem nie wiedział, żaden z nieuleczalnych, ani nieboszczyków nie skarżył się — i wszystko szło gładko, aż tu jeden z radnych nie miał nic pilniejszego do roboty, jak wszystkich chorych wywlec przed Radę i zaprezentować ich boleści. Słusznie odciął się p. prezydent, że — jak już sama nazwa Zakładu wskazuje — są to nieuleczalni, a im już lekarz nic nie pomoże.

Od tego są nieuleczalni, aby powymierali, a im gorzej im będzie w Zakładzie, tem prędzej śmierć wybawi ich z boleści.

Robi się więc w tym kierunku wszystko możliwe,

aby tym nieuleczalnym biedakom czemprędzej dopomódz do uzyskania pośmiertnej szczęśliwości i osiągnięcia korony niebieskiej. Powtóre nie żal im za życiem, i umieranie nie sprawia im żadnej przykrości, bo po kilkodniowym pobycie w Zakładzie, sami pragną czemprędzej umierać. Jestto więc aktem filantropii, jeżeli się nie przedłuża cierpień tych nieszczęśliwych, a że ta filantropia chadza magistrackiemi drogami, to nikogo dziwić nie powinno, że w Zakładzie jest za mało miejsca, a za wiele chorych. Na to znowu odpowiada słusznie p. prezydent, że niema pieniędzy i to jest swoją drogą smutna prawda, która objawia się nietylko w magistracie.

I na mieście zabrakło pieniędzy, skutkiem czego okazała się potrzeba puszczania w obieg podrobionych dziesięciokoronówek złotych. Przed rokiem próbowano puszczać papierowe pieniądze, ale rząd się temu stanowczo sprzeciwił a fabrykantów zamknął w kryminale. Teraz próbowano wydawać złotą monetę i słychać, że i tym razem rząd nie życzy sobie tego, a nawet już poszukuje fabrykantów. Jestto zwykła sekatura ze strony rządu.

Rząd pieniędzy dawać nie chce i drze się o każdy cent jak przekupka, a chcemy sobie sami robić monetę, aby się obejść bez tamtych, to rząd nie pozwala. Cóż więc pozostaje robić uczciwemu człowiekowi, jeśli przypadkiem nie jest kasyerem jakiegoś banku?

Ale i kasyerzy banków przestali już defraudować, chyba, że stracą rozum. Cieszyłem się w tym tygodniu, że mamy już nową defraudacyę, tymczasem pokazuje się, że popełnił ją nieszczęśliwy waryat.

Dawniej defraudowali pieniądze ludzie sprytni i rozumni, dziś jeszcze tylko obłąkani naruszają grosz

obcy. Nawet nie słychać było w ostatnich czasach, aby jakiś poważniejszy defraudant był zdrowym na umyśle. Chodzi tylko o to, czy naprzód traci się rozum, a potem się popełnia defraudacyę, czy na odwrót. Na to pytanie trudno odpowiedzieć. Lekarze bowiem twierdzą, że jak długo pacyent jest zdrów, nie popełnia defraudacyi, a prokuratorya twierdzi, że jak długo nie odkryto defraudacyi, pacyent jest zdrów. Wobec tej różnicy zdań trudno wymacać nagą prawdę i w każdym wypadku oddaje się chorego sprawcę do zakładu obłąkanych.

Ponieważ jednak choroby umysłowe u ludzi, mających do czynienia z obcymi pieniądzmi, stają się epidemiczne, przeto powinni posłowie skorzystać z obecnej sesyi sejmowej i postarać się o rozszerzenie istniejących i założenie kilku nowych zakładów dla obłąkanych, gdyż niebawem okaże się zatrważający brak miejsca. I może jeszcze przyjść do tej przykrej ewentualności, że w braku miejsca w Kulparkowie, trzeba będzie nieszczęśliwych defraudantów, choćby z najlepszych rodzin pochodzących, umieszczać w kryminale na równi z jakimiś przestępcami politycznymi, lub zbiegami z Rosyi, i w ogóle z ludźmi niższej kategoryi.

Na zakończenie wspomnieć jeszcze muszę o operze dziecięcej, czy dziecinnej, czy niemowlęcej, która na 5 przedstawień zjechała do Lwowa, a której członkowie spisywali się dzielnie pomimo, że na scenie pojawiali się bez nianiek, mamek i guwernantek. Niemowlęta śpiewały zachwycająco i miało się wrażenie, że jest to muzykalna froeblówka, złożona z samych cudownych o kanarkowym głosie dzieci. Najmłodszy bowiem śpiewak ma stale przytwierdzoną do ko-

styumu chusteczkę do nosa, a najstarsza ze śpiewających dzieci, młodziutka primadonna, zostawiła we Włoszech liczne potomstwo, kształcące się również w śpiewie, z wyjątkiem jednego syna, który służy przy wojsku.

XXX.

17 marca 1907.

(Kraków a Lwów. — Emulacya i konkurencya. — Co im możemy odstąpić? — Zakład obłąkanych dla zachodniej Galicyi. — Waryaci na wschodzie i zachodzie. — Postulaty krakowskich waryatów. — Poseł Brykczyński o bydle. — Patryotyzm w Sejmie. — Wdzięczność bydła. — Pożyczka bez namysłu i jej zalety).

Dumny jestem na Lwów i jego sławę i dlatego zawsze podejrzywałem Kraków, że nas chce prześcignąć. Ta krakowska konkurencya widoczna jest na każdym kroku. — Choćby tylko dla przykładu przypomnieć, że Kraków przed rokiem zaprowadził u siebie konną policyę, aby nie pozostać za namî nawet pod względem demonstracyjno-policyjno-dekoracyjnym.

Przed tygodniem mówiono już coś o potrzebie dyrekcyi pocztowej w Krakowie, a gdyby jeszcze utworzono tam drugie namiestnictwo, drugą dyrekcyę skarbu i drugi Kulparków, to Kraków otrzyma rangę stolicy kraju, a Lwów zejdzie do stanowiska prowincyonalnej dziury. Początek już zrobiony — zakład obłąkanych otrzymają wkrótce.

Jakkolwiek z otwartą zazdrością spoglądam na te konkurencyjne zakusy grodu Krakusa, to jednak

skłonny jestem do pewnych ustępstw i naprzykład nic nie mam przeciw temu, aby Dyrekcyę skarbu przenieść do Krakowa i założyć w Galicyi zachodniej osobny Kulparków. Stratę krajowej Dyrekcyi skarbu chętnie przebolejemy, bo może z oddalenia zapomni o nas, a co do zakładu obłąkanych, to jest on tam naprawdę bardzo potrzebny.

W Galicyi mamy wogóle za mało takich zakładów, a w zachodniej Galicyi stosunki są wprost opłakane. Już dość źle jest w Galicyi wschodniej, gdzie każdy waryat udaje zdrowego, ażeby się nie dostać do Kulparkowa z powodu, że panuje tam niesłychany brak miejsca i dopiero, gdy go wyłapią na jakiejś waryacyi, zmuszony jest dać się odprowadzić do czubków. Ale w Galicyi zachodniej jest stokroć gorzej, bo tam waryaci po popełnieniu już pierwszej nierozwagi zmuszeni są uciekać do Ameryki.

Tam bowiem z powodu braku domu dla obłąkanych, zamykają w kryminale tych samych waryatów, których we Lwowie wysyłamy na Kulparków.

Jest więc gorącym postulatem waryatów krakowskich, aby ich zrównano z lwowskimi i w tym też kierunku Sejm powinien wytężyć wszystkie siły, aby zapobiedz rażącym brakom.

Nietylko różnym brakom zapobiega Sejm galicyjski skutecznie, ale i wszelkiej hyperprodukcyi, którą uważa za szkodliwą. Na wniosek posła Brykczyńskiego uchwalono wezwać rząd, aby nie dopuścił do otwarcia granic Rumunii dla importu bydła i nierogacizny do Galicyi. Poseł Brykczyński — jako fachowiec — stoi na tem stanowisku, że w Galicyi mamy dosyć bydła i nie trzeba nam więcej.

Perswazye posła prezydenta Michalskiego, że mamy jeszcze za mało bydła i nierogacizny i trzeba

nam koniecznie więcej, nie przekonały nikogo. Przeszedł prawie jednogłośnie patryotyczny wniosek p. Brykczyńskiego, a bydło galicyjskie może być spokojne, że nie dostanie konkurencyi i może być dumne, że potrafi bez pomocy zagranicy zaspokoić potrzeby kraju rodzinnego. — Tak więc Sejm galicyjski i tym razem dał dowód patryotyzmu i zrozumienia interesów kraju, czem zasłużył sobie na wdzięczność całego galicyjskiego bydła.

Na wdzięczność całego Lwowa zasłużyła sobie nasza Rada miejska uchwaleniem nowej kilkunastomilionowej pożyczki na cele inwestycyjne. Znaleźli się jednak radni, którzy twierdzili, że nie należy takiej pożyczki uchwalać bez zastanowienia.

Otóż ja jestem przeciwnego zdania i twierdzę, że najlepiej jest pożyczać całkiem bez namysłu.

Im więcej człowiek się namyśla, tem gorzej na tem wychodzi. Naprzód należy pożyczyć, a potem pomyśleć, co zrobić z pieniądzmi. Bo owo rozliczanie sobie z góry, ile pożyczyć, zupełnie już nie ma sensu. Pokazuje się potem, że się pożyczyło za mało, a za dużo się jest winnym. I następują różne niespodzianki. Dlatego najlepiej brać, ile się daje, jak to mówią, z zamkniętemi oczyma.

XXXI.

24 marca 1907.

Po Sejmie. — Jakich mamy kandydatów? — Głosujcie na Kopytczaka. — Jego zalety. — Bełkowski i Sp. — Łatka i jego czyny).

Sejm nasz zakończył chlubnie swoją sesyę zimową, a że podczas sesyi ani razu nie zawalił się sufit w sali obrad, przeto nic szczególnego nie było do zanotowania. Zamknął Sejm p. namiestnik i zaraz potem otrzymał order złotego runa. Najwięcej ludzi godzi się na to, że ten order nie dostał się p. namiestnikowi za zasługi już położone, ale jest nagrodą, wypłaconą *anticipando* za przyszłe jego zasługi około zbliżających się wyborów.

Ponieważ między obywatelami Galicyi zostało jeszcze kilku takich, którzy nie zamierzają ubiegać się o mandat, przeto z pozostałymi w małej liczbie wyborcami łatwo da sobie p. namiestnik radę. Gorzej będzie z kandydatami na posłów, których jest tylu, że gdyby tylko połowę z nich wpuszczono do parlamentu, nietylko pękłby sufit, ale cały gmach rozpadłby się w kawałki. — Otóż nie wiem, czy p. namiestnik da sobie radę z tymi wszystkimi, którzy nagle uczuli w sobie moc zastępowania i bronienia spraw narodu. Jeśli więc z tymi kandydatami p. namiestnik nie da sobie rady, to gotów wyjść na swoim orderze złotego runa, jak dr. Munk na kaloszach.

Ale nie chcę sobie łamać jego głowy. Od tego dostał order, aby sobie sam radził i nań zasłużył. Mnie tylko pozostaje zanotować radosny objaw z dni ostatnich. Dotąd byłem przekonany, że społeczeństwo

nasze składa się z samych egoistów — pamiętających tylko o sobie i niezdolnych do poświęceń. A oto pokazuje się teraz, ilu mamy ludzi chętnych do pracy dla dobra ogółu, zdolnych do ofiar, a nawet gotowych uczyć się abecadła politycznego w parlamencie, byleby coś zrobić dla uszczęśliwienia ludzkości. Ten pocieszający objaw napełnia mnie słuszną dumą, iż mam honor być członkiem tego społeczeństwa, w którem *quot capita, tot* kandydatów na zbawców narodu.

Z przykrością jednak oświadczyć muszę, choć wiem, że będzie to dla was, kochani Czytelnicy, bolesną niespodzianką, że ja sam o mandat do Rady państwa ubiegać się nie będę i ośmielam się prosić was, abyście głosy wasze dla mnie przeznaczone, oddać raczyli przy wyborach na księdza Kopytczaka.

Polecam wam tego kandydata gorąco, bo uważam go za doskonały materyał na posła. Ks. Kopytczak to mąż, — którego już znamy dokładnie i nie potrzebujemy wypytywać się dopiero o jego konduitę. Przebieg rozprawy wykazał nam, że jest to człek zdolny i sprytny, a wyrok sądowy powiedział nam, że jest niewinny i czysty, jak łza. Był już w Kulparkowie, a jednak go stamtąd wypuszczono, stał już przed kryminałem, a przecież go nie zamknięto.

Takich nam trzeba!

Umie być waryatem, a zarazem mądrym, zna się na sprawach wekslowych, i nieprzyjemnościach alimentacyjnych, zahartowany na zimno i gorąco. Takich nam trzeba! A przedewszystkiem nikt nie powie o nim, jak o niejednym kandydacie — że się nawet porządnie podpisać nie umie, bo on nietylko siebie, ale w razie potrzeby i drugich podpisać potrafi porządnie. Takich nam potrzeba.

Dlatego uwolnili go sędziowie, bo wiedzieli, że

takich ludzi na gwałt potrzebujemy i byłoby wielką szkodą, gdybyśmy ich chowali po kryminałach. A więc zaklinam was, Czytelnicy, głosujcie na ks. Kopytczaka, jako na najzdolniejszego kandydata na posła.

Prawda, że nie brak nam i innych ludzi zdolnych we Lwowie, którzy w ubiegłym tygodniu potrafili wybić się ponad szary tłum i zwrócić na siebie powszechną uwagę. Ich nazwiska: Bełkowski i Łatka. Pierwszy zawiązał jednostronnie ze skarbem kolejowym cichą spółkę i pomagał mu fabrykować bilety kolejowe. Bilety systemu Bełkowskiego były dobre, bo można było na nie tak samo jechać, jak na bilety oryginalne, ale dyrekcya kolejowa wystąpiła ze spółki i cichego wspólnika oddała w ręce prokuratoryi. Zwykła zawiść konkurencyjna. Tymi dniami wyjdzie zapewne na jaw, że nasze władze znęcają się nad człowiekiem umysłowo chorym i traktują go jako zbrodniarza.

Drugi geniusz to lokaj Floryan Łatka, człowiek ze zdolnościami aktora transformacyjnego. Sam urządził na siebie napad bandycki, sam się pokaleczył i obrabował, sam się związał, sam się położył i zakneblował sobie usta, sam wołał przeciw sobie pomocy, sam sobie zawdzięcza ocalenie i sam poszedł do kryminału. — Wykiwał swego pana, prasę, policyę, szpital, miasto, kraj, a najwięcej lekarzy, którzy skonstatowali u niego wstrząs nerwowy, wywołany przestrachem przed bandytami. O Łatko, tyś wielki!

XXXII.

31 marca 1907.

(Skutki podróży ministra do Galicyi. — Katastrofy kolejowe i ich przyczyna. — Oburzenie i groźba ministra — Nowi kandydaci. — Robota przedświąteczna i jej skutki. — Czemu zapadła się tylko jedna kamienica? — Zapobiegliwość aptek i magistratu. — Europa na placu powystawowym — Nasza wdzięczność dla ofiarności magistratu. — Podwójna buchalterya w życzeniach).

Odkąd minister kolei dr. Derschatta bawił kilka dni w Galicyi, aby poznać nasze braki kolejowe i czemprędzej im zaradzić, zdarzają się tak często katastrofy kolejowe, jak nigdy przedtem. Dawniej wykolejenie lub zderzenie pociągów należało do rzadkości, a dzienniki osobnymi »sztrajfami« na rogach ulic donosiły o nich swoim czytelnikom. Odkąd zaś p. minister zabrał się do usuwania naszych braków po naocznem ich obejrzeniu — pociągi, jak pijane, błądzą po obcych torach, zderzają się ze sobą, rozbijają się, zjeżdżają do rowów, wywracają koziołki i rozszarpują urzędników i służbę, jakby chciały pokazać, co p. minister zrobił dla Galicyi.

Słuszność każe przyznać, że dzieje się to wbrew instrukcyi kolejowej i bez wyraźnego zezwolenia władz kolejowych, które wobec tego nie mogą za to odpowiadać. Ale z drugiej strony zdarza się to tak często, że najstarsze wagony i lokomotywy, t. j. te, których używają wyłącznie w Galicyi, nie pamiętają tak wielkiej liczby nieszczęśliwych wypadków kolejowych.

Pan minister, czytając co drugi dzień o katastrofach galicyjskich, dziwi się bardzo, że jego podróż do Galicyi tak mało skutkowała i oburzony jest na lekkomyślność galicyjskich pociągów, które narażają skarb

kolejowy na dotkliwe straty pieniężne przez procesy o odszkodowanie, koszta leczenia i koszta bolu. Dlatego odgraża się podobno, że ma zamiar wybrać się do nas po raz drugi. My jednak pouczeni smutnem doświadczeniem, błagamy go, aby dał spokój i do Galicyi drugi raz nie przyjeżdżał, bo wypadnie nam wreszcie wyrzec się ze wszystkiem podróżowania galicyjskiemi kolejami, albo większość ludności wyginie w katastrofach. Nasi przyszli posłowie powinni tej zamierzonej podróży ministra do Galicyi zapobiedz, a wyborcy niech to postawią za warunek swoim kandydatom. Sądzę, że każdy kandydat chętnie to przyrzeknie, a nie zgodzi się jeden, to podejmie się drugi — bo kiedy, jak kiedy, ale w tym roku stanowczo nie zabraknie nam kandydatów.

Z przyjemnością zaznaczyć należy, że obok już zgłoszonych, wyłoniło się w ostatnich dniach kilku nowych kandydatów, którzy mogą liczyć na powodzenie. Są nimi: grabarz Andrzej Szkielet, na żądanie żony — rakarz Bazyli Kundys (psie interesa) — Józef Antoni Stanisław As hr. Ferbliński, bez zajęcia, na życzenie ciotki — karawaniarz Justyn Trup, wysunięty przez korpus oficerski im. Kurkowskiego — preclarz Szaja Sznapik — kataryniarz Stefan Kadrylik i artysta-skrzypek Floryan Rzępoła (interesa artystyczne). To są kandydaci, którzy wystąpili w ubiegłym tygodniu, inni namyślą się podczas świąt i zgłoszą się po świętach.

Po za tem tydzień przedświąteczny odznaczał się niezwykłą ruchliwością i całe miasto z nadludzkim wysiłkiem robiło przygotowania, ażeby módz w czasie dwóch dni świątecznych nabawić się tradycyonalnej niestrawności. — Kiedy jak kiedy, ale podczas świąt każdy pamięta o tradycyach, każdy jest dobrym

katolikiem i każdy nawet grzesznik nawraca się na łono wiary. To też pracowało się w tym tygodniu strasznie. W kuchniach działy się tak okropne rzeczy, że w kilkudziesięciu miejscach wybuchły ognie kominowe, a straż pożarna rozrywała się formalnie, aby równocześnie w tylu miejscach gasić ogień i ratować baby. Jeżeli z powodu przedświątecznych porządków zapadła się we Lwowie tylko jedna kamienica, to należy to przypisać nadzwyczajnej łasce niebios, które radują się, że we Lwowie jest tylu wiernych i tylu sprawiedliwych.

Jakie będą skutki tych przygotowań przedświątecznych da się łatwo przewidzieć. Apteki robią wielkie przygotowania, a nawet tak mało przewidujący magistrat lwowski w tym tygodniu postanowił wystawić pawilonik dobroczynny na placu powystawowym, bo przeczuwa, że będzie on tam po świętach bardzo potrzebny. Dotąd — zdaniem magistratu — nie było go trzeba. Ludzie ze łzami w oczach żalili się na ten brak, robili zabiegi u wpływowych posłów, prasa krzyczała gwałtu, a magistrat ciągle myślał nad tem, do czego im takie zbytki. Aż dopiero teraz uchwalił magistrat wydać na to 14.000 koron, aby i tam była Europa, co niech mu będzie policzonem między cnoty w dniu sądu.

Oprócz tego zasłużył sobie przez to na prawdziwą wdzięczność i uznanie potrzebującej i spacerującej po placu ludności, która przy każdej nadarzonej sposobności o magistracie lwowskim mile wspominać będzie.

Zostawiam jednak wszystkie cywilizacyjne czyny magistrackie, bo nie chcę nikomu psuć świątecznego nastroju. Za parę godzin będą sobie ludzie tradycyjnym zwyczajem składać życzenia przy jajku i trady-

cyjnym zwyczajem będą sobie kłamać. Te życzenia są, jak piękne kobietki: zawsze piękne, ale rzadko szczere.

Takie niby pudrowane życzenia. Głośno życzy się sto lat zdrowia, a cicho myśli się: dziesięć lat kryminału lub w Kulparkowie. Te ciche, niewypowiedziane życzenia są szczersze i nawet sprawdzają się częściej. Dlatego częściej słyszy się o tem, że ktoś poszedł do kryminału na dziesięć lat, aniżeli o tem, że ktoś przez sto lat cieszył się zdrowiem i powodzeniem. Niezależnie od tej podwójnej buchalteryi w życzeniach — ja kochanym Czytelnikom życzę głośno i cicho: Wesołego Alleluja!

XXXIII.

7 kwietnia 1907.

(Tydzień świąteczny i poświąteczny. — Nasza odporność i nasze szczęście. — O bezhołowiu wyborczem. — Gdzie głowa a gdzie ogon? — Co jest najpotrzebniejszem do wyborów? — Błąd polityczny. — Kobiety a prawo wyborcze. — Program kandydatki — Rekonstrukcya ratusza, jej przyczyna a mój projekt. — Słówko o konkursach).

Tydzień ubiegły, jako świąteczny i poświąteczny, należał do najcięższych w tym roku, a straszne jego skutki dają się zauważyć w teatrach, lokalach publicznych, urzędach, szkołach i na bruku, gdzie codzienne zastępy są znacznie przerzedzone. — Wszystko odpoczywa, leczy się, kąpie, masuje i bardzo powoli przychodzi do siebie. Na szczęście zaliczamy się do najbardziej wytrzymałych narodów, o czem zresztą świadczy pocieszający fakt, że podczas świąt ubiegłych

w całym Lwowie, pomimo tak dobrej sposobności, ani jeden obywatel nie pękł z przejedzenia i nie umarł z przepicia. Ci, którym to groziło, dzięki nadzwyczajnej odporności organizmu, zaledwie rozchorowali się, i jest nadzieja, że po kilkudniowem racyonalnem leczeniu, będą mogli powrócić do codziennych jedzeń. Nikt nie zliczy, ile Lwów przejadł, przepił i przechorował w tym tygodniu, bo byłoby to niepodobieństwem i nie mamy na to czasu.

Zajmujemy się bowiem wyborami i przygotowujemy się do nich z całym zapałem, choć nie wiemy, z której strony zabrać się do nich. Te wybory powszechne, to jakieś nieznane jeszcze, zagadkowe monstrum i trudno rozpoznać, gdzie ma głowę a gdzie ogon. Jeszcze trudniej odgadnąć, czy lepiej chwycić się ogona, czy głowy.

Prasa konserwatywna płacze i nawołuje swoich menerów, aby się praktycznie brali do rzeczy i radzi zachodzić od ogona. Bezhołowie panuje tak wielkie na całej linii, że jeśli ludzie nie potracili jeszcze rozumów, to tylko dlatego, że z natury rzeczy nie traci się tego, czego się nie ma. Jedno tylko da się już dziś przygotować, to jest błoto. Jestto artykuł do każdych wyborów najpotrzebniejszy, bo czy tak wyglądać będą wybory, czy inaczej, to jedno jest pewnem, że kontrkandydata koniecznie trzeba będzie obrzucić błotem.

Wybory nasze będą więc w każdym razie zajmujące i jeszcze tylko żałować wypada, że nie dopuszczono do nich kobiet, jak to się rzecz ma w Finlandyi. Kobiety byłyby to wszystko całkiem inaczej urządziły i wtedy możnaby dopiero mówić o raju wyborczym w Galicyi. Galicyjskie kobiety znane są z energii i wymowy, a jeśli im dotąd nie przyznano

czynnego ani biernego prawa wyborczego, to jest to tylko czarna zazdrość ze strony wąsatej połowy mieszkańców i obawa przed konkurencyą.

Począwszy od kucharek a skończywszy na baletnicach i hrabinach, wszystko powinno mieć prawo wybierania i wybieralności, jeżeli ma być dobrze w naszym kraju. Kandydować powinnyby tylko młode i piękne kobiety. Obeszłoby się wtedy bez afiszów, bez agitatorów, i bez mowy kandydackiej, bo wystarczyłoby, żeby taka piękna kandydatka pokazała się na estradzie wyborcom w balowej sukni i to byłby cały program. Na ten program pójdą masy i każdy wyborca przemieni się dobrowolnie w zażartego agitatora.

Posłami byłyby wybornymi. Pewnem jest, że w parlamencie żadna z nich milczeć nie będzie, jak wielu naszych posłów, a mówiąc dużo, zawsze swoje wygadają. — Ten więc błąd polityczny należy jak najrychlej naprawić, a wtedy naprawi się wszystko inne.

Jeśli już mowa o naprawach, muszę wspomnieć o zamierzonej naprawie ratusza lwowskiego. Od lat 30 kilku mówi się i myśli w ratuszu o rekonstrukcyi ratusza i myślałoby się może nad tem jeszcze kilkadziesiąt lat, gdyby nie okoliczność, że na Żółkiewskiem zawaliła się kamienica i magistrat przeraził się, żeby mu się ratusz nie zwalił na głowę, do czego okazuje wielką skłonność od dawna. Wobec tego postanowiono nie czekać dłużej, aż się sam zwali i uchwalono rekonstrukcyę ratusza. W tym celu rozpisuje się konkurs na plany z terminem do końca roku. — Tak długi termin jest, mojem zdaniem, trochę niebezpieczny, bo ratusz gotów nie czekać na plany i przewrócić się według gotowego planu z ulicy Żółkiew-

skiej. W tej obawie ja pierwszy zgłaszam się do konkursu i przedstawiam następujący plan rekonstrukcyi:

Nowy ratusz ma mieć kształt parasola. Wieża z zegarami na dole, a na niej dopiero cały budynek z piętrami. Będzie to wprawdzie do góry nogami, ale za to trochę symboliczne, bo obrazowo wyobraża gospodarkę magistracką. Parasol ten zarazem zasłaniać będzie gospodarkę strzelniczan, którzy będą mogli dalej działać w cieniu. Jeżeli chodzi o architekturę w stylu rodzimym, to za wzór posłużyć powinien parasol z Zarwanicy. Tak więc ratusz lwowski stać będzie na głowie i długo świadczyć będzie, jak wyglądały rządy tych, którzy go rekonstruowali.

Za mój projekt nie żądam pierwszej nagrody, ale druga lub trzecia należy mi się słusznie. Członkowie jury powinni mi ją przyznać chętnie, bo zgłaszam mój projekt nieanonimowo, więc nie będą musieli dopiero łamać sobie głowę nad tem, czy jestem kuzynem, szwagrem, ciotką lub babką któregoś z filarów magistratu. Bo w tych bezimiennych konkursach często przyznaje się nagrodę jakiemuś kuzynowi, a potem pokazuje się, że to obcy dyabeł.

XXXIV.

14 kwietnia 1907.

(Zimna wiosna, a nasze rozgrzewki — Przepowiednie smutne, a wesołe obiecanki. — Wyborcy na zgromadzeniach. — Jak się przekonuje wyborcę? — Środek i cel. — I jeden łajdak i drugi taki. — Kto mniejszy? — Złe skutki reformy wyborczej. — Dawny głos, a dzisiejszy głos — Obiecanka rzeźników. — Nastanie lepszych czasów. — Lieblich rozbraja Austryę).

Mamy w tym roku tak zimną wiosnę, że gdyby się człowiek nie rozgrzał na zgromadzeniu przedwyborczem — albo nie spocił się uciekając przed automobilem lub psem wściekłym, pomarzlibyśmy wszyscy na śmierć.

Gdyby ci wszyscy, którzy umarli tej zimy, powyłazili z grobów i zobaczyli, jak my tu w połowie kwietnia zębami dzwonimy z zimna z pewnością nie chcieliby tu zostać i wróciliby do swoich grobów. Przepowiadają nadto, że zimno nie rychło ustąpi, a nawet podobno trwać ma przez całe lato. W takim razie tani opał miejski, który zwyczajnie dopiero w lipcu pojawia się na ulicach miasta, przyjdzie przecież raz w samą porę.

Natomiast przyrzekają kandydaci na posłów, że wszystko to zmieni się, a zima z pewnością ustąpi, jeśli tylko oni wyjdą z urny wybrani. — Nie ma bowiem pod słońcem tak trudnej rzeczy, którejby nie mógł kandydat na posła przyrzec. A przyrzeka się to wszystko na zgromadzeniach przedwyborczych, których mieliśmy w tygodniu kilkanaście.

Wyborcy, a raczej zawodowi politycy mają przez cały tydzień zajęte wszystkie nogi, ręce i języki i zanim jeszcze wyrzucono ich dokładnie z jednego zgro-

madzenia, maszerują już na drugie. — Jest to bądź co bądź robota nie mała, a nieraz wyborca mając przekonać wyborcę o swojej słuszności, musi na niego pluć, kopać go w brzuch, bić go w twarz, wyrywać mu fryzurę i odbierać taką samą odpowiedź, aby między nimi nastąpiło jakie takie porozumienie. Jest to może nie całkiem przyjemne, ale prowadzi ostatecznie do celu. Plunąć takiemu zatwardziałemu wyborcy w gębę, a odrazu zrozumie, o co chodzi i sprawę można uważać za załatwioną ugodowo.

W przeciwnym razie wyrzuca go się ze sali, dodając mu na drogę kopnięcie w ten punkt, gdzie zaczynają się nogi a kończy się polityka. Ta okoliczność nie przeszkadza, aby wyrzucony wyborca wrócił drugiemi drzwiami i na nowo bronił swego zdania okrzykami i parasolem. Polityka bowiem ma swoje środki i swoje cele. Środkiem jest wszystko, co prowadzi do celu, a celem jest mandat poselski, o który walczy i drze się przynajmniej dwóch kandydatów.— Chodzi więc każdemu z nich, ażeby wykazać wyborcom, że tylko w niego duch boży wstąpił i kazał mu zaopiekować się narodem, a drugi, t. j. kontrkandydat, jest łajdakiem. Ponieważ zaś drugi to samo twierdzi o pierwszym, przeto wyborcy mają do wyboru — jeśliby można im obu wierzyć — między dwoma łajdakami. Nic więc dziwnego, że wyborcy chodzą pilnie na zgromadzenia, ażeby przekonać się, który z kandydatów jest mniejszym łajdakiem i komu należy sprzedać swój głos.

Tylko że z tą sprzedażą głosów nie jest teraz całkiem w porządku. Dali każdemu głos, ale zarazem zabronili pod karą kryminalną sprzedawać lub kupować. Jestto pogwałcenie swobód obywatelskich, jeśli mi nie wolno zrobić z moim głosem, co mi się po-

doba. Z tego względu ta cała reforma wyborcza przydała się psu na buty. Dawniej — co prawda — nie każdy miał głos, ale kto go już miał, ten z jednego głosu mógł nieraz przez jakie 3 miesiące porządnie utrzymywać rodzinę. Dzisiaj 3 wyborców z 3-ma głosami musiałoby zawiązać spółkę, ażeby wspólnemi siłami kupić jeden cetnar taniego opału — na kredyt.

I to właśnie przyszło teraz, w czasie powszechnej drożyzny, kiedy ludzie z głodu tak bardzo pożerają jedni drugich, że z nich tylko nosy i weksle zostają. Uznali to rzeźnicy lwowscy i tknięci litością uroczyście zapowiedzieli przez usta swojego rzecznika w Radzie miejskiej pana Mokrzyckiego, że wkrótce prawdopodobnie, jeśli nic takiego nie zajdzie, spadnie może cena mięsa o 2 hal. na kilogramie, czy na funcie. Nastaną więc wkrótce lepsze czasy, będziemy przez cały dzień mogli gryźć mięso, a artystki krakowskie przestaną jeść szpilki. Jeśli jeszcze doczekamy tych czasów, że psy wściekłe przyjdą do rozumu i pozwolą się co do nogi wyłapać, gzemsy przestaną spadać z kamienic na myślące głowy obywateli, kandydaci będą płacić gotówką za głosy, a z konferencyi pokojowej w Haadze nie wyniknie jakaś wielka wojna europejska, tylko owszem nastąpi rozbrojenie mocarstw, to szczęście i spokój nasz będą zupełne.

Początek takiego rozbrojenia, przynajmniej samej Austryi, jest już zrobiony. Pan Nuchim Lieblich w Stanisławowie jest zdecydowanym przeciwnikiem armii i dał sobie słowo honoru, że co roku wyrwie armii austryackiej kilkuset żołnierzy. Robił to nie tyle może dla idei, ile dla pieniędzy, ale cel był w wysokim stopniu szlachetny. I byłby może z czasem swoją mrówczą pracą podkopał byt militaryzmu i doprowadził do zupełnego rozbrojenia Austryi, gdyby się w to

nie był wmieszał zacofany prokurator, który nie zrozumiał się na doniosłości działania Lieblicha oraz jego misyi kulturalnej i zaasenterował go do swojej kasarni, pospolicie kryminałem zwanej. Cierpi więc teraz Lieblich za dobrą sprawę, on, który uwalniał żołnierzy z wojska, lecz nie długo cierpieć będzie. Jak Feniks z popiołów, tak z banknotów Lieblicha powstanie mściciel, który wyprowadzi go z kraju niewoli.

XXXV.

21 kwietnia 1907.

Moja kandydatura i kto ją spowodował? — Dlaczego nie wymieniam mojego okręgu? — Przedwstępna robota. — Mowa kandydacka w zarysie. — Mój program. — Dla kobiet. — Zadania ekonomiczne posła. — Precz z podatkami i wojskiem. — Co zatrzymam z wojska? — Kwestya językowa. — Pamięć o stanach. — Handel i przemysł. — Inwestycye dla miasta. — Przyrzekać a dotrzymywać. — Apel do wyborców).

Dotychczas byłem sam ze sobą w rozterce, czy mam kandydować do parlamentu, czy nie. Wprawdzie uznawałem, że przez powszechne wybory należy rozumieć nietylko powszechne głosowanie, ale i powszechne kandydowanie, a więc skoro inni, to i ja mogę kandydować — lecz nie wiedziałem jeszcze, czy ogół wyborców jest za tem, żebym był ich reprezentantem. Dopiero kiedy żona, wuj i sąsiad zaczęli mnie nagabywać, abym sięgnął po mandat, zdecydowałem się postawić moją kandydaturę. Jestem człek dowcipny i dlatego nie wymieniam okręgu, w którym kandydować zamierzam, aby mój kontrkandydat nie grzebał w moich papierach i nie powyciągał wszystkich moich pieluchów familijnych na świa-

tło dzienne. Dlatego to, co powiem niżej, dotyczy wyborców wszystkich okręgów. Jeśliby jednak wszyscy kandydaci wszystkich okręgów, czując się zagrożeni mojem wystąpieniem, próbowali dobrać się do moich tajemnic prywatnych, to z góry oświadczam, że będę się tak długo przenosił z jednego okręgu do drugiego, aż objadę kraj cały i wylecę drugą stroną, na czem straci ojczyzna, wyborcy będą pozbawieni zastępcy, parlament ozdoby, a ja dyet poselskich.

Postarałem się także o agitatorów, mam przyrzeczone poparcie jednego reportera dziennikarskiego a między przyjaciółmi urządziłem składkę na mój fundusz wyborczy. Zgromadzenia nie zwołuję żadnego z dwóch powodów. Naprzód w jednym szynku nie pomieszczą się wszyscy moi wyborcy, a lepszej sali nie ma we Lwowie. Po drugie, iż nazajutrz w jednym dzienniku napiszą, że mnie uchwalono popierać, w innym, że mnie wyśmiano i postawiono innego kandydata, który ma szanse, w trzecim dzienniku napiszą, że uciekłem, a w czwartym, że mnie obito i za drzwi wyrzucono. Dlatego moją mowę kandydacką, zamiast wygłosić, ogłaszam na tem miejscu, korzystając z gościnności tego dziennika.

Interpelacye proszę mi składać na piśmie dołączając markę na odpowiedź. Nieuwzględnione interpelacye zostaną bez odpowiedzi. A oto w zarysie moja mowa kandydacka:

Kandyduję na program bardzo obszerny, który trudno mi nazwać, ale który powinien zadowolić najszersze warstwy ludności. Wszystkie idee wszystkich stronnictw politycznych wcieliłem w mój program. Począwszy od ubogiego defraudanta lub dyurnisty a skończywszy na bogatym fabrykancie pierników, wszyscy znajdą we mnie gorliwego obrońcę swoich

interesów. Nawet kobiety, te najbardziej uciskane stworzenia, znajdą we mnie gorącego rzecznika, i tak długo nie spocznę, aż nie wprowadzę ich do Sejmu, do parlamentu i do wojska i doprowadzę do zupełnego zrównania ich z mężczyznami, pod względem politycznym, społecznym i o ile możności fizycznym.

Stojąc na straży ekonomicznych interesów naszego kraju, postaram się, we Wiedniu będąc, ażeby w tamtejszych mennicach i drukarniach banknotów wyrabiano dla Galicyi jak najwięcej gotówki, co przyczyni się niezawodnie do ekonomicznego dźwignięcia kraju i zapobieżenia panującej drożyźnie. Ponadto zdaje mi się, nietrudno mi będzie znieść podatki przymusowe, a wprowadzić w ich miejsce dobrowolne.

Kto będzie miał dobrą wolę, ten niech płaci podatki, a przymusowe płacenie i ściąganie podatków uważam za rzecz niemoralną i nie licującą z powagą państwa.

Ale i finansowe potrzeby państwa będą odtąd mniejsze, bo jestem za zniesieniem wojska. Z całego wojska zostawiłbym tylko oficerów, jako ozdobę kraju i muzykę wojskową dla kawiarń, pogrzebów i placmuzyki. Z inwentarza wojskowego każę przetopić szable na niklówki — karabiny na guziki, a armaty na naczynia kuchenne. Prochem i kulami z magazynów wojskowych będziemy strzelać w święta Wielkanocne na wiwat.

Co do kwestyi językowej, to jestem tego zdania, że każdy powinien posługiwać się tym językiem, jaki ma w gębie i nie wystawiać go nigdy bez koniecznej potrzeby. Wychodząc ze stanowiska, że język nie jest panną na wydaniu, sądzę, że nie należy swego języka nikomu narzucać, ani obcego wpuszczać do swojej gęby.

Będę także pamiętał o pojedynczych stanach. Urzędnikom przyrzekam wyrobić ponowną regulacyę — posunięcie o dwie rangi naprzód i kilkomiesięczny urlop w roku. Długi urzędników znosi się, a przyszłe długi płaci rząd. Dla robotników postaram się o zaprowadzenie ośmiogodzinnego odpoczynku dziennego. — Kupcom i przemysłowcom przyrzekam obniżenie taryfy kolejowej, telefonicznej, pocztowej, tramwajowej, fiakrowej, automobilowej, omnibusowej, ekspresowej i innych.

Dla miasta, z którego będę wybrany, postaram się o jeszcze jeden urząd podatkowy, o 2 domy waryatów i nowy kryminał.

Wreszcie oświadczam, że do Koła polskiego nie wstąpię, bo wątpię, czy mię tam wpuszczą z tak szerokim programem. Podałem tylko niektóre jego szczegóły dla zachęcenia moich wyborców i mam nadzieję, że już te wyjątki z mego programu zadowolnią wszystkich. To wszystko, co powiedziałem — przyrzekam święcie.

Czy dotrzymam?

W mowie kandydackiej nie mówi się o dotrzymaniu, ale o przyrzekaniu. Jeśli się chcecie przekonać, czy dotrzymam, to naprzód wybierzcie mnie, idźcie do urny zwartą falangą w imię dobra waszego i ojczyzny i oddajcie kartę wyborczą z mojem nazwiskiem.

XXXVI.

28 kwietnia 1907.

(Wrażenie mojej kandydatury. — Doktorowie wszech nauk wyborczych i ich zdanie. — Moi wierzyciele, ich protest i zatwierdzenie kandydatury. — Warunek mojego stróża. — Interpelacye. — Rzecz o wściekliźnie psów i wściekliźnie ludzi i środki zaradcze. — Sprawa damskich ogonów. — Wybór prezydenta. — Cudotwórca i akuszerka).

Zgłoszenie mojej kandydatury na posła do parlamentu w poprzedniej »Kronice niedzielnej« wywołało bardzo żywe zainteresowanie i dowody sympatyi w szerokich kołach moich zwolenników politycznych. Tego samego dnia zjawili się u mnie jacyś panowie, którzy przedstawili mi się jako doktorowie wszech nauk wyborczych, mający niezawodną receptę na każdą chorobę wyborczą i ofiarowali mi pomoc swoją. Mój program polityczny przeczytali i prawdę mówiąc, podobał im się bardzo. Mówili mi dalej, że i wyborcy zachwyceni są moim programem, i już naprzód cieszą się, że mieć będą takiego posła, wobec czego należałoby odrazu dać im jakiś dowód, że się ich szanuje i o nich pamięta. Jeden z obecnych kilkakrotnie dawał mi słowo honoru, że przy takich moich szansach nie poważy się przeciw mnie stanąć kontrkandydat, chyba że zechce odrazu hrymnąć. — Podziękowałem im serdecznie za te słowa uznania i zachęty, i prosiłem o parę dni czasu, ażebym się mógł przygotować do akcyi. Dali mi trzy dni.

Zaraz potem przyszli gremialnie wszyscy moi wierzyciele i oświadczyli, że stanowczo przeciwni są mojej kandydaturze. Oni wolą mnie mieć z blizka, bo obawiają się, ażebym o nich w Wiedniu nie zapom-

niał. Dopiero, gdy im pod słowem honoru obiecałem. że w parlamencie przeprowadzę zniesienie ustawy o lichwie, zatwierdzili jednogłośnie moją kandydaturę.

Po ich odejściu zamknąłem się w mieszkaniu i nie wpuszczałem nikogo. Tylko jeszcze stróż mój podstępnie przedostał się do mnie i oświadczył, że odda na mnie swój głos, i on i żona, ale pod warunkiem, że mu z góry wypłacę szperę za rok cały, bo nie chciałby stracić na mojem posłowaniu.

Poza tem otrzymałem cały szereg interpelacyj listownych, lecz niestety nie wszystkie zawierały markę na odpowiedź, wobec czego nie na wszystkie odpowiem.

Jeden z wyborców interpeluje mnie, jak się zapatruję na sprawę wścieklizny. Nie wiem, czy szanownemu wyborcy chodzi o wściekliznę psów, czy o wściekliznę ludzi i dlatego muszę na jedno i drugie odpowiedzieć. Jestem tego zdania, że wściekliznę u psów należy wszystkimi środkami tępić. W parlamencie będąc, postaram się o zupełne wytępienie wścieklizny przez wydanie ustawy, nakazującej pod surową grzywną nakładać wszystkim psom kaftany bezpieczeństwa, a przynajmniej kagańce z przodu i z tyłu. To się tyczy psów zdrowych. Dotknięte już tą chorobą psy należy wyłapać i sprzedawać w jatkach, jako baraninę dla uboższej ludności. Ponieważ zaś jeden z naszych radnych po dłuższej obserwacyi doszedł do przekonania, że psy wściekają się przeważnie z miłości, czy z braku miłości, przeto sądzę, że należałoby postarać się o ustawowe wprowadzenie psich małżeństw przymusowych.

Trudniejszą jest sprawa wścieklizny ludzi. Prof. Bujwid leczy tylko jeden rodzaj wścieklizny, powstałej przez pokąsanie. Na wszystkie inne rodzaje wście-

klizny ludzkiej nie mamy dotąd lekarstwa, i wątpię, czy nowy parlament coś na to poradzi. Powszechne prawo wyborcze, po którem tyle się spodziewano, na tę wściekliznę ludzką nie tylko nie pomogło, ale przeciwnie, jeszcze zaostrzyło tę chorobę. Powszechne, bezpośrednie, równe i tajne prawo głosowania sprowadziło powszechną, bezpośrednią tajną i równą manię kandydowania.

Inny wyborca zapytuje mnie, jak się zapatruję na kwestyę ogonów damskich i na sprawę wyboru prezydenta miasta. Co do ogonów damskich — to zdaje mi się, że nie byłoby po rycersku przeciw nim występować, bo przecież ogon zdobi kobietę. Inaczej nie nosiłaby go. To — że krakowska Rada miejska wystąpiła z taką zaciekłością przeciw ogonom damskim, uważam za akt nietolerancyi i barbarzyństwa. Jest to mojem zdaniem reakcyjna odpowiedź na tamtejszy ruch feministyczny, coś w rodzaju organizacyi czarnych sotni przeciw rewolucyi rosyjskiej. Nie daliśmy kobietom prawa wyborczego, to zostawmy im przynajmniej ogony i nie doprowadzajmy ich do ostateczności.

Co do wyboru prezydenta miasta — to nie jestem zdecydowany za kim się mam oświadczyć. Za dr. Rutowskim przemawiaja wprawdzie wszystkie osobiste przymioty, ale za p. Ciuchcińskim przemawia ten silniejszy argument, że popiera go rabin i uznał jego wybór za dokonany. Z drugiej znów strony dr. Caro jest wprawdzie rabinem, ale nie cudotwórcą, o czem nie wiedział radny Ciesielski i jego wyrocznię obwieścił pełnej Radzie, jakby to był wyrok przynajmniej cudotwórcy z Sadagóry.

Ale radny Ciesielski ma racyę. W tak zawiłych sprawach rachunkowych, gdzie każdy rachuje na swój

sposób, najlepiej iść do rabina. Pan Ciesielski słyszał, że rabin pomaga ludziom rodzić dzieci, więc i przy tym trudnym porodzie uciekł się do rabina, aby dopomógł urodzić prezydenta.

Dr. Caro miał przy tem być cudotwórcą, a akuszer był fuszerem, więc popsuł się poród. Teraz trzeba go będzie wyciągać kleszczami.

Niech mu się drugi raz nie zachciewa.

XXXVII.

12 maja 1907.

(Cofnięcie mojej kandydatury. — O czem przekonałem się z dzienników? — Narodowy, czy więcej narodowy? — Moi przyjaciele polityczni. — Metoda ropczycka w magistracie lwowskim. — Kandydaci mojego okręgu, a gorzki los wyborcy. — Trudna decyzya a łatwość w innych okręgach. — Giełda wyborcza. — Kandydaci na łopatach. — Baczność na łopaty).

Odpowiadając na liczne zapytania, zawiadamiam wszystkich moich wyborców, że cofnąłem swoją kandydaturę na posła do Rady państwa. Do tego kroku skłoniły mnie różne względy. Przedewszystkiem przekonałem się z dzienników, które zwalczały moją kandaturę, że jestem ostatnim łajdakiem, żyję z oszustw, gwałcę niewiasty, podpalam domy, mam trzy żony, jedno dziecko zamordowałem, a drugie zjadłem, fałszuję banknoty, gram wysoko w karty, miałem kilku ojców, a żadnej matki, okradłem Bank krajowy, a zamiast do parlamentu, powinienem pójść do kryminału.

Już powyższy rachunek sumienia ostudził znacznie mój zapał kandydacki i przekonał mnie, że nie

nadaję się na reprezentanta narodu, pomimo, że nie wszystkie powyższe szczegóły zgadzają się z prawdą.

Wreszcie moi przyjaciele polityczni, którzy podjęli się popierać moją kandydaturę, widząc, że już wyczerpałem wszystek kredyt i wydałem wszystko, co miałem w domu — poradzili mi, abym przerwał dalszą agitacyę i odłożył ubieganie się o mandat na lat sześć, t. j. do przyszłych wyborów, a sami zabrali się do popierania moich kontrkandydatów.

Wobec tego próbowałem jeszcze ostatniego sposobu i udałem się do tutejszego magistratu z zapytaniem, czy zależy mu na mojej kandydaturze i czy w danym razie byłby skłonny rozsyłać wyborcom tutejszym karty wyborcze, wypełnione już z góry mojem nazwiskiem, aby zaoszczędzić wyborcom fatygi, podobnie, jak to uczyniło w tym tygodniu starostwo ropczyckie. W magistracie odpowiedziano mi, że jakkolwiek skłonni są do najdalej idących ustępstw na rzecz swoich kandydatów, a nieraz nawet w razie potrzeby wskrzeszają zmarłych i nieboszczyków z grobu ciągną do głosowania, to jednak wynalazku ropczyckiego starostwa zastosować jeszcze na razie nie mogą, ile że ten najnowszy środek nie wyszedł jeszcze ze stadyum prób i Rada narodowa jeszcze go nie opatentowała.

Te mniej więcej powody skłoniły mnie do cofnięcia kandydatury mojej, za co najusilniej moich szanownych wyborców przepraszam.

Jeżeli jednak nie jestem już kandydatem, to przynajmniej jestem wyborcą i to wyborcą, rozrywanym na wszystkie strony. W okręgu, w którym mieszkam, ubiega się o mandat sześciu kandydatów jawnych i kilku cichych. Ci ostatni zamierzają w tym tygodniu wystąpić. Codziennie otrzymuję drukowane zaprosze-

nia na zgromadzenia przedwyborcze i mowy kandydackie, których nie czytam, bo są bardzo długie. Domyślam się tylko, że każdy z moich kandydatów ma zdrowy program i zasługuje na poparcie.

Chodzi teraz o to, na kogo głosować, bo na wszystkich razem głosować nie wolno. Dlatego i u nas przydałaby się metoda ropczycka. Wiedziałby przynajmniej człowiek, czego się ma trzymać.

Ale to tylko w moim okręgu tak trudno się oryentować. W innych okręgach idzie to o wiele łatwiej. Tam istnieje giełda wyborcza i kurs głosów rośnie z dniem każdym. Zamiast czytać długą mowę kandydacką, czyta się tylko, jak wysoko stoi kurs głosów, czyli kto daje więcej. To jest lepszy program, niż wszystkie inne i bardziej przekonywujący. Człowiek odrazu wie, który kandydat lepszy i na kogo powinien głosować.

Bo co wyborcy przyjdzie z tego, że taki kandydat przez kilka tygodni ciągnie go na zgromadzenie i gada do niego przez kilka godzin? Tak my tracimy czas napróżno, a tu zaledwie mamy już tylko kilka dni. Teraz dopiero zaczniemy oblepiać się afiszami, a że wyborcy galicyjskiemu wszystko się musi wsuwać łopatą do głowy, więc obnosimy już kandydatów na łopatach. Z tych łopat dostaną się kandydaci prosto do parlamentu, albo do pieca zapomnienia.

A więc wyborcy: Baczność na łopaty, bo z tych łopat wyczytacie waszą przyszłość, wasze szczęście — wasze wszystko!

XXXVIII.

26 maja 1907.

(Jaki cel mają wybory ściślejsze? — Słaby udział nieboszczyków w głosowaniu. — Wojskowa straż honorowa i taniec bez muzyki. — Wybory bez terroru. — Jak zaradzono apatyi wyborców? — Właściciele 200 głosów. — 200 głosów od jednego wyborcy i jeden głos od 200 wyborców. — Wielkie zadanie komisyi skrutacyjnej. — Naród a jego wola. — Posłowie bez winy. — Wybory galicyjskie. — Lwowskie śmiecie i sposób na stajnię Augiasza).

Nic mi się tak nie podobało, jak te wybory ściślejsze. Wybory ściślejsze mają przedewszystkiem ten cel, aby poprawić wybory główne. Poprawiają dla kandydatów i poprawiają dla wyborców. Przy głównych wyborach obłowili się ludzie porządnie, ale wielu było takich, którzy wyszli z niczem. Dla nich taki wybór ściślejszy był koniecznym. Który wyborca przy głównych wyborach dostał mało, albo nic, mógł wczoraj po raz drugi nastawić łapę i żądać ściślejszych dowodów zdolności kandydata. Kandydaci pocili się i musieli po dwa razy płacić, ale za to rewanżowali się wyborcy i nieraz jeden sześć razy głosował na tego samego kandydata.

Udział nieboszczyków przy głosowaniu był w tym roku słaby, pomimo, że przed wyborami sfery miarodajne zapewniały mniej śmiałych kandydatów o zwycięstwie, mówiąc: »i niechaj żywi nie tracą nadziei, jak długo nieboszczyki żyją«. Pokazało się, że nie potrzeba było wyciągać wielu nieboszczyków z grobu, bo znalazło się dość trupów między żywymi.

Z uznaniem także stwierdzić należy fakt, że przy nowych wolnych wyborach nie było terroru ani gwałtu, a tych kilka kompanij wojska z najeżonymi bagnetami robiło raczej przyjemne wrażenie jakiejś straży

honorowej albo festynu z tombolą na dochód armii. Brakowało tylko muzyki wojskowej, wobec czego policyanci na koniach musieli tańczyć, niestety, bez muzyki. Jak powiadam, terroru nie było wcale, a jeżeli jakiś agitator zawodowy lub honorowy wyrywał gwałtem kartkę wyborcy, to czynił to tylko dla idei i miłości bliźniego, aby go skierować z fałszywej na prawą drogę. Natomiast nie zdarzyło się, aby jakiś agitator połknął, albo bodaj pokąsał jakiegoś opornego wyborcę, a tu i ówdzie zaszłe nieznaczne wybicie zęba lub nadłamanie nogi należy raczej przypisać gorączce wyborczej i przejęciu się dobrą sprawą, aniżeli złośliwości.

Skarżono się powszechnie na słaby udział wyborców w głosowaniu, czemu jednak potrafili zaradzić na szczęście inni gorliwsi wyborcy, którzy mieli po dwieście i więcej głosów w zapasie, ażeby nimi w razie potrzeby sprowadzić równowagę. Ci mieli nieraz w jednej kieszeni całe powszechne, nie bardzo bezpośrednie i nie tyle równe, ile tajne prawo głosowania. Nie robili tego wprawdzie darmo, i owszem żądali honoraryum, ale to już trudno. Kto reprezentuje kilkuset wyborców, ten już sam jest kawałkiem posła i zasługuje na szacunek i premię. A nie wolno także zapominać, że taki właściciel kilkuset głosów wyborczych reprezentuje zarazem wielką część woli narodu i może o sobie powiedzieć: naród to ja. On ten naród prowadzi na tę lub drugą stronę, wybiera tego lub innego kandydata i decyduje o zwycięstwie. Nie były więc ostatnie wybory tak bardzo bezpośrednie, jakby się zdawało, co było wielkiem szczęściem dla niektórych komisyj skrutacyjnych, bo ułatwiało rachunek. Co innego jest przyjąć 200 głosów od jednego wyborcy, a co innego jeden głos od dwustu wybor-

ców. I jedno i drugie miało u nas miejsce, ale to już w interesie czystości wyborów. Wyborcy nasi są bowiem jeszcze mało uświadomieni i nie potrafią należycie wyrazić swojej woli. Głosują na jednego kandydata, a komisya skrutacyjna ma wewnętrzne przekonanie, że oni chcieli głosować na przeciwnego kandydata, albo wstrzymać się od głosowania. W takim razie unieważnia się te wszystkie wątpliwe głosy, aby wola narodu była jasna. Ten prosty środek był w Galicyi bardzo często praktykowany przy ostatnich wyborach i to z wcale dobrym skutkiem. Wyszli bowiem z urny niektórzy kandydaci, których wprawdzie naród wcale nie znał, ale wola narodu mimo to powołała ich do posłowania. Co innego naród a co innego jego wola — w Galicyi. Na chwałę tych posłów trzeba jednak powiedzieć, że nie oni są temu winni, iż zostali posłami, ale ich agitatorzy i komisye skrutacyjne, które badały wolę narodu.

Wybory galicyjskie, które od lat wielu cieszą się w szerokim świecie dobrze zasłużoną sławą, nie straciły i w tym roku nic z tradycyjnego blasku. Pokazało się, że żadne nowomodne prawo wyborcze, ani jakieś inne przewrotowe fidrygałki nie są w stanie wzruszyć tradycyi tak samo, jak żadna miotła nie wymiecie lwowskiego śmiecia. Dlatego nie należy się dziwić, iż nasza Rada miejska przyszedłszy do przekonania, że żadna moc ludzka nie usunie już nigdy śmiecia z ulic Lwowa, postanowiła w tym tygodniu całe śmiecie w mieście zalepić asfaltem. Może i na wybory galicyjskie znajdzie sie kiedyś taki lepki ale radykalny środek. Może...

XXXIX.

9 czerwca 1907.

(Potop we Lwowie — Czemu nie było wypadków śmiertelnych? — Prezydent Ciuchciński ratuje. - Gdzie kanał? — Uchwalenie akcyi ratunkowej. — Szukanie kanału w prezydyum. — Pompowanie wody i przerwanie akcyi. - Powódź na Radzie. — Czemu we Lwowie nie trzeba kanałów? — Zalana kronika. — O czem miałem pisać? — Sprawy tygodnia).

Na samym początku tego tygodnia był potop, który miał zniszczyć Lwów. W niektórych punktach miasta woda sięgała tak wysoko, że ludzie próbowali już nawet topić się, a na Zamarstynowie jedna krowa przeniosła się do wieczności, znalazłszy w nurtach bohaterską śmierć. Jeżeli nie było więcej śmiertelnych wypadków, to zawdzięczamy to p. prezydentowi Ciuchcińskiemu, który jako jeden z pierwszych, przypłynął w dorożce na miejsce zagrożone i zawezwał do siebie natychmiast straż pożarną, stacyę ratunkową, wojsko, policyę, wiceprezydenta i urzędników wodociągowych i odbył dłuższą naradę na miejscu. Uchwalono olbrzymią większością głosów odetkać kanał. Wyżej wspomniane władze rzuciły się natychmiast do odetkania kanału, którego należało naprzód wyszukać.

Znaleziono tylko jakąś wielką dziurę, lecz pokazało się, że jest to zwykła dziura w chodniku. Uchwalono więc wysłać dwóch urzędników do miasta, ażeby w prezydyum magistratu przekonali się na mapach, w którem miejscu powinien się znajdować kanał. Zanim ci wrócili, zwołał p. prezydent wszystkich na naradę, aby się zastanowić, co należy tymczasem czynić. Uchwalono jednogłośnie czekać. Po dwóch godzinach wrócili urzędnicy, lecz nie mogli się przedo-

stać do zebranej komisyi, ponieważ cała ulica była już zalaną i wobec tego uchwalili między sobą, odjechać do domu.

Tymczasem komisya z p. prezydentem na czele zastanawiała się nad tem, gdzie może być kanał. Zdania były podzielone. Jedni twierdzili, że w jednem miejscu, drudzy, że w innem, a jeszcze inni utrzymywali, że nie ma wcale kanału. Postanowiono więc tymczasem wypompować całą wodę. Pompowano bardzo długo, ale pompy były zepsute, a wody było za dużo, i co wypompowano w jednem miejscu, to zebrało się na drugiem. Wogóle było coraz więcej wody. Wobec tego uchwalono zaniechać dalszego pompowania, by nie powiększać katastrofy. W tem miejscu p. prezydent skonstatował, że deszcz ustał, że nikt na razie nie utonął i postawił wniosek, aby przerwać dalszą akcyę ratunkową, przyrzekając zarazem, że całą sprawę, w szczególności co do kanałów, zbada i załatwi na najbliższem posiedzeniu Rady miasta.

To też czwartkowe posiedzenie Rady miasta przeważnie obracało się naokoło kanałów. Rada p. Ciuchcińskiemu, a p. Ciuchciński Radzie zarzucali wzajemnie, że Lwów nie ma dobrych kanałów, że ma za mało kanałów, że ma za wązkie kanały.

Mówiono o katastrofie, która była i o katastrofie, która jeszcze nastąpić może. Jeden mówił, że mamy za mało pomp, drugi skarżył się, że mamy za dużo automobilów i w końcu Rada nic nie uchwaliła. Cała więc sprawa kanałowa zostaje na razie nadal zatkana i Rada ma ją niebawem odetkać.

Mnie się jednak zdaje, że nam kanałów nie potrzeba. Cały Lwów jest jednym wielkim kanałem, zawsze otwartym, wcale nie wązkim, a przedewszyst-

kiem zawsze wonnym. Na co więc w kanale robić jeszcze inne kanały?

Tego samego zdania zdaje się być większość Rady z p. prezydentem na czele i dlatego spodziewać się należy, że i w przyszłości Rada nie powźmie żadnej uchwały w tej sprawie. Ostatecznie trzeba będzie przedyskutować jeszcze raz całą sprawę, aby się uspokoiła opinia, która od tygodnia moknie i wyschnąć nie może.

Przebaczcie mi, kochani Czytelnicy, żem dziś wpadł w taki mokry ton, aż mi woda zalała całą kronikę. Winien temu cały tydzień ubiegły, z góry na dół mokry i przeciwpotopowa akcya magistracka z góry na dół wodnista. Dlatego nie mam już miejsca na tyle spraw innych, ważnych, gorących, piekących. A miałem pisać o posłach bez programu i o programach bez posłów, o aferze na dworze pruskim i o aferze wczorajszej z krową, która straciła rozum, o rewolucyi antydynastycznej w Portugalii i o damskiej rewolucyi antymęskiej w Warszawie, o emancypacyi psów we Lwowie i o pantalonach pana Jonasza, o wyjeździe naszej operetki z czworonożnym baletem do Krakowa i o wielu innych ważnych rzeczach, które mi utonęły w powodzi lwowskiej z zatkanymi kanałami, zepsutemi pompami, ratującymi prezydentami, wojskiem, stacyą ratunkową, strażą pożarną, i uchwałami, uchwałami, uchwałami bez końca.

XL.

16 czerwca 1907.

(Niedobry początek tygodnia. — Wiec kobiet a emancypacya mężczyzn. — Kto rządzi? — Apel. — Odpowiedź na prowokacye. — Rada narodowa a jej wrogowie i ich plany. — Czy parlament zatwierdzi wybory? — Dlaczego zawalił się Kopiec. — Komisya ma głos. — Cierpliwość Kopca i ironia losu. — Lwów urządza wystawę hygieniczną).

Tydzień zaczął się niedobrze. Na samym początku tygodnia zebrały się kobiety na wiec, ażeby swoją dotychczasową hegemonię jeszcze bardziej podnieść, a poniżony już świat mężczyzn jeszcze bardziej poniżyć. Mężczyźni, walczący już dawno nadaremnie o równouprawnienie z kobietami, przyszli na wiec w bardzo małej liczbie, ale tylko z obawy przed niesłychanym terorem kobiet, dzięki czemu udało się wiecowi przeforsować rezolucyę, miażdżącą do reszty ostatki praw mężczyzn. Niebezpieczeństwo jest wielkie. Kobiety twierdzą, że do nich należy przyszłość, tymczasem konstatujemy na każdym kroku z boleścią, że do nich należy już nawet teraźniejszość. — Gdyby spytano wszystkich mężczyzn Europy, kto rządzi ich domem, to wyszłaby straszna prawda na światło dzienne, bo przygniatająca większość odpowiedziałaby bez wahania: kobieta!

Jest więc emancypacya mężczyzn palącym postulatem postępu, humanitarności i sprawiedliwości. Złączmy wszystkie zgniecione siły, stargajmy krępujące nas kajdany, wznieśmy krzyk niewolników i agitujmy usilnie za przywróceniem mężczyźnie tego stanowiska, które mu już naznaczyło Pismo św. (Mojż. ks. I. cap. III, wiersz 16), a które mu z biegiem lat wydarto, spychając go

do rzędu niewolników. Przecież jesteśmy połową ludności! W niedzielę ma się odbyć olbrzymi wiec mężczyzn, który będzie potężną odpowiedzią na prowokatorski wiec onegdajszy kobiet. Sprawozdanie z naszego wiecu podamy w poniedziałkowym numerze, bez wymienienia uczestników, aby ich nie narażać na znany terror i szykany ze strony władz domowych.

Wiedziałem, że po tak kiepskim początku tygodnia nie może nic wesołego nastąpić. I zaraz potem zebrała się na wiec Rada narodowa, odpocząwszy zaledwie po wyborach narodowych. Główny powód zebrania się Rady narodowej był niewesoły. Oto wrogowie Rady chcą oczernić w parlamencie narodowe wybory.

Wrogom Rady narodowej nie podobało się, że pod jej egidą używano do wyborów wojska i żandarmów — że unieważniano tysiące głosów, że poczty i inne urzędy pomocne były przy agitacyi, że mianowano posłów, tam, gdzie ich nie można było wybrać — że zaglądano przy głosowaniu do kartek, że głosowano jawnie, że aresztowano całe komisye wyborcze, że wyrzucano nielojalnych mężów zaufania, że wykradano kartki z urny, że nie dopuszczano wielu wyborców do głosowania, że doręczano wyborcom już z góry wypełnione kartki, że w starostwach płacono pieniądzmi za głosy, że — krótko mówiąc — działy się oszustwa, gwałty i terror.

Otóż, ażeby tę przesadę wrogów pohamować lub nawet sparaliżować, uchwaliła Rada narodowa w tym tygodniu, zebrać potrzebne daty, celem wykazania, że nietylko jej kandydaci, ale prawie wszyscy inni niezatwierdzeni przez Radę posłowie zdobyli mandaty drogą nielegalną. Jest to uchwała prosta i praktyczna. Powie się w parlamencie: były szwindle, to

prawda, ale były świństwa u wszystkich, bo u nas taki zwyczaj. Parlament zatem musi uznać wszystkie wybory galicyjskie za ważne, jako na podstawie prawa zwyczajowego dokonane, — a Europa dowie się, że w Galicyi żaden poseł nie wszedł prostą drogą do parlamentu.

Teraz już nikogo nie dziwi, że zawalił się w tym tygodniu Kopiec Unii lubelskiej. Wogóle można było zauważyć w ostatnim roku, że we Lwowie wszystko się wali i zapada. Walą się kamienice, spadają gzemsy, przewracają się góry, rozsypują się domy i balkony, a teraz zawalił się Kopiec. Różne podają przyczyny tej ostatniej katastrofy. Komisya urzędowa orzekła, że już dawno zauważono na Kopcu rysy, po których poznano, że grozi mu niebezpieczeństwo runięcia, czekano więc, czy runie, czy nie runie. I runął.

Komisya powiada, że ulewa była powodem katastrofy. Inni powiadają, że cierpliwy dotąd kopiec miał inny powód do zwalenia się. Patrzał Kopiec długo na nasze zdrożności, na nasze wybory, na nasz tani opał, na naszą trzecią dzielnicę, która jest tem nieregularniejszą, im więcej się ją reguluje na Radzie, na nasz potop, na nasze kanały i — nic, tylko się trochę zarysował. Zapadł się dopiero Kopiec, kiedy widział, że Lwów owo gniazdo i ojczyzna wszystkich bakteryj i chorób, ten największy producent suchot, ten ekstrakt wszystkich smrodów, ten kanał nad kanałami, że ten właśnie Lwów urządza u siebie... wystawę hygieniczną. Na taką ironię losu nie mógł już Kopiec patrzeć: pękł ze śmiechu i zapadł się.

XLI.

23 czerwca 1907.

(O wystawie hygienicznej we Lwowie. — Czemu umieszczono wystawę za miastem? — Hygieniczna podróż tramwajem i jej zalety. — Hygieniczne dryndy a zamierzony strejk dorożkarzy. — Otwarcie wystawy i niedowiarstwo ludzi — Niektóre szczegóły wystawy. — Symboliczne figury hygieny mieszkańców. — Co zamierzano jeszcze urządzić? — Jak p. Abrahamowicz został prezesem? — Różne wnioski a jeden świński).

Mamy więc we Lwowie wystawę hygieniczną. Dobrze zrobił Komitet wystawy, że swoją wystawę urządził we Lwowie. Lwów bowiem znany jest ze swojej hygieny od dawna, ale ta hygiena nasza była dotąd ukryta. Należało ją wydobyć na wierzch i pokazać światu: tak wygląda hygieniczny Lwów. Słusznie umieszczono całą wystawę po za Lwowem, na placu Powystawowym. W samem mieście ją umieścić byłoby niebezpiecznem ze względów... hygienicznych. Mogłaby się zarazić i zdechnąć, albo wpaść do kanału i udusić się, albo mógł na nią zwalić się jakiś gzems lub mur i byliby ją odrazu dyabli wzięli. Dlatego należało ją słusznie umieścić za miastem.

Ażeby się dostać na wystawę hygieniczną, trzeba naprzód odbyć hygieniczną podróż tramwajem. Kto tę podróż odbył, ten już nie ciekaw oglądać wystawy, ale myśli już wyłącznie o powrocie. Taka podróż jest w wysokim stopniu hygieniczną. Łączy ona bowiem w sobie wszystkie zalety łaźni parowej, gimnastyki szwedzkiej, sztuki szermierczej, sportu atletycznego, masażu, dentystyki i t. p. Dlatego ludzie z takim zapałem pchają się do tramwajów. Jest nadto ta podróż bardzo oryginalną, bo czasem jedzie się wpierw z powrotem, a potem dopiero naprzód, a to celem

umożliwienia dłuższego korzystania z hygienicznych zalet podróży.

Stara się oto dyrekcya tramwaju, której należy się uznanie i opłata za trzy sekcye. Tę trzecią sekcyę urządzono ze względów hygienicznych w ten sposób, żeby nikt po niej nie jeździł.

Kto ze względu na swój stan zdrowia i kasy nie potrzebuje zabiegów hygieniczno-tramwajowych, ten jedzie na wystawę w dorożce hygienicznej. We Lwowie są wszystkie dorożki hygienicznie urządzone, a niektóre nawet wprost czuć karbolem, chloroformem, lub inną aptekarską rzeczą. Najlepsze są dorożki na radyrkach, czyli gumach, w których nawet najcięższa dama wydaje się lekką. Lecz niestety nie długo cieszyć się będzie można dorożkami, gdyż dorożkarze zamierzają strejkować. Żądają mianowicie zniesienia nadzoru policyjnego nad nimi, zniesienia taksy i innych zniesień, a ustanowienia dla nich zupełnej dowolności, jaką cieszy się dyrekcya tramwaju co do dowolnego ustanawiania cennika i sekcyj długości końskiego ogona. W przeciwnym razie wyprzęgną szkapy, pozłażą z kozłów i przez okna restauracyi patrzeć będą na nieprzejrzane tłumy cywilnej piechoty, która na własnych gumach, przyśrubowanych do obcasów, maszerować będzie piechotą na wystawę hygieny.

W niedzielę otwarto uroczyście wystawę. Ponieważ ludzie nie chcieli jeszcze ciągle wierzyć, czy jest to wogóle możliwe we Lwowie, przeto 20.000 osób przyszło przekonać się o tem naocznie, a niektórzy z nich pozabierali z wystawy niektóre, dające się przenieść przedmioty (ogólnej wartości 1000 kor.), ażeby je zanieść do miasta i przekonać nimi tych, którzy tu

przyjść nie mogli, że we Lwowie naprawdę otwarto wystawę hygieny.

Z innych hygienicznych rzeczy najwięcej próbowano piwa, a niektórzy po dłuższem próbowaniu tego artykułu demonstrowali zaraz innym jego błogie skutki hygieniczne. Skutki hygienicznych kiełbasek, gulaszów i innych pierników występowały dopiero później.

Hygieniczne oświetlenie placu oraz karuzel i hygieniczny teatr papug nie zostawiały nic do życzenia. Z przyjemnością i pewnem zdziwieniem oglądano wozy do zamiatania i czyszczenia ulic, których na mieście nigdy nie widziano. Kto chciał podziwiać hygieniczną sadzawkę, ten musiał zejść do parku Kilińskiego. Hygienę mieszkańców lwowskich reprezentują symboliczne figury na dawnej fontannie świetlnej, wprawdzie bez głów, rąk, nóg i nosów, ale z silną wolą bytu.

Szczegółowy opis samej wystawy zostawiam na inny raz. Zresztą wystawa nie jest jeszcze zupełną. Wiele przedmiotów jeszcze nie nadeszło, inne nie nadejdą już nigdy. Podobno zamierzano początkowo urządzić »pawilon hygienicznie czystych wyborów«, hygieniczne pranie brudów sumienia, skraplanie lotnych frazesów i obiecanek i t. p., ale sfery miarodajne sprzeciwiły się temu stanowczo a Eks. Abrahamowicz zagroził nawet telegraficznie odmówieniem poparcia wystawy, wobec czego musiano zaniechać tego zamiaru.

Może dzięki temu wybrano p. Abrahamowicza prezesem Koła. Bo innego powodu nie znam ani ja, ani cała demokracya, ani jej skrajnie demokratyczni posłowie, którzy głosując na tego regimentarza, w zagadkowy sposób, po krótkich a ciężkich cierpieniach, przenieśli się na łono Abrahamowicza.

Ale nasi posłowie nie mają czasu myśleć o tem,

bo przygotowują wnioski. Każdy poseł ma worek wniosków i od samego początku kłócą się nasi reprezentanci ze sobą, kto jaki wniosek ma stawiać w parlamencie. Najbardziej łapczywy jest poseł Małachowski. On stawia nawet obce wnioski. Jeden z kolegów parlamentarnych mu to wytknął publicznie, ale on dalej robi swoje i marzy tylko o popularnych wnioskach. Największy zaś apetyt ma na wniosek p. Kozłowskiego w sprawie zakazu kolczykowania świń. Taki świński wniosek i to na sam początek — to omal, że nie polityczna karyera. Psiakrew!

XLII.

7 lipca 1907.

(Co wynika z tego, co powiedział p. minister? — Rzut oka ministeryalnego na wybory w Galicyi. — Nasz honor uratowany. — Radość Rusinów i ich koncert w parlamencie. — Groźba braku wody i ewentualne skutki. — Tania woda miejska we flaszkach. — Plaga komarów i akcya magistratu).

Z tego, co powiedział przedwczoraj minister spraw wewnętrznych, bar. Bienerth, pokazuje się, że przy naszych wyborach wszystko działo się w największym porządku: Nasze władze zachowywały się przez cały czas wzòrowo, a w szczególności wojsko i policya złożyły liczne i świetne dowody salonowej dojrzałości, taktu i rozwagi. Wyborcy napadali umyślnie policyę, aby ją sprowokować, ale policya spokojnie znosiła wszystkie szykany i napady, a nawet w razie potrzeby pozwalała bić się lub aresztować, byle tylko na nią nie narzekano. Jeżeli wielu było wyborców rannych i zmasakrowanych, to nie jest

temu winną policya ani wojsko, tylko sami wyborcy, którzy umyślnie ranili się i dziurawili, aby potem całą winę zwalić na policyę. Zresztą prawie wszystkie rany zadane są wyłącznie z tyłu, a policya — jak wiadomo — z zasady nie rani obywateli z tyłu.

Władze polityczne — jak to dalej wynika z mowy pana ministra — postępowały podczas wyborów z możliwą delikatnością i ojcowską wyrozumiałością wobec wyborców, ich rodzin i dzieci. Przykładów na to możnaby wyliczyć bardzo wiele. — Zdarzyło się, że wyborca umarł tuż przed wyborami, a starosta mimo to pozwolił mu głosować przez zastępcę, aby go nie pozbawiać jego prawa nawet po śmierci.

Starostowie galicyjscy pamiętali nawet o zdrowiu wyborców w tym czasie gorączkowym i po sześcioletniej pauzie zarządzili ścisłe rewizye sanitarne u wyborców-sklepikarzy i rzemieślników, lecz nie na to, aby dokuczyć opornym wyborcom małomiejskim, jak to twierdzili posłowie opozycyjni, ale z obawy, aby broń Boże nie wybuchła w tym właśnie czasie jakaś epidemia, która mogłaby wydusić, broń Boże, obywateli i uniemożliwić uchowaj Boże, wykonanie ich prawa wyborczego.

Dlaczego właśnie w tym czasie we wszystkich prawie okręgach wydano te zarządzenia sanitarne, minister także wyjaśnia: Oto w Galicyi raz na sześć lat wybuchają epidemie, a podczas wyborów kraj powinien być zdrowy. Ze sprawozdań starostów, przedłożonych ministrowi, wynika jasno, że wogóle nie było ze strony władz żadnych nadużyć. Sami starostowie przyznają, że prowadzili wybory legalnie i w największym porządku, a niema chyba żadnego powodu posądzać ich o stronniczość. Jeżeli dostarczano tu i ówdzie wyborcom wypełnione już karty wyborcze, to

stało się to przez pomyłkę. Zresztą nie chciano odrywać wyborców od zajęć codziennych i należało im pomódz w trudnem oryentowaniu się wśród wielkiej liczby kandydatów.

Nieprawdziwe są także zarzuty, jakoby władze w czasie wyborów prześladowały wyborców ściąganiem podatków i kar, gdyż wiadomo, że władze galicyjskie w ten sposób wyborców prześladują przez cały rok. — Odszkodowania, żądanego dla wyborców, rząd nie da żadnego, gdyż wyborca, przystępując do głosowania, musi być przygotowanym na to, że mu coś połamią i świadomie się na to naraża. Mimo to przyrzekł p. minister jeszcze pociągnąć do odpowiedzialności winnych urzędników, jeśli się który z nich przyzna do winy.

Odczyszczająca mowa p. ministra uratowała nasz honor i wywarła tak w parlamencie, jak i w całym kraju bardzo miłe wrażenie. Posłowie ruscy po wysłuchaniu tej znakomitej mowy dezynfekcyjnej długo nie mogli przyjść do słowa a potem zoryentowawszy się w sytuacyi zaczęli śpiewać tak serdecznie i tak długo, że żaden dzwonek prezydencki, żadne prośby i wzywania, żadne krzyki, tupania i hałasy nie mogły ich wstrzymać ani przegłuszyć. Oni śpiewali dalej coraz głośniej i coraz czulej i nie mogli ani przerwać ani skończyć. To wszystko z uciechy nad pomyślną krytyką naszych wyborów. Ze wszystkich posłów śpiewających okazali się oni najlepszymi śpiewakami politycznymi.

Ale dobrze im śpiewać, kiedy nie muszą siedzieć we Lwowie, gdzie do wszystkich dawnych braków przybywają nowe. Oto winiarze tyle dolewają wody do wina, a mleczarze do mleka, że grozi nam brak wody. Magistrat wzywa do jej oszczędzania. Sam

fakt, że magistrat zarządza naszą wodą, każe wierzyć, że istotnie zabraknie wkrótce wody. Potem trzeba będzie urządzić instytucyę »taniej wody miejskiej«, którą będzie się rozwoziło po mieście i sprzedawało w plombowanych flaszkach litrowych, zawierających 10 gramów wody, przyczem w pierwszym rzędzie sprzedawać się ją będzie urzędnikom magistratu i grajzlernikom. Wszyscy inni zmuszeni będą pić alkohole i kąpać się w własnym pocie.

Drugą katastrofą jest plaga komarów. Na Radzie miejskiej pytano już nawet prezydenta, czemu pozwala, by komary kąsały mieszkańców i jak zamierza przeciw komarom wystąpić? P. prezydent był z początku w kłopocie, bo nie wiedział, do jakiej kategoryi spraw miejskich przydzielić tę plagę, ale przypomniawszy sobie, że wszystkie pokąsania należą do fizykatu, przyrzekł oddać tę sprawę fizykowi miejskiemu do zbadania i załatwienia. Tymi dniami pojawi się w dziennikach ze strony fizykatu pouczenie o komarach a równocześnie wyszle się kilku rakarzy z poleceniem wyłapania wszystkich komarów, które nie będą miały kagańca. Porządek to porządek.

XLIII.

4 sierpnia 1907.

(Kto wyjechał a kto został w mieście? — Niema komu działać. — Letnicy wracają i uciekają. — Zamarznięte nosy. — Nudy lwowskie i ich skutki. — Wścieklizna powszechna. — Co magistrat robi z nudów? — Ludzie a nudy. — Niebo w kanikule. — Nasza nadzieja. — Cyrk przybywa).

Wszyscy porządni ludzie wyjechali ze Lwowa na lato. W mieście zostali tylko ci, którzy nie mają

ani pieniędzy, ani kredytu, ani nic do zastawienia, słowem hołota. Dlatego w ubiegłym tygodniu nikt nic nie zdefraudował, nikt nikomu nie wykradł żony, nikt się nie pojedynkował, nikt nie rozbił banku, ani nie ukradł naszyjnika na balu, nikogo nie przejechano automobilem, nikt się nie powiesił z miłości na szelkach, nikt nie strzelał na ulicy do ludzi i nikt z powodu kradzieży nie poszedł na Kulparków. Niema komu działać.

Wszyscy porządni ludzie, którzy zaopatrują kronikę w ciekawsze wypadki, rozjechali się do wód, gdzie z powodu panującego w tym roku zimna odmrażają sobie nosy. Niektórzy wrócili już nawet do Lwowa, aby się zagrzać i zabawić, ale widząc, że we Lwowie nietylko ludzie, ale i koty wściekają się z nudów, pozabierali ze sobą palta, pledy, futra i papucze i uciekli znowu na zimne powietrze.

Na razie we Lwowie wściekają się z nudów tylko psy, ludzie i koty, ale zdaniem kompetentnych sfer wkrótce dojdzie do tego, że wściekać się będą wszystkie inne zwierzęta domowe i trzeba będzie rozszerzyć przymus kagańcowy na konie tramwajowe, koguty, cielęta, szczury, karakony i pchły i wszystko to prowadzić na linewce z kagańcem na pysku. Inaczej rozszerzy się wścieklizna nietylko, jak dotąd, na administracyę podatków, ale i na magistrat, urząd loteryjny i inne władze, starające się o dobro mieszkańców.

Straszne nudy panujące we Lwowie wywołały już straszne skutki. Naprzykład magistrat lwowski dla zabicia czasu rozkopał ulicę Lindego i napowrót ją zakopał, i znów rozkopał i teraz znowu ją zlepia, aby ją wkrótce po raz trzeci rozkopać i znowu zakopać

po raz trzeci i tak długo będzie to robił, aż się skończy kanikuła.

Z nudów i tylko z nudów ludzie topią robaka w szynkach, żony walą pijaną głowę rodziny prowadząc ją za uszy do domu, dorożkarze urządzają sobie piesze wyścigi o nagrodę i na koźle długo grają krótkiego, ekspresi gryzą zębami latarnie, precle i mury, poeci rozbijają swoją lutnię o mur zakładu zastawniczego, złodzieje wkradają się do mieszkań i kładą się spać, ludzie rzucają się pod własny wóz i przejeżdżają samych siebie, panny udają mężatki, mężatki urządzają nieostrożnie karambol z pewnem przykazaniem — atoli w myśl słów Pisma: kochaj bliźniego swego, jak swego męża samego — wszystko z nudów, z nudów kanikuły w najkanikularniejszem tego słowa znaczeniu.

Jeszcze więcej nudzi się niebo i robi same niedorzeczności. Naprzód są gęste chmury, potem jest deszcz, potem rzadkie chmury, potem trochę nic, potem znów chmury, potem znowu deszcz i znowu nic, i znowu chmury i tak w kółko, całkiem jak Magistrat z ulicą Lindego.

Cała nasza nadzieja jest jeszcze w cyrku, który niebawem zjeżdża do Lwowa.

Spragnieni artystycznych wrażeń czekamy z niecierpliwością na ten cyrk. Lwów bowiem od szeregu tygodni pozbawiony jest tego, co nazywają Sztuką. Teatr miejski zamknięty, o zbiory starożytne toczy się spór, teatr papug zamknięty, a nawet w pasażu Mikolasza nie produkuje się żaden człowiek z dwiema głowami, żaden człowiek bez głowy, bez rąk i nóg, żadna cudowna panna, ważąca tysiąc funtów bez waty, jednem słowem: nic. Dlatego cyrk jest nam w tej chwili koniecznie potrzebny i należy się wdzięczność

magistratowi i cześć, że umożliwił nam bodaj na dwa miesiące korzystanie z tej artystycznej podniety. Należałoby nawet postarać się o subwencyę krajową dla cyrku, ale pod warunkiem, że stale we Lwowie dawać będzie przedstawienia przez rok cały, bo każdy przyzna, że jedno Colloseum na taki Lwów nie wystarcza.

XLIV.

25 sierpnia 1907.

(Cholera idzie. — Nasze przygotowania na cholerę. — Reforma choleryczna p. Kurkowskiego. — Co się stało na świecie? — Niema miejskiego zakładu pogrzebowego. — Nasz spokój wobec cholery. — Cztery nowe pawilony dobroczynne. — Specyalna komisya fachowców. — Mój apel do twórców pawilonów. — Koniec kanikuły a ostatnia sensacya kolejowa. — O niektórych szczegółach malwersacyi).

Najweselszym faktem z ubiegłego tygodnia jest alarmująca wiadomość, że zbliża się do nas cholera. Na tę cholerę czekamy już długo i robimy wszystko, aby nas zastała przygotowanych.

Gdzie, jak gdzie, ale u nas we Lwowie cholera będzie się czuła, jak u siebie w domu. Nasze ulice, nasze podwórza i śmietniki są już w sam raz przygotowane. Nasza wystawa hygieniczna pokazała nam niedawno, jak wygląda cholera — teraz pokaże nam cholera, jak wygląda hygiena.

Pan Kurkowski, generalny dostawca nieboszczyków do nieba, zaciera już ręce i myśli o podwyższeniu ceny przejazdu. Taki choleryczny nieboszczyk będzie musiał więcej zapłacić, niż zwykły, z powodu wielkiego nawału roboty i wykluczone będą pogrzeby

na raty. Dla uniknięcia ścisku, zaleca się zamówienie przyzwoitego pogrzebu na miesiąc naprzód i złożenie zadatku.

Odkąd postanowiono utworzyć miejski zakład pogrzebowy, upłynęło bardzo dużo brudnej wody; wystawiono i pogrzebano kilkaset premier w teatrze, dwie artystki wstąpiły do teatru i zdobyły sławę, król angielski trzy razy był w Marienbadzie i postarzał się; cesarz Wilhelm wygłosił tysiąc mów i ma już dwieście przygotowanych na przyszłość; szach perski trzy razy objechał Europę i umarł; car rosyjski dwa razy nadał konstytucyę i dwa razy ją cofnął; w Rosyi zwołano i rozwiązano dwie Dumy i rozpisują już wybory do trzeciej; w Austryi zaprowadzono powszechne głosowanie, dokonano wyboru nowych posłów i wniesiono protest przeciw wszystkim wyborom; we Lwowie wystawiono dwa pomniki; otwarto i zamknięto jarmark krajowy, otwarto i zamknięto wystawę hygieny, odkryto i zamknięto wielu obywateli, powstało wiele nowych kamienic, z których połowa zawaliła się z powodu deszczu, zapadł się kopiec Unii lubelskiej z powodu deszczu — miasto trzy razy chciało się utopić z powodu deszczu, dwie góry przewróciły się do góry nogami — spaliło się wiele domów, na szczęście przypadkowo ubezpieczonych i na nowo się odbudowało — przejechano automobilami mnóstwo ludzi; wielu ludzi urodziło się, z tych kilku nawet na ulicy i podrosło, a wielu umarło śmiercią naturalną, gwałtowną lub samobójczą z miłości lub innych ważnych powodów, i z żalem dało się pochować prywatnie; zawarto w tym czasie wiele związków małżeńskich, które częścią pobłogosławione zostały dziećmi, częścią już dawno się rozeszły — a miejskiego zakładu pogrzebowego jak nie było, tak nie ma.

Ktoby sądził, że zbliżająca się cholera potrafi przynaglić tę sprawę, jest w strasznym błędzie. Lwowska Rada miejska jest spokojna, bo zna swoje miasto. W całej Europie ta wiadomość choleryczna wywarła piorunujące wrażenie, we Lwowie przyjęto ją obojętnie. My się z takich rzeczy śmiejemy w kułak. Jeżeli my tej cholerze nie zaszkodzimy, to ona nam z pewnością nie zaszkodzi. Raczej ona zepsuje sobie u nas żołądek i zdechnie. Nasze bakcyle uduszą ją w pierwszym dniu. My bowiem mamy swoją cholerę, która żadnej innej nie dopuści. I to nasze szczęście. Możemy z otuchą patrzeć w przyszłość, bo cholerę weźmie u nas cholera.

Dlatego może Rada i magistrat zająć się innemi ważniejszemi sprawami. Jedną z takich ważnych spraw są pawilony dobroczynne, które w liczbie czterech postanowiono wystawić w naszem mieście, aby odpowiedzieć gwałtownej potrzebie mieszkańców. Dotychczas bagatelizowano sobie te potrzeby, a obywatele musieli nieraz pędzić z jednej ulicy na drugą z taką czerwoną miną, jakby szli kogoś wybesztać, albo jakby uciekali przed dzikim wierzycielem. Teraz magistrat uznał, że taka potrzeba jest także potrzebą, nieraz nawet więcej piekącą, niż inna i oto wypłynął z magistratu radosny komunikat, że już się obmyśla miejsce pod przyszłe pawilony. Ten wybór miejsca nie jest tak łatwym, jakby się zdawało.

Nie można bowiem z góry obliczyć, gdzie kogo co złapie, i w których miejscach ludzie miewają rozmaite zachcianki. Dlatego wybór miejsca poruczono specyalnej komisyi. Nie wiem, jakie specyalne kwalifikacye mają pod tym względem członkowie tej komisyi, ale muszą to być ludzie wielkiego talentu i rozwagi. Muszą zdawać sobie sprawę z ważności nało-

żonego na nich obowiązku i z odpowiedzialności, jaka na nich ciąży wobec wszystkich mieszkańców miasta. Każdy fatalny wypadek, jakiby w tym względzie nastąpić mógł w przyszłości, musielibyśmy potem przypisać ich winie i nieostrożności w wyborze miejsca. Dlatego już dziś kładę im to na sercu i w imieniu całej potrzebującej ludzkości wołam im wielkim głosem: Ojcowie, niechaj wybór wasz będzie trafny, a my imię wasze przy każdej sposobności z wdzięcznością mile wspominać będziemy!

Przychodzi zaś ta nowość w samą porę, bo już zjeżdżają się ludzie z letniego pobytu z pakunkami i odmarzniętymi nosami. Za tydzień będziemy już wszyscy znowu razem, a kanikuła weźmie w łeb.

Co prawda, są już pewne oznaki, że kanikuła ginie, bo już występują sensacye. Ostatnią sensacyą są jakieś stanisławowskie nieregularności kolejowe z dostawą materyałów. Podobno aresztowano wiele osób, a nawet kilka mundurów i jakiś złoty kołnierz, ale jeszcze nazwisk nie podają. Nie wiem więc jeszcze, kogo aresztowano i nie wiem, za co aresztowano, ale znam już niektóre szczegóły, z którymi mogę się podzielić z szanownymi Czytelnikami, a nawet ze świetnemi władzami. Oto główny winowajca wcale nie jest przestępcą — tylko człowiekiem nieszczęśliwym, chorującym na umysł, a czyn jego nie kwalifikuje się do sądu karnego, ale raczej zasługuje na dokładną obserwacyę lekarza-psychiatry. Głównego więc winowajcę, zwłaszcza jeżeli ma złoty kołnierz, należy bezzwłocznie odwieźć do którego zakładu dla umysłowo chorych.

Winni są stanowczo ci mniejsi cywilni przestępcy, czy zbrodniarze, których należy odrazu skuć i odstawić do więzienia. Oni chyba na chorobę umysłową

powoływać się nie mogą, bo ostatecznie, kto pójdzie do kryminału, jeśli wszyscy pójdą na Kulparków?

XLV.

1 września 1907.

(Podróże monarchów i dyplomatów. — Horoskopy dziennikarzy. — Zagraniczny dziennikarz a lwowski. — O czem można pisać w Galicyi. — Malwersacye kolejowe mierzone na wagony. — Idylliczne stosunki w dyrekcyi kolejowej. — Na jakich warunkach objąłbym dostawę i coby stąd wynikło? — Podkolejarz w obronie swego honoru. — Rzecz o pojedynkach. — O tych, co się na żartach nie znają. — Honor a bielizna. — Różne nowe rzeczy).

Monarchowie i dyplomaci ciągle teraz podróżują, wygłaszają toasty, piją szampana i ściskają się, a dziennikarze depcą im po piętach i rozgłaszają światu każde ich słowo i każdy ruch. Chce minister kichnąć i skrzywi nos, to taki dziennikarzyna głosi światu, że międzynarodowy pokój jest zachwiany, a upije się minister szampanem i jest wesoły, to świat czyta, że możemy spać spokojnie i mieć najlepsze nadzieje, bo wszystko jest w porządku.

Ale zawsze to lepiej być zagranicznym dziennikarzem, który się styka z monarchami i dyplomatami i badać może ich ruchy, aniżeli dzierżyć kawałek gęsiego ogona we Lwowie, gdzie prócz króla kurkowego na Strzelnicy nie mamy innego monarchy, a jedynym dyplomatą jest radny Mokrzycki. Co za olbrzymia różnica!

Przedwczoraj spadł cesarz Wilhelm z konia, który się potknął, a w godzinę później wiedział i mówił o tem cały świat. Niechże teraz p. Mokrzycki wypa-

dnie z tramwaju na nos — a za rogatkami miasta nikt o tem słyszeć nie zechce.

Za to można u nas zawsze pisać o jakiejś defraudacyi. Nie ma w Galicyi dyplomatów, to prawda, ale defraudantów nie zabraknie nam nigdy i to nawet takich, którzy posiadają wybitne zdolności dyplomatyczne. Możemy to sobie z dumą powiedzieć — że u nas jedna defraudacya nie jest prawie podobna do drugiej, bo na każdą znajdujemy nowy sposób. Ostatnie malwersacye kolejowe w Stanisławowie i Kołomyi, które obecnie są sensacyą dnia, najlepiej dowodzą, ile my to pomysłów wynajdujemy, aby dojść do celu. Każdy pomysł naszych defraudantów to arcydzieło myślenia.

Obmyśli, wykona, schowa pieniądze, a po wszystkiem świat dowiaduje się o tem i podziwia jego spryt. Nawet same władze przełożone dziwią się i w śledztwie wynajdują coraz nowe pomysły. W Stanisławowie teraz obliczają szkodę. Czy będą pieniądze, czy nie będą, ale dobrze jest wiedzieć, jaka jest szkoda. Już doliczono do trzech kroci i jeszcze dalej liczą. Tam się kradzieże mierzyło na wagony, a wagon to nie szpilka. Swoją drogą trzymali się słusznej zasady, że jak brać, to porządnie, a nie byle co. Nie łakomili się na końskie ogony, jak ten lwowski złodziej z tamtego tygodnia.

Inna rzecz, że musiały tam panować idyliczne stosunki, skoro dostawcy wierzyło się na słowo, że dostawił materyał i wystawiało mu się płatną asygnatę. Na takie warunki ja sam podjąłbym się najtrudniejszej dostawy i nawet nie targowałbym się o cenę materyału. Oddałbym, t. j. przyrzekłbym oddać materyał niżej cen fabrycznych, a bynajmniej nie straciłbym ani zbankrutował na tym interesie. Za parę

lat miałbym milionik, a cała dyrekcya poszłaby na bęben.

Przyznam się jednak, że gdyby mnie na tej manipulacyi wyłapano, to byłbym skromnym i co najwyżej postawiłbym wniosek formalny, aby mnie oddano pod obserwacyą lekarską psychiatrów. Żadną zaś miarą nie postąpiłbym, jak ów podurzędnik kolejowy, który za posądzenie go o udział w tej sprawie, zamiast uniewinnić się, zaskarżył całą dyrekcyę do sądu o oszczerstwo. Jestto pomysł wprawdzie nie skromny, ale swoją drogą bardzo tęgi. Ma on iść do kryminału, to niech lepiej idzie cała dyrekcya kolejowa.

Mojem zdaniem nie powinien był ten podkolejarz skarzyć dyrekcyi do sądu o oszczerstwo, bo to dziś nie bardzo honorowe, ale poprostu wyzwać wszystkich szefów i dyrektorów na pistolety.

Takie załatwienie sprawy byłoby bardzo honorowe i odrazu rozwiązałoby całą kwestyę. Wszystkim dyrektorom podziurawić brzuchy i w ten sposób wykazać swoją niewinność. Dobrze jednak postąpił, że bodaj w taki sposób wystąpił przeciw dyrekcyi. Jeszcze bowiem nie zbadali wysokości szkody, jeszcze nie przesłuchali nieboszczyka-dostawcy, który jest najważniejszym świadkiem w tej sprawie, jeszcze nie zbadali stanu umysłowego sprawców, a już robią przeciw niemu jakieś ubliżające mu kroki sądowo-egzekucyjne. Może akuratnie wykaże się, że szkoda jest tak wielką, iż nie mógł jej wyrządzić człowiek o normalnym umyśle, tylko waryat z mokrą głową, a w takim razie, jakiem prawem dyrekcya sądzi waryatów i występuje przeciw nim na drodze sądowej? Takie musiały być pobudki, które kazały podkolejarzowi zaskarżyć dyrekcyę do sądu.

Powtarzam jednak, że powinien był raczej wy-

zwać dyrektorów na pistolety, bo ten sposób załatwiania spraw jest więcej honorowy i modny. Nie ma prawie tygodnia, w którymby ludzie nie strzelali do siebie z pistoletów w sprawach honorowych. Na szczęście są jeszcze u nas ludzie, którzy się znają na żartach. Ci strzelają w powietrze, a potem podają sobie dłonie. Pojedynek się odbył, sprawa jest honorowo załatwiona, a nikomu nie spadł włos z głowy.

Ostatecznie jest takie załatwienie sprawy najrozumniejsze, jeśli już koniecznie musi odbyć się strzelanina, a nie można sprawy załatwić inaczej. Nikt swojej skóry nie wygrał na loteryi i nie chce, aby mu ją ktoś dziurawił dla honoru. Dałoby się dużo jeszcze mówić o tem, czy czyjś honor przez to się załata, że moja skóra się podziurawi. Tak medytują ci, którzy się znają na żartach i z góry umawiają się, że obie strony mają strzelać do Pana Boga.

Są jednak inni, którzy się nie znają na żartach. Ci wprawdzie celować nie umieją, ale mierzą do siebie seryo i przecież czasem — swoją drogą tylko przypadkiem — trafiają przeciwnika kulką. Tym się zdaje, że jeśli przeciwnik nie wyniesie z pojedynku dziury w brzuchu, to będzie dziura w niebie.

Inna rzecz, że o takich pojedynkach potem opowiada się szeroko i daleko z taką dumą, jakby już nie żyła na świecie praczka, która o tym pojedynku miałaby może najwięcej do opowiadania. Ale bieliznę można zmienić lub wyprać, a honor jest honorem. Honor nie zna bielizny, a raczej znać jej nie chce. Jest na to zresztą stare przysłowie, którego przytoczyć w tej chwili nie mogę.

Tych parę uwag nasunął mi ostatni pojedynek na pistolety. Dlatego nie mam już miejsca na tyle spraw innych, obchodzących blizko nasze miasto, jak

nowy kandydat na posła do Sejmu, nowa para koni dla stacyi ratunkowej, nowy sposób zwalczania drożyzny, nowy rok szkolny, nowy pomysł lwowskiego złodzieja, nowy czyn policyi lwowskiej, nowe samobójstwo na stary sposób, nowy repertoar teatralny z »Wesołą wdówką«, nowe wybory do Dumy, nowy zamach na króla portugalskiego, nowa mowa cesarza Wilhelma, nowy noworodek, znaleziony w kanale i wiele innych nowych rzeczy, które są nowe, choć stare, albo nie całkiem nowe.

XLVI.

8 września 1907.

(Stała rubryka. — Katastrofa kolejowa jako wypadek. — Co u nas jest wypadkiem, a co u kolei katastrofa? — Uciecha w stanisławowskiej dyrekcyi i jej powody. — Oszczędnemu Bóg pomaga. — Szczęście kolejowej dyrekcyi. — Z tajemnic lwowskiego uniwersytetu. — Dr. Rode jako wynalazca — Czemu drapnął rektor Gryziecki i co miał uczynić? — Hrabia musi być waryatem).

Radziłem kilka razy redaktorowi, aby zaprowadził stałą rubrykę p. t. »Katastrofy kolejowe« i oddał ją specyalnemu referentowi, ale mnie nie usłuchał. Teraz pokazuje się, kto miał słuszność.

Mieliśmy w tym tygodniu znowu katastrofę kolejową. Dyrekcya stanisławowska w komunikatach swoich nazywa ją delikatnie »wypadkiem kolejowym«. Tak, jak gdyby się była stłukła szyba w wagonie. Katastrofą byłoby w pojęciu stanisławowskiej dyrekcyi kolejowej, gdyby do jakiegoś przepełnionego pociągu trzeba było koniecznie dodać dwa wagony. W takich bowiem razach urzędnicy tracą głowę. Ten

»wypadek« z ubiegłej środy nie jest katastrofą, tylko wypadkiem, a wypadki zdarzają się wszędzie. Galicya jest do kolejowych wypadków tak bardzo przyzwyczajona, że raczej wypadkiem jest, jeśli w podróży niema żadnego wypadku. Kto winien w środowym wypadku? Jeszcze nie wiadomo. Dyrekcya powiada, że nikt nie winien, a niektóre organa dyrekcyi mówią, że działała tu »zbrodnicza ręka«. W słynnej katastrofie pod Turką winną była »vis major«, w innych wypadkach winni są maszyniści, dziś winną jest jakaś zbrodnicza ręka, ale władze kolejowe nigdy nie ponoszą winy. One tymi »wypadkami« tylko kierują. Potem prowadzą śledztwo, wytaczają funkcyonaryuszom dyscyplinarki, procesują się z pasażerami, a czasem płacą odszkodowanie. To ostatnie jest już u nich katastrofą. Ale za to u nas jest to ostatnie tylko wypadkiem. Bo kolej rzadko płaci, gdy komu kości połamie. Ciągnie latami proces i stara się udowodnić, że winien jest pasażer, a nie kolej. Naturalnie.

Nie powinien był jechać, jeśli chce mieć wszystkie gnaty w kupie. A strzaskało mu głowę, to jest tylko kara boża i nie należy mu się nic więcej. Sama kolej nigdy nie jest winna. Był u nas sam minister i widział, że wszystko w porządku. Najlepszy znak, że nic nowego nie zarządził i drugi raz nie przyjechał. Ani jednego wagonu nie dodał. Zjadł dwa dobre obiady i dwie kolacye i pojechał.

W stanisławowskiej dyrekcyi panuje teraz wielka uciecha. Cieszą się, że jest tylko dwóch zabitych a tylko stu rannych. Mogło zaś zginąć sto kilkadziesiąt osób. Była przynajmniej dobra sposobność. Dyrekcya stanisławowska ma szczęście. Ileby to trzeba było zapłacić, gdyby wszyscy zginęli w katastrofie. A i proces byłby wtedy trudniejszy, bo jak trup, to

trup. Teraz przynajmniej będzie można powiedzieć w procesie, że noga wprawdzie połamała się pasażerowi, ale już była przedtem trochę nadłamana, że pasażerowi wybito wprawdzie wszystkie zęby, ale były między nimi dwa sztuczne, a jeden zepsuty, krótko mówiąc, można się przynajmniej targować. Dyrekcya stanisławowska ma szczęście i jest oszczędna, a oszczędnemu sam Pan Bóg pomaga. Ma ona wyrzucać pieniądze na nowe tory, nowe progi i szyny i nowe wozy, to raczej oszczędza, aby potem było czem płacić poszkodowanym pasażerom.

Tak samo trzeba w miejsce zdruzgotanych dwudziestu wagonów kupić potem przynajmniej ze dwa nowe. A także i tor trzeba bodaj z wierzchu załatać. Na to wszystko trzeba pieniędzy i należy oszczędzać. To kolejowy rozum stanu i polityka kolejowa. Ale do tego wszystkiego stanisławowska dyrekcya kolejowa ma szczęście.

O tym »wypadku« kolejowym pomówię jeszcze na przyszły raz, dziś mam jeszcze wyrazić żal naszej wszechnicy, że wszystkie jej wady i tajemnice wyszły w tym tygodniu na jaw, dzięki dr. Rodemu, obrońcy ruskich studentów. Oto przekonał dr. Rode Europę, że to właściwie sami profesorowie polscy urządzili tę hecę na uniwersytecie, że może nawet sami, wraz z polskimi studentami porżnęli portrety, a ci wszyscy, którzy siedzą na ławie oskarżonych, byli tylko niemymi i biernymi świadkami tej awantury, albo ich wcale nie było na uniwersytecie.

Równocześnie skompromitował się lwowski sąd śledczy, który fałszywie pojął całą rzecz i zamiast oskarżyć polskich profesorów, oskarżył ruskich studentów.

Teraz dopiero rozumiem, dlaczego rektor Gry-

ziecki ukrywa się i nie stanął w sądzie, jako świadek. Ale na co ma się ukrywać, kiedy lepiej dać się złapać, przyznać się do wszystkiego i zrobić ze siebie chorego człowieka, tak, jak to zrobił hr. Edmund Potocki. W tym tygodniu przyznano Potockiemu, że wprawdzie fałszował weksle, ale jest człowiekiem umysłowo chorym. Zdrowy na umyśle hrabia nie fałszuje weksli. Jeśli hrabia takie rzeczy robi, to jest waryatem.

XLVII.

7 grudnia 1907.

W ubiegłym tygodniu ciągle u nas czegoś szukano nadaremnie.

Na samym początku tygodnia szukano na gwałt mieszkania konsula pruskiego, aby mu urządzić owacyę, ale nie można go było znaleźć.

— Gdzie pruski konsul, gdzie mieszka konsul, dawajcie nam konsula — wołano z ulicy, ale nikt nie umiał wskazać mieszkania konsula, a biuro meldunkowe policyi i krajowa dyrekcya skarbu, która przecież zna wszystkie dziury na wylot, były na nieszczęście zamknięte.

I ludzie bezradni zaczęli narzekać na takie porządki:

— Konsul ma być na każde zawołanie — mówili — a nie, żeby go w razie nagłej potrzeby dopiero szukać musiano i nie znajdowano! Konsul to przecie nie dorożka, nie tani opał miejski, nie policyant, nie tramwaj konny, nie miejska jatka!

Niestety był to głos wołającego na puszczy placu Maryackiego, głos wołający o pomstę do hotelu George'a — konsula nie znaleziono.

Hotel podejrzywany o to, że mieszka w nim konsul, bił się w piersi, dawał hotelowe słowo honoru i zaklinał się na wszystkie swoje elektrycznie oświetlone pokoje od frontu i od tyłu, że tam go nie ma. Jakaś willa przy ulicy 29 Listopada, także o to podejrzana, wydrukowała w dziennikach sprostowanie, że nie poczuwa się do winy, a kamienica, w której konsul istotnie mieszka, jest blada ze strachu i siedzi tak cicho, jak ten, który przed dwoma laty podjął w Banku krajowym 20.000 koron na fałszywą asygnatę. I nie ma konsula.

Więc zamiast na konsulu pruskim, postanowiliśmy się zemścić na pruskim towarze i zawołaliśmy jednogłośnie: Precz z pruską tandetą! Wprawdzie już nieraz wołaliśmy tak samo, ostatnio przed kilku laty zaraz po Wrześni, a dzisiejsze wołanie świadczy najlepiej, jak skuteczne było wołanie poprzednie, ale my mamy odrębną metodę niszczenia pruskiego towaru: kupujemy go, a potem powoli niszczymy. Ażeby zniszczyć parę butów pruskich, trzeba je przedtem kupić. Prusaków dawniej przerażał nasz krzyk i dawali na swoich towarach polski napis: »wyrób krajowy«, ale bardzo rychło przekonali się, że ten napis im tylko szkodę przynosi, bo w Galicyi towaru z tym napisem nie kupowano. Więc dali spokój z fałszowaniem napisu i wiedzie im się u nas, jak w raju. Lecz ocknęliśmy się znowu i wołamy »precz!« Teraz szukamy tych kupców, którzy sprowadzają towar pruski, aby ich zbojkotować, ale ich nie znajdujemy. Nie ma ich u nas, jak nie ma konsula pruskiego. Dlatego wkrótce przestaniemy ich szukać.

Także szukano w tym tygodniu kartonu do witrażu Wyspiańskiego i nie znaleziono go. Szukano go na wszystkich strychach magistrackich, szukano w przedpokojach, w komórkach, w stajniach i wogóle miejscach, gdzie lwowski magistrat zwykle przechowuje cenne dzieła sztuki, ale nie znaleziono go nigdzie. Aż któryś z woźnych, opiekujących się sztuką lwowską, przypomniał sobie, że inny kolega-woźny pokrajał witraż na paski, znalazłszy się w przymusowem położeniu. Mianowicie z powodu czytania magistrackich kawałków tak bardzo pomniejszyła mu się objętość głowy, że czapka urzędowa zachodziła mu szpetnie aż po uszy. Ażeby temu zapobiedz, pokrajał znaleziony witraż na paski i wsunął do czapki poza ceratową obwódkę. Potem były jeszcze inne przypuszczenia, ale dotąd witrażu nie znaleziono pomimo, że go szukano wszędzie, omal że nie na księżycu, który tymi dniami był tak smutny i blady, jakby przeczytał wszystkie wiersze, jakie do niego piszą poeci lwowscy.

Wzbiłem się nagle z magistratu na księżyc, jak ten balon La Patrie i teraz trudno mi będzie z księżyca spaść na Wały hetmańskie, aby powąchać pawilon kwiatowy, który ma tu wkrótce stanąć i razem z gmachem krajowej dyrekcyi skarbu przyczynić się do tem większego upiększenia pięknego miasta. Lecz o tem jeszcze mówić za wcześnie, bo pawilonu jeszcze nie ma. A można go — broń Boże — urzec. Dyabeł nie śpi. Widać, że nie czyta dzienników.

XLVIII.

Bez daty.

Z tej całej ankiety szkolnej, która onegdaj obradowała przez kilka dni w Wiedniu, najwięcej podobały mi się i przemówiły mi do przekonania wywody referenta wojskowego, reprezentanta ministerstwa obrony krajowej, pana pułkownika — nie pamiętam, jak się nazywa. Do jego wywodów przyłączam się w zupełności, a nawet je rozszerzam. Szkoła średnia powinna być nietylko przygotowaniem do wojskowego rzemiosła, jak tego żądał p. pułkownik (szkoda, że nie pamiętam, jak się nazywa — podobno Piskacek), ale powinna sama już być wstępną służbą wojskową ośmioletnią.

Dlatego proponuję: Zamiast egzaminu wstępnego, jaki składa uczeń wstępujący do szkoły średniej, powinno się ustanowić asenterunek. Kto ma przepisaną długość i wagę, ten ma prawo i obowiązek służby szkolnej wojskowej. Uczniowie powinni mieszkać w szkołach urządzonych jak kasarnie, a o przejściu z jednej klasy do drugiej stanowią z końcem roku szkolnego nie egzamin, lub klasyfikacya, ale manewry. Maturę znosi się, a natomiast wprowadza się po ukończeniu nauk wielkie manewry.

Łacinę, grekę i inne mniej ważne przedmioty znosi się, a w ich miejsce wprowadza się: egzecyrkę, gimnastykę wojskową, strzelanie ślepymi nabojami w niższem gimnazyum, strzelanie ostrymi nabojami w wyższem gimnazyum (jak tego żądał dosłownie pan pułkownik — nie pamiętam, niestety, jak się nazywa — podobno Pikarcek), strzelanie bez nabojów, strzelanie z armat i strzelanie z innych strze-

lających rzeczy, dalej pływanie, jazda na koniu, jazda na armacie, jazda na gumowym fiakrze, jazda na kredyt.

Chodzi bowiem o to, ażeby uczeń przygotował się dokładnie do służby wojskowej. To też zaraz po opuszczeniu gimnazyum otrzyma świadectwo dojrzałości wojskowej i będzie mógł odrazu jako gotowy kapral wstąpić do wojska. Dzięki temu systemowi, rekrutów nie będzie, ani symulantów wojskowych, bo wyrobi się zamiłowanie do wojska już od młodości. Dlatego i wszystkie szkoły ludowe powinny być urządzone na wzór szkół kadeckich.

Wogóle — jeśli ma być dobrze na świecie — to człowiek powinien się już rodzić wojakiem, z bagnetem u boku i w czaku na głowie, przez całe życie powinien służyć wojskowo, a na końcu urządzić sobie pogrzeb wojskowy z muzyką.

Pan Bóg stworzył na to tak wielki świat, ażeby ludzie mieli gdzie urządzać manewry, egzecyrki i wojny, a zaraz potem zaasenterował Adama, i umieścił go w raju, a więc w kasarni. Ewa nie miała kaucyi małżeńskiej, więc zwiodła, czy skusiła, swego wojaka nie jabłkiem, ale — jak nowsze badania wojskowe wykazały — knedlem z menażu. Dlatego Pan Bóg zakomenderował: »marsz z raju!« — i wypędził ich z kasarni. To był pierwszy grzech pierwszych wojaków, a za karę stali się cywilami i mieli dalej pracować w pocie czoła. Ponieważ zaś nie wszyscy ludzie późniejsi byli zdatni do pracy w pocie czoła, przeto powoli zaczęto wracać do pierwotnego stanu, t. j. do raju wojskowego.

I naszem zadaniem jest iść dalej tą drogą i dążyć do przerobienia całej cywilnej ludności w wojskową. Powinniśmy zmienić nasz dotychczasowy fał-

szywy cywilny światopogląd i patrzeć na świat nie z punktu widzenia naszych wygód i cywilnych przyjemności, ale z tego punktu, z którego można go najskuteczniej ostrzeliwać. Bo jeśli powiedziano: »z prochu powstałeś i w proch się obrócisz«, to także nic innego nie miano na myśli, jak proch strzelniczy.

W prochu strzelniczym i służbie wojskowej jest przyszłość ludzkości i dlatego przy naszej reformie szkół średnich tylko to jedno powinniśmy mieć na oku. Tego zdania jest ministerstwo obrony krajowej, pan pułkownik — nie pamiętam, niestety, jak się nazywa — ale zdaje mi się, że Preclicek — i ja.

XLIX.

(Rok 1907 w zarysie).

Rok 1907, którego pamięć z powodu procesu Moltke-Harden i manifestu rzeźników lwowskich wiecznie trwać będzie, obfitował ponadto w inne ważne wypadki w każdej dziedzinie ludzkiego życia i zapisze się na kartach dziejów niewątpliwie tłustym drukiem pomimo, że należał naogół do lat chudych.

Jakkolwiek konferencya pokojowa w Haadze obradowała prawie przez rok cały, nie mieliśmy w tym roku wielkich wojen, ponieważ przodujące w cywilizacyjnym pochodzie państwo pruskie dzięki sposobowi myślenia swoich potentatów czy impotentatów obmyśliło nowy sposób zdobywania ziemi bez strzelania i bez niepotrzebnego wysilania się nad wynalezieniem prochu strzelniczego bezdymnego.

W polityce austryackiej zaznaczył się rok 1907

przedewszystkiem powszechnymi wyborami, t. j. powszechnem głosowaniem i powszechnem kandydowaniem na posłów, dalej pierwszym parlamentem ludowym, zmianą ministrów, wypoliczkowaniem kilku posłów, przyjęciem ugody, pokąsaniem ks. Żyguliń-skiego, debatą budżetową i całkiem przypadkowem rozbiciem głowy posłowi Benkovicowi pulpitem ze strony innego posła, którego nazwiska już nie mam czasu w tem miejscu wymienić z powodu spóźnionej pory wieczornej i dla braku miejsca w szczupłych ramach niniejszego sprawozdania.

Ponieważ pozostało jeszcze kilku obywateli, którzy nie kandydowali do parlamentu, przeto ci byli wyborcami i jako tacy zawikłali się w procesy karne o przekroczenie ustawy wyborczej. Do innych nieszczęśliwych wypadków w polityce zaliczyć należy obok kilkuset mów cesarza Wilhelma i jego upadku tylko z konia, grożące nam w roku tym prawo wyborcze kobiet, które zamierzały do reszty zgnieść emancypacyę mężczyzn z pod ich hegemonii, zasądzenie ruskich akademików za napad na uniwersytet i pominięcie kaprala Dronia przy rozdawaniu nagród Nobla (nagroda pokojowa) jeżeli już nie przy mianowaniu nowych ministrów, w czem kapral Praszek miał więcej szczęścia.

Pod względem ekonomicznym postąpiliśmy znacznie naprzód. Gmina miasta Lwowa zaciągnęła kilkunastomilionową pożyczkę na cele inwestycyjne i w tym roku zakupiła dwie nowe śmieciarki, oraz uchwaliła wystawić aż cztery pawiloniki publiczne. Z pożyczką tą pośpieszyła się gmina w słusznem przewidywaniu, że nastąpi krach finansowy, który też istotnie w parę miesięcy później przyszedł, zmuszając ludzi do fałszowania dziesięciokoronówek, do malwersacyj kole-

jowych, do ubiegania się o mandaty poselskie i innych rozpaczliwych kroków, oraz powodując jeszcze większą drożyznę, która rosła w miarę, jak ją zwalczała komisya drożyźniana Rady miejskiej we śnie.

Przemysł krajowy święcił w tym roku prawdziwe tryumfy na wszystkich zgromadzeniach, gdzie uchwalono bojkotować towary pruskie, oraz w całej prasie. Natomiast pruski towar znajdujący się w naszych handlach był tak zawstydzony swojem pruskiem pochodzeniem, że przedstawiał się jako angielski, francuski, węgierski, czeski, chiński i międzynarodowy, jak tancerka z Colesseum, byle nie pruski. Handel rozwijał się nieźle, a niektóre jego gałęzie, jak handel kartami wyborczemi, handel dziewczętami i handel węglami nawet znakomicie prosperował.

Literatura i sztuka poszły w górę. Powstała wielka ilość nowych utworów wierszem i prozą i tylko żałować wypada, że niektórzy poetyzujący młodzieńcy, którzy poszli w ślady szewca-poety Hansa-Sachsa, nie zostali szewcami. Również szkoda, że niektórzy twórcy tak rzadko popełniają plagiaty. Gdyby więcej kradli, możnaby ich więcej czytać. Tegoroczny konkurs dramatyczny Wydziału krajowego wypadł lepiej niż zwykle: na 80 dramatów nie odznaczono żadnego, co świadczy o tem, że dramat polski zaczyna się podnosić.

Sztuka kwitła w magistracie, w restauracyi Naftuły Toepfera, w Colosseum i w Filharmonii, która z siedliska muz przemieniła się w hotel, do którego rzadko zajeżdża jakaś zagraniczna muza, o ile sala nie jest zajęta redutą lub kinematografem.

W teatrze kilka premier przeważnie operowych wśród entuzyastycznych oklasków zorganizowanej klaki pogrzebano, a komik Rawner zaskarżył dyre-

ktora Hellera za to, że publiczność nie chciała przyjść do teatru na ogólne żądanie jego rodziny. Natomiast »Wesoła wdówka« cieszyła się całą kopą spektaklów, i ma zamiar jeszcze długo kokietować publiczność.

Stosunki zdrowotne w mieście — o ile nie zawaliła się na kogoś jakaś kamienica, góra piaskowa, gzems, kopiec Unii lubelskiej, lub o ile nie przemawiał radny Mokrzycki na Radzie, co słuchaczom groziło pęknięciem — były na ogół zadowalniające. Zapowiedziane na ten rok niezdrowe wypadki, jak wyginięcie rzeźników z głodu, koniec świata w marcu, przymusowe umundurowanie urzędników, reforma ordynacyi sejmowej i przybycie cholery, z niewiadomych przyczyn nie przyszły niestety do skutku. Ci, którzy umarli, zostali po największej części pochowani. Inni, zwłaszcza noworodki, leżą jeszcze w kloakach, kanałach i innych miejscach, stosownych do przechowywania noworodków, i czekają na odkrycie. Inni znów jeszcze nie umarli, bo postanowili czekać na miejski Zakład pogrzebowy. Tym grozi nieśmiertelność.

Urządzona w tym roku wystawa hygieniczna wykazała, na ile sposobów można we Lwowie umrzeć, przyczem nie uwzględniono śmierci głodowej, jakby wcale nie istnieli we Lwowie malarze, poeci, aktorzy i urzędnicy, których oddłużeniem zajmuje się od roku specyalna komisya obliczająca ich długi. Kilku członków tej komisyi zgłosiło się już w Kulparkowie, ale ich tam nie wpuszczono z braku miejsca. Kulparków bowiem nie jest dla waryatów, ale dla defraudantów, którzy stracili rozum i nie chcą iść do kryminału. Dlatego okazała się w tym roku potrzeba wybudowania domu dla obłąkanych w za-

chodniej Galicyi, gdzie dotąd każdy nieszczęśliwy, który w pomieszaniu zmysłów wypróżnił obcą kasę, musiał uciekać z kraju.

Stosunki bezpieczeństwa w roku tym nie pozostawiały nic do życzenia. Ludzie rozbijali sobie głowy tylko przy ważniejszych uroczystościach i z ważnych powodów, a kilka wypadków morderstwa i zabójstwa nie zasługuje na bliższe zastanowienie. Kilku znakomitszych włamywaczy opuściło dobrowolnie więzienie, aby wyemigrować z kraju i roznieść naszą sławę zagranicą. Prawie co drugi tydzień uciekało kilku więźniów, aby się przekonać, czy straż jest czujna, i aby namówić innych uciekinierów do powrotu.

Dwa razy chciał Lwów w tym roku popełnić samobójstwo i utopić się, w którym to celu magistrat przedtem pozatykał wszystkie kanały, a kilka razy — wprost przeciwnie — groziło nam wysuszenie i brak wody, a magistrat zmuszony był wzywać mieszkańców do oszczędzania wody, co w pierwszym rzędzie odnosiło się do wychodzących we Lwowie dzienników znanych z marnotrawienia wody.

W końcu jeszcze słówko o naszych środkach komunikacyjnych. Dzięki wizycie ministra kolei w Galicyi były tygodnie, w których nie zdarzyły się katastrofy kolejowe. Kolejowy zarząd nic wprawdzie nie uczynił dla ułatwienia komunikacyi, ale za to rewident kolejowy Bełkowski przynajmniej pomnożył szczupłą ilość biletów jazdy, aby ich nie zabrakło pasażerom, za co go sąd przysięgłych zatwierdził w charakterze cichego wspólnika skarbu kolejowego, uwalniając go od winy i kary. Automobile należały do rubryki nieszczęśliwych wypadków a tramwaj konny można było znaleźć, jak ten tani opał miejski, tylko

na szpaltach dziennikarskich. O dorożkach lwowskich nie wspominam, aby nie psuć czytelnikom sylwestrowego nastroju.

L.

(Horoskopy na rok 1908).

Rok 1908 będzie dłuższym niż rok poprzedni, a to o jeden dzień, gdyż według zgodnej przepowiedni wszystkich kalendarzy, składać się będzie z 366 dni, skutkiem czego opóźni się cały bieg historyi, a za nim spaźniać się będą wszystkie pociągi kolejowe, wozy tramwaju konnego, wszelkie regulacye płac, uszczęśliwienie ludzkości przez posłów, sanacya finansów krajowych, proces Feuersteina, wyłapanie wszystkich psów, zamierzających się wściec i wszystko inne. Rok ten mieć będzie 12 miesięcy, jeżeli przedtem nie nastąpi koniec świata, który — zdaniem niektórych polityków — przyjść może zaraz po reformie ordynacyi sejmowej, albo — zdaniem rzeźników i masarzy lwowskich — jeżeli magistrat nie zmieni wobec nich swojej taktyki bezwzględnej i nie pozwoli im sprzedawać wągrowatego mięsa. W polityce zajdzie w tym roku wiele ważnych wypadków, a niektórzy posłowie postarają się udowodnić w Radzie państwa, że obok politycznych, posiadają tak konieczne w polityce zdolności muzyczne i ekwilibrystyczne i że mogą tę samą sensacyę, co w parlamencie, budzić w Colosseum, lub w cyrku, który atoli znowu w tym roku nie przyjedzie do Lwowa z obawy przed konkurencyą lwowskiej Fil-

harmonii. Natomiast inni posłowie nieraz w tym roku zwrócą na siebie uwagę swoją energią i ciętością w stałem milczeniu.

W lutym odbędą się wybory do Sejmu, wobec czego wielu mężów zapadnie na popularną chorobę żołądkową i biegać będzie po zgromadzeniach wyborczych. Jedni powołując się na wszystkie swoje przyszłe niezaprzeczone zasługi w długich mowach wzywać będą wyborców, ażeby, celem uniknięcia rozstrzelenia głosów, tylko na nich głosowali, jeśli im leży na sercu dobro kraju, tanie mięso i inne zakłady pogrzebowe. Inni znów tamtym pomagać lub przeszkadzać będą rozbijając zgromadzenia, głowy, szyby i wszystko, co się nadaje do rozbicia w celach politycznych.

W miesiąc później odbędzie się na ogólne żądanie to samo przedstawienie z niezmienionym programem z okazyi wyborów do Rady miejskiej, przy których odniesie tryumf prawda, bo zwycięży lista Strzelnicy.

Mimo to drożyzna rósć będzie z dniem każdym, o czem, jak i o kurzu w lecie, dowie się magistrat z dzienników i w porozumieniu z komisyą drożyźnianą obmyśli cały szereg niezawodnych środków, z których atoli jedynie praktycznem i możliwem do przeprowadzenia okaże się tylko wystawienie trzech nowych pawilonów publicznych, co mieszkańcy powitają z uznaniem. Wszystkie inne środki rozbiją się o opór złych ludzi, a przedewszystkiem rzeźników, którzy dalej będą pisać do publiczności listy otwarte z dowcipami. W końcu dojdzie do tego, że bogate panie na uszach zamiast butonów nosić będą po jednej bułce, a o funt mięsa i cetnar drzewa zakładać się będą między sobą tylko bankierzy.

Pomimo takiej drożyzny sztuka nie upadnie. Malarstwo podtrzymywać będzie w dalszym ciągu pewien znakomity restaurator, który słynie nietylko z wielkiego znawstwa obrazów, ale i z filetów i rozbratli, niezniszczalnych i nierozerwalnych, a więc nadających się znakomicie na zabawki dla dzieci. Znajdzie on w tym roku licznych naśladowców, wprawdzie nie w zbieraniu obrazów i darowaniu Galeryi miejskiej, ale w wyrabianiu trwałych filetów, bo dobrych restauracyj mamy jeszcze zawsze za mało, a obszedłszy 50 restauracyj, stajemy bezradnie i musimy się przenieść z trudem na inną ulicę.

Lwowska Filharmonia wychodząc z zasady, że instytucya muzyczna obok redut, kinematografów, balów i zgromadzeń wyborczych, nie powinna i muzyki całkiem z oka spuszczać, da w tym roku pięć wielkich koncertów, z których trzy nie dojdą do skutku z powodu zasłabnięcia przeczuciowego koncertanta w drodze do innego miasta.

Wydział krajowy na swoim konkursie dramatycznym znowu odznaczy przez pomyłkę poetę, który pisze tylko dla lepszej, premierowej publiczności, bo innym nie będzie danem oglądać jego dzieła, które po pierwszem przedstawieniu przejdzie w tak upragniony dla publiczności, aktorów i sztuki stan spoczynku. A poeta, któremu, gdyby jego sztukę dalej grali, stali bywalcy teatralni zawdzięczaliby tyle wolnych od teatru wieczorów, powiesi lirę na kołku i przejdzie do praktyczniejszego zawodu doradcy artystycznego w fabryce pierników. Komisya artystyczna teatru miejskiego uchwali w rocznicę śmierci Wyspiańskiego wystawić jeden z jego dramatów, ale na afiszu każe zapowiedzieć, celem ściągnięcia publiczności do teatru, nieśmiertelną, a więc »Wesołą

wdówkę«, która doczeka się w tym roku 200 przedstawień.

Zbiorowym usiłowaniom personalu kolejowego uda się i w tym roku zachować zwykłe spóźnienia pociągów, wykolejenia, zderzenia i inne wypadki kolejowe, co każdym razem będzie przedmiotem śledztwa i wykaże brak winnych. Przy tej sposobności kilka osób poniesie śmierć, lub wyjdzie z połamaną pamiątką i pretensyą do skarbu kolejowego nigdy nieziszczalną, jak ideał, albo jak wywabienie tłustej plamy z jasnych pantalonów.

Inni umrą w tym roku śmiercią naturalną, t. j. pod kołami pociągu lub tramwaju, pod gruzami zawalonej kamienicy, od szabli policyanta, od kulki rewolwerowej z miłości lub desperacyi, z głodu, a bardzo nieliczni umrą śmiercią nienaturalną, t. j. skutkiem podeszłego wieku. Niektórzy nawet będą żywcem pogrzebani, a to: dyurniści, nauczyciele ludowi i t. p. Wszystkich, którzy w tym roku umrą, będzie się za to chwalić w nekrologach w myśl zasady pietyzmu, że o umarłych powinno się mówić tylko dobrze, tak, jak o żywych tylko źle.

Rubryka nieszczęśliwych wypadków wzbogaci się w tym roku obok wymienionych już wyżej wielkich koncertów Filharmonii, o kilka przemówień radnego Mokrzyckiego, o liczne defraudacye większe i mniejsze dokonane tylko — jak się potem okaże — przez nieszczęśliwych umysłowo chorych osobników, a dalej należeć tu będą wszystkie pokąsania, zajęchania, zawalenia, poparzenia, imatrykulacya na uniwersytecie i niektóre uchwały Rady miejskiej.

Linia telefoniczna międzymiastowa będzie w tym roku przerwana codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt uroczystych. Telefon miastowy funkcyonować będzie

należycie, o ile telefonistka nie pójdzie za przykładem niektórych księży, dających śluby w kościele i nie połączy dwóch osób fałszywie.

Nie przyjdą w tym roku do skutku: miejski zakład pogrzebowy, prawo wyborcze dla kobiet i załatanie dziur w trotuarach lwowskich.

Jeżeli wszystkie powyższe przepowiednie nie spełnią się co do joty, to ja nie nazywam się

Klewe.